

LEŃCY
PŁONĄCEJ
OTCHŁANI

B. Fradkin

ISKRY

B. FRADKIN

JĘCY
PŁONĄCEJ OTCHŁANI

Przełożył
Bohdan Drozdowski

ISKRY

W A R S Z A W A 1 9 6 1



Tytuł oryginału

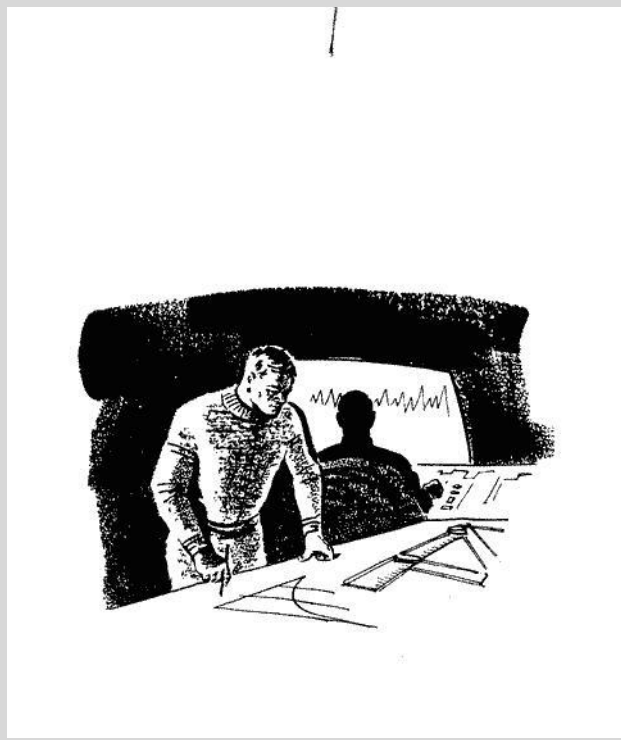
ПЛЕННИКИ ПЫЛАЮЩЕЙ БЕЗДНЫ

1959

Okladkę projektował

МІЕЧЫСЛАВ КОВАЛЦЫК





CZĘŚĆ PIERWSZA

W ŚWIECIE OGNIA
I GŁAZÓW

1

– Już pora.

Wadim zdecydowanie odsunął nie dopitą szklanke herbaty i wstał.

– Ależ mamy jeszcze sporo czasu – rzekła Lena. – Start wyznaczono na dwunastą, a minęła dopiero jedenasta.

– Niecierpliwość jest głównym doradcą Wadima – odezwał się stojący przy oknie Andrzej. – Wadim dał dziś mechanikom szkołę. Nie pozwolił im odsapnąć nawet przez chwilę.

– We dwoje na jednego? – uśmiechnął się Wadim. Obszedł stół i objął Lenę. – Bo też mamy przed sobą rejs nie lada. Cały świat znieruchomiał w oczekiwaniu pierwszych wybuchów w silniku PW-313. Andrzejowi jest wszystko jedno, ale ty, Lenko, powinnaś zrozumieć, że nasze przedsięwzięcie stanowi w historii techniki podziemnej nową epokę.

Andrzej milczał patrząc w noc za oknem.

– Już czas – powtórzył Wadim.



Wóz wypadł za miasto i pomknął szeroką, bezludną o tej późnej porze szosą. Przy kierownicy siedziała Lena. Prowadziła elektromobil tam, gdzie między zartartymi konturami gór błyskały światła startowego pola.

Po obu stronach szosy ciągnęły się sady pełne jabłoni. Wiatr, wciskając się w opuszczone okno kabiny wypełniał ją aromatem dojrzewających owoców. Na niebie skrzyły się wyraziste sierpniowe gwiazdy.

Droga gwałtownie skoczyła na wzniesienie, potem stromo opadała w dół. Wóz płynął niemal bezgłośnie. Z wysokości następnego wzgórza otworzył się widok na pole startowe — ogromny kwadratowy obszar spiętrzony u krawędzi zabudowaniami służb pomocniczych i stacji łączności. Stąd właśnie zaczynały swoją wędrówkę osobliwe pojazdy, skonstruowane dopiero przed sześcioma laty, które miały ułatwić człowiekowi dotarcie do wnętrza Ziemi.

Liczne odwierty widniejące w granicę świadczyły

o ilości dokonanych prób. Jasnoszare kręgi wylotów studni, zalane betonem, wyraźnie odcinały się od ciemnej powierzchni granitu.

Smugi reflektorów krzyżowały się w centrum pola, oświetlając PW-313. Pojazd wznosił się na kształt olbrzymiej cylindrycznej wieży. Metalowa, polerowana powłoka jaśniała tak intensywnie, że Lena, wyszedłszy z elektromobilu, musiała przesłonić oczy dłonią.

– Oto nasze чудо! – Wadim na moment zamarł na miejscu, zachwycony statkiem.

Jego wysokość wynosiła pięćdziesiąt dwa metry, średnica – siedem i pół. Zwężona u szczytu część korpusu przypominała mu pojazd kosmiczny, lecz w odróżnieniu od raketoplanu PW-313 nie posiadał ani lotek ogonowych, ani iluminatorów. Przy tym dolna, czołowa część była tępa, obcięta i służyła statkowi za podstawę.

Pole było wyludnione. Obok statku Lena dostrzegła masywną konstrukcję przypominającą dźwig portowy, ale wyższą. Mieścił się pod nią swobodnie PW-313. Był to wyciąg zaopatrzone w windę dla transportowania ludzi i ładunków do luku w górnej, ogonowej części korpusu. Na szczycie dźwigu umieszczono kabinę osłoniętą przezroczystą kopułą.

Przed windą spotkał Wadima, Lenę i Andrzeja dyżurny startu.

– Dobry wieczór – powitał przybyłych.

– Już noc – poprawił go żartobliwie Wadim. – Wszyscy w komplecie?

– Tak.

– Naczelny konstruktor przyjechał?

– Właśnie teraz.

– Doskonale.

Wadim raz jeszcze spojrział na statek, po czym ujął żonę pod rękę i wszedł wraz z nią do windy.

Na szczycie, w kabinie, zebrali się przyjaciele i krewni członków ekipy. Wadim podszedł do matki. Podniosła się na jego widok, już siwiejąca, lecz jeszcze ruchliwa, o żywej, energicznej twarzy.

– Ojca nie ma? – spytał Wadim.

– Wezwali go na budowę. Za to ja przyjechałam... Tyle się słyszy o waszej wyprawie. Lenko, nie zrobiłaś mu sceny? Nie zdążyliście przetańczyć wesela, a jego już ciągnie w rejs.

– Alboż go można utrzymać, mamó?

– W dodatku za ledwie na dwie doby – zauważył Wadim.

Skierował kroki w stronę naczelnego konstruktora. Remizowski obrzucił go uważnym wzrokiem i uśmiechnął się lekko. Stojący obok geolog Diegtiarew, niewysoki, krępy mężczyzna, powiedział:

– Jest i dowódca. Za kwadrans w drogę.

– Wszystko do startu gotowe – rzekł naczelnny konstruktor. – Maszyny skontrolowane dwukrotnie.

– Trzykrotnie – poprawił Wadim. – Przeglądałem je osobiście.

Do rozmawiających podeszli inni członkowie ekipy. Wysoki i chudy fizyk atomowy Biront, jeden z najstarszych kierowców podziemnych statków Michejew, nawigator Skorupin, mechanik Andrzej Czurakow.

– Już czas – przerwał rozmowę Wadim i dał znak dyżurnemu startu.

Ten podszedł do pulpitu i nacisnął guzik. W narożnych wieżach pola zamigotały czerwone, ostrzegawcze światła, zawyła syrena startowa.

Wadim objął matkę i ucałował w policzki. Potem

gwałtownie przyciągnął ku sobie Lenę.

– Wadimie Siergiejewiczu – naczelny konstruktor mocno uściśnął dłoń Wadima – pamiętajcie: żadnego ryzykanctwa. Wypełnijcie dokładnie program badań. W razie najmniejszego niebezpieczeństwa wracajcie natychmiast.

– Alboż ja kiedykolwiek nie wykonałem programu? – wesoło zdziwił się Wadim.

– No więc szczęśliwej drogi.

– Dziękuję, Arkadiuszu Siemionowiczu. Postaramy się wykonać zadanie jak najlepiej.

Ekipa weszła w otwarty luk statku. Wadim ostatni opuścił podest. Zanim zniknął w czeluści, raz jeszcze pozdrowił ręką Lenę i matkę.

Luk zatrzaśnięto. Zaszumił motor i metalowy most odjechał na bok. W kabinie wyłączono oświetlenie, żeby lepiej można było obserwować PW-313. Dźwиг zatrzymał się na skraju pola.

Minęło kilka bezdźwięcznych minut. Nagle z miejsca, na którym stał statek, chlusnęły języki ognia. To rozpoczął pracę termojądrowy bor.

Rozległ się łoskot. Lena skuliła się i zakryła uszy rękami – nie mogła przywyknąć do tego huk, choć odprowadzała Wadima nie po raz pierwszy.

Z dyszy silnika buchnął słup pyłu, frunął na wysokość ośmiuset metrów i tam przeistoczył się w ciemny, rosnący obłok.

Płaski nos pojazdu począł z wolna drążyć ziemię na podobieństwo gwoźdźcia wpychanego w plaster wosku.

Po paru sekundach języki płomieni pochłonęła ziemia. Natomiast struga pyłu buchająca z dyszy zabarwiła się pod wpływem żaru na kolor malinowy, potem

na pomarańczowy, wreszcie rozpalila się do białości, wystrzeliwując niby promień światła. Nie ustępowała swoim blaskiem strudze gazowej wytryskającej z reaktorów raketoplanu, z tą tylko różnicą, że z pojazdu kosmicznego ulatującego w niebo, promień światła biegnie w stronę Ziemi, jakby się chciał żegnać z jej powierzchnią, ten zaś przenikając po raz ostatni powietrzny przestwór roztopia się w niebie.

Pogasły niepotrzebne już reflektory. Dokoła stało się tak jasno, że można by z powodzeniem czytać książkę. Wystąpiły z ciemności zbocza gór, w sąsiedztwie pola zamigotało jezioro. Obłok pyłu stał się srebrny, odcinając się coraz bardziej wyraziście na tle nocnego nieba. W lesie podniosły gwar zaniepokojone ptaki. Mknące po szosie samotne elektromobile wyłączały reflektory.

Dwanaście osób w kabinie osłoniło oczy ochronnymi okularami. Milcząc obserwowano, jak statek z wolna wdraża się w ziemię. Szybkość jego nie była duża, wynosiła zaledwie pół metra na sekundę. Lecz obserwujący mieli wrażenie, że maszyna grzęźnie o wiele szybciej.

W dwie minuty po włączeniu silników PW-313 zniknął pod granitową powierzchnią pola.

Błądł obłok pyłu, gasła poświata.

Nad zatrwożonym lasem, nad górami znowu zapadła noc. Winda opuściła się na Ziemię. Ale jeszcze przez półtorej godziny w narożnych wieżach nie przestawały gorzeć światła. Ostrzegały, że zbliżanie się do szybu wydrążonego przez podziemny statek jest niebezpieczne. Termojądrowy bor nasycił granit silną radioaktywnością.

— Szczęśliwej drogi, Wadimie — wyszeptala Lena —

szczęśliwej drogi, kochany.

Wracając zmuszała wóz do maksymalnej szybkości. Wyrwane z mroku światłem reflektorów umykały spłaszczone drzewa.

Nagle zauważyła na niebie wąską, prostą, ognistą kreseczkę. Przecinając Mleczną Drogę kreseczka szymbowała w zenit.

Lena gwałtownie zatrzymała elektromobil. Wyszła na szosę i zadarłszy głowę śledziła lot kreski. Rychło jej słuch wyłonił oddalony łoskot. To kolejny rakietoplan poszybował w przestrzeń kosmiczną.

Kreska dawno rozplynęła się między gwiazdami a Lena stała ciągle, zasłuchana. Wydawało się jej, że czuje pod stopami wibrowanie ziemi, wywołane przez PW-313 pogrążający się coraz bardziej we wnętrze globu.

2

Statek zagłębiał się pionowo. Automatyczne żyroskopy utrzymywały go dokładnie na linii promienia Ziemi. Szybkość statku rosła, gdy na drodze pojawiały się miękkie wapienie lub warstwy łupku, malała, gdy znowu zaczynał się granit, lecz średnio wahała się w granicach połowy metra na sekundę.

Ognista trąba zamieniała warstwy materii przywierające do bora w drobniutki pył. Systemem rur ssących rozmieszczonych między wewnętrzną a zewnętrzną powłoką korpusu pędził pył do termojądrowych komór nagrzewczych. Tam, pod działaniem wysokiej temperatury, zamieniany w parę – z olbrzymią szybkością wylatywał przez dysze. Praca komór nagrzewczych nie różniła się w zasadzie niczym od pracy komór spa-

lania w pierwszych silnikach odrzutowych.

Od ścian studni drążonej przez statek odpadały głązy granitu, obrywały się lawiny kamieni i piasku. Ziemia odrzucana silnym podmuchem strumienia gazu, topiła się, spiekała i tworzyła korki, które dokładnie zatykały pozostawiony przez statek tunel.

Silnik umieszczono w najwyższej, ogonowej części statku. Niżej rozlokowano aparaturę energetyczną z termojądrowym źródłem zasilania, poruszaną automatycznie.

Niewielką komorę przeznaczono na syntezatory, niezmiernie skomplikowane urządzenia, służące do sztucznego otrzymywania wody i tlenu. Surowca było pod dostatkiem. Sintezy mogły przekształcić dowolny gatunek ziemi przystającej bezpośrednio do bora. Do komory syntezatorów przylegał skład z zapasem koncentratów odżywczych obliczonych na sześć miesięcy. Ta solidna rezerwa żywnościowa podyktowana została potrzebą zabezpieczenia ekipy na wypadek przymusowego przedłużenia pobytu statku we wnętrzu Ziemi. Niełatwo bowiem byłoby go odszukać w bezbrzeżnej, granitowej masie, gdyby wpadł w tarapaty.

Za magazynem żywności urządzono kabiny. Było ich cztery, położone jedna nad drugą; ściany, podłogi i sufity pokrywała gruba i miękka warstwa nylonowej tkaniny. Jasnoblękitny, srebrzysty kolor obicia nadawał kabinom pozory wykwintu i czynił je przytulnymi. Najwyższa miała być miejscem odpoczynku. Wzdłuż jej ścian zawieszono wygodne hamaki, pośrodku stał stół z białej masy plastycznej, wokół – sześć foteli.

Trzy niższe kabiny różniły się z sobą pod względem urządzenia bardzo nieznacznie. Środek każdej zajmował pierścieniowy pulpit zawieszony między sufitem

a podłogą na obrotowej ramie. Do ramy tej przymocowano głębokie, miękkie fotele dla badaczy. Można je było w każdej chwili zamienić w wygodne łóżka. To wiszące urządzenie zapewniało pulpitemu równowagę trwałą, gdy pojazd odwracał się i zmieniał położenie.

Wszystkie pomieszczenia statku łączył system luków. W razie potrzeby luki zatrzaskiwały się automatycznie. Z kabiny do kabiny wiodła wąska, przylegająca do ściany metalowa drabinka.

Każdą z kabin przeznaczono dla dwóch członków ekipy. W najniższej pracowali sternik i dowódca statku. Nad nimi, przy pulpitemach obserwacyjnych, zajmowali miejsca geolog i fizyk. A jeszcze wyżej – nawigator i mechanik.

Sterowanie maszyną było zautomatyzowane. Zadanie sternika i mechanika sprowadzało się do obserwacji przyrządów, korygowania zakłóceń w pracy mechanizmów, zatrzymywania statku w porę lub nadawania mu nowego kursu.



Andrzej, siedząc przy pulpicie, mógł widzieć pracę silnika i obserwować działanie urządzeń chłodzących korpus, kontrolować siłę bora i ciśnienie w każdym punkcie pancerza. W dowolnej chwili, na żądanie dowódcy, mógł włączyć pole zabezpieczające, zatrzasnąć

luki, rzucić się na poszukiwanie miejsca awarii.

Zupełnie nie zautomatyzowana była jedynie praca nawigatora Skorupina. Obserwował indykatory strojenia, kręcił gałkami, zmieniał częstotliwość fal. Do tej pory łączność z powierzchnią Ziemi stanowiła najsłabsze ogniwo w konstrukcji statków podziemnych, szczególnie tych, które szły na dużą głębokość.

Rudy magnetyczne, złoża rud metali, warstwy minerałów, jonizowane radioaktywnym rozpadem unieumożliwiały stosowanie łączności radiowej. Zaopatrywano więc podziemne statki w urządzenia ultradźwiękowe.

Jednakże łączność ultradźwiękowa pozostawiała wiele do życzenia. Promień ultradźwiękowy rozszedł się, załamywał wielokrotnie we wnętrzu Ziemi. Złowienie go, zwłaszcza wyselekcjonowanie spośród innych, zrodzonych z ruchów głębi, stanowiło trudność ogromną. Gęsta sieć stacji seismograficznych na całym obszarze globu ziemskiego czujnie nasłuchiwała sygnałów z otchłani. Lecz trzeba było olbrzymiej wprawy, ażeby w łoskocie wstrząsów sejsmicznych odróżnić słaby głos podziemnego statku.

Jeśli jednak sygnały z głębi, acz z wielką trudnością, mogły być odbierane przez tę lub inną stację, to łączność odwrotna napotykała na jeszcze większe przeszkody.

Jakże to trafić rozchwianym promieniem ultradźwięku w maleńki punkcik zagubiony w ogromnym masywie Ziemi? Wiele tu zależało od szczęśliwego przypadku i od czulego ucha nawigatora.

Lecz dziewiętnastoletni albinos, Pasza Skorupin, znalazł się wśród członków ekipy wcale nie przypadkowo. Technika ultradźwiękowa porywała go jeszcze na szkol-

nej ławie. Budował generatory wysokiej częstotliwości, najróżniejsze instrumenty demonstrujące właściwości ultradźwięków i już w szkole stał się świetnym znawcą tej dziedziny. Po skończeniu technikum skierowano Paszę do fabryki statków podziemnych. I tu dopiero pokazał, co potrafi. Niejeden raz w czasie doświadczalnych rejsów swoim nawigacyjnym kunsztem pomagał skorygować kurs, przyjść na czas z odsieczą uwięzionemu „okrętowi”. Pasza dał się także poznać jako nieprzeciętny wynalazca. Raz po raz wprowadzał ulepszenia do aparatury łączności.

Skorupin przypadł do serca naczelnemu konstruktorowi, podobało mu się bowiem jego pełne entuzjazmu umiłowanie techniki ultradźwięków i odrobinę naiwna żądza przygód. Remizowski bez wahania mianował Paszę nawigatorem PW-313 i bronił kandydatury Skorupina w Akademii Nauk, gdzie wysuwano zastrzeżenia co do jego wieku.

3

Mijała godzina za godziną. Statek pogrążał się coraz głębiej. Michejew i Wadim uważnie obserwowali przyrządy pomiarowe. Fabryczna kontrola doświadczalnej, nie wypróbowanej jeszcze w działaniu maszyny, mimo szerokiego zastosowania cybernetyki nie obciąża mechanizmów aż tak wszechstronnie, aby mogła dać pełne wyobrażenie, jak będą pracowały pod ziemią.

Wadim nacisnął kontakt łączności wewnętrznej.

– Mikołaju Mikołajewiczu, Walentynie Makarewiczu, jak tam samopoczucie? – zapytał.

– W porządku, Wadimie Sergiejewiczu – odpowiedział Diegtiarew. – Ale za waszym pozwoleniem,

nie miałbym nic przeciwko krótkiej drzemce.

– Rozgośćcie się jak w domu. Planujcie sobie czas wedle własnego uznania. Odpocznijcie i wy, Walenty – nie Makarewiczu.

– Jestem tu po to, żeby pracować, a nie spać – zagrzmiał z głośnika silny, rozdrażniony głos Bironta.

Wadim uśmiechnął się i spojrzał na sternika. Jego wargi także rozciągnęły się w uśmiechu.

– Spędzimy pod ziemią około trzy doby – przypomniał Wadim, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Diegtiarew wstał, przeciągnął się, ziewnął i podszedłszy do ściany, począł się wspinać po metalowych szczeblach.

Biront popatrzył za nim nachmurzony, jakby oczekiwał, że szczeble za chwilę trzasną pod zwałistym ciałem geologa.

Pozostał przy aparaturze. Ta wyprawa była jego pierwszą podróżą podziemną. Dotychczas przyjaciele znali go jako zasiedziałego domatora i gabinetowego uczonego. Nie dlatego, iżby był owym „czystym teoretykiem”, którego nie interesuje praktyczne znaczenie jego własnej teorii. Utrzymywał szerokie stosunki z instytutami naukowymi, z projektantami elektrowni atomowych, z fabrykami, ale kontakty te sprowadzały się głównie od udzielania pisemnych rad albo rozmów przez wizjofony.

Najbardziej sobie Biront cenił towarzystwo swego jedyne go, milczącego pomocnika – mózgu elektronicznego, służącego mu jednocześnie za stół do pisania. Aparat sprawnie i bezbłędnie dokonywał najbardziej złożonych obliczeń, nie wysuwając przy tym żadnych wątpliwości i zbytecznych uwag.

Biront żył w świecie matematycznych współzależ-

ności. Wniósł wiele nowego do powszechnej teorii względności i teorii mechaniki kwantów. Ale szczególną sławę przyniosła mu tak zwana, „teoria ochładzania materii”.

Wiadomo, że jeśli jakąkolwiek materię poddać naciskowi, to w miarę wzrostu ciśnienia podnosi się jej temperatura.

– Tylko do znanych wysokości – twierdził Biront – dalszy wzrost ciśnienia spowoduje proces odwrotny: spadek temperatury. Dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny. Z jednej strony ciśnienie zmusza atomy do szybkiego ruchu i wtedy mówimy, że ciało staje się cieplejsze. Lecz z drugiej – ciśnienie zbliża atomy, staje się im coraz ciasniej. Następuje wreszcie moment, kiedy molekuly, atomy, elektrony i neutrony nieruchomieją. A co oznacza bezruch cząstek? Chłód! Niewiarygodnie niska, nie znana jeszcze temperatura.

– Chwileczkę, chwileczkę! – zacietrzewiali się przeciwnicy teorii ochładzania. – Ale w cóż się przekształci energia nacisku? Dotychczas zamieniała się w ciepło, a teraz według was zanika?

– Nonsens! – wzruszył ramionami Biront. – Któż mówi o zanikaniu energii. Po prostu przyjmie nową formę.

Jaka będzie ta forma materii, nie mógł odpowiedzieć ani on, ani jego elektronowy mózg. Uczony przewidywał jedynie, iż nastąpi rozpad cząsteczek niepodobny do zwykłego wybuchu termojądrowego.

– Gdzież w przyrodzie może się dokonać podobny rozpad? – pytano go.

– W centrum dowolnej gwiazdy, choćby była rozżarzona na powierzchni. I, być może, w centrum planet. Częściowo także w centrum Ziemi.

Sprawdzenie hipotezy Bironta na razie jeszcze było niemożliwe.

Pewnego dnia odwiedził Bironta niezwykle gość, Arkady Remizowski. O znakomitym konstruktorze statków podziemnych Biront już słyszał wiele, widział go jednak po raz pierwszy. Wizyta Remizowskiego zdziwiła go, ale gdy się dowiedział o jej celu, doznał oszołomienia.

– Ja mam pojechać w głąb Ziemi? – krzyknął zdumiony. – Wolne żarty! Ja chcę jeszcze żyć!

– Żyć, to znaczy pracować – powiedział Remizowski. – Jesteście przecież uczonym.

– To prawda. Ale jestem jedynie teoretykiem.

– Teoria staje się pustym dźwiękiem, jeżeli się nie opiera na faktach, doświadczeniu. Jak chcecie to wszystko osiągnąć?

– Na razie nie wiem.

– Jest tylko jeden sposób sprawdzenia waszej teorii ochładzania.

– Jaki? – nasrożył się Biront.

– Zbliżyć się do jądra Ziemi.

– Oho! I dużą to głębokość pograżenia mi obiecujecie?

– Czterdzieści kilometrów.

Birontowi spodobał się ten rosły i opanowany człowiek o wąskiej, nieprzeniknionej twarzy. W półzartobliwym tonie naczelny konstruktor przytaczał takie dowody, przeciw którym Biront nie potrafił znaleźć argumentów. Było jasne, że Remizowski dobrze wszystko przemyślał i przewidział.

– Tak się troszczycie o losy mojej teorii ochładzania? – Biront pragnął przedłużyć ten pojedynek słowny. – Można by pomyśleć, że swój PW-313 zbud-

waliście tylko po to, żebym sobie mógł na nim odbyć tę przejażdżkę.

Odpowiedź była nieoczekiwana.

– Tak, Walentynie Makarewiczu, przede wszystkim bez uprzedniego zbadania dużych głębokości Ziemi nie można marzyć o jej podbiciu. Któż może przewidzieć, jakie wewnątrzatomowe procesy czyhają tam na badaczy? Siedzę uważnie wasze poszukiwania teoretyczne i właśnie one mnie inspirowały. Dla konstrukcji statków podziemnych wcale nie jest obojętne, w jakich temperaturach pracować będą ich mechanizmy: przy minus tysiącu stopni czy plus dziesięciu tysiącach. Dlatego wasza teoria ochładzania stanowi pierwszy punkt w programie badań PW-313.

– Ale cóż ja będę mógł wyświetlić na głębokości czterdziestu kilometrów?

– To samo, co na głębokości stu.

– I tylko tyle?

– Tyle na pierwszy raz, Walentynie Makarewiczu. Potem ze spokojnym sumieniem zejdziemy na pełną setkę. Wtedy zajrzycie już na głębokość dwustu kilometrów. I tak dalej, póki nie dobijemy do jądra Ziemi.

– Ach, więc o to chodziło? Ostrożny z was człek. Ale czyż ja jestem odpowiednim kandydatem?

– Wymieńcie mi innego człowieka, który, tak jak wy, wierzy w możliwość ochładzania materii, Walentynie Makarewiczu.

Wreszcie Remizowskiemu udało się uzyskać jego zgodę. Pokusa była zbyt wielka.

Ale zaledwie za Birontem zatrzasnął się luk podziemnego statku i maszyna ruszyła w drogę – począł sobie wyrzucać nierozważny postępek.

Wyrwany z otoczenia, do którego przywykł, usilnie

starał się skupić uwagę na wskazówkach aparatów pomiarowych. Przysłuchiwał się pracy elektrobora i silnika, cierpnąc na myśl, co się stanie, kiedy pierwszy lub drugi odmówi posłuszeństwa i maszyna nie będzie w stanie wydostać się na powierzchnię, to znowu oglądał ślepe ściany – nie budziły w nim jednak otuchy. Czy w pewnej chwili nie zmiażdży ich niespodziewane osunięcie się skał?

Zapomniawszy na chwilę o grożących mu niebezpieczeństwach, Biront wpatrzył się w ekran radiolokatora – w centrum pulpitu majaczył wielki dysk. Odnosił złudne wrażenie, jakby przez okrągły otwór w podłodze widać było rozstępowanie się pod naporem statku kamiennych zwalisk. Od środka ekranu płyną ku jego krawędziom jasnoszare masy granitu, zwarte lub zbruzdzone szczelinami. Prawie natychmiast granit zamienia się w lśniące pokłady marmuru albo naturalnego kryształu.

Biront słabo orientował się w zróżnicowanych strukturach krystalicznych. Widział przed sobą tylko niezmiernie pstrokate zbiorowisko barw, przedziwną kamienną mozaikę.

Siedział tak nad pulpitem długo, póki zmęczenie nie stępiło zainteresowania tym, co go otaczało. Chronometr wskazywał wpół do piątej. Tam, na górze, już świtało. Tu kabina wypełniała się słabymi odbłaskami ekranu, migotem sygnałowych lampek i różnobarwnych nitek na matowych tarczach skał. Można było włączyć centralne oświetlenie, lecz utrudniłoby to uważną obserwację instrumentów.

Uczony doszedł do wniosku, że należy mu się odpoczynek. Wstał od pulpitu i udał się w ślad za Diegtiarewem. Zdenerwowały go szczeble drabinki. Nawet

w latach dzieciństwa nie lubił łązić po drzewach ani po dachach, a tu zmuszają go do wdrapywania się po ścianie. Spojrzał na sufit kabiny: wysoko... ale cóż robić? Windy nie ma, trzeba sobie wyobrazić, że się jest strażakiem.

Sprawdzając nogą każdy szczebel Biront dostał się wreszcie do luku, ale tu podeszwy jego trzewików ześliznęły się i profesor zawisł na rękach. Ponieważ jego dłonie nigdy nie знаły drążka ani trapezu, profesor zakłysał kilka razy swoim długim ciałem i poleciał w dół.

Nylonowe obicie złagodziło cokolwiek wstrząs. Rozcierając stłuczone biodro, przeklinając nedorzeczne wyposażenie statku, Biront powstał chwilę, westchnął i zaczął się wspinać po raz drugi.

Najpierw dostał się do kabiny mechanika. Andrzej z uśmiechem obserwował pojawienie się w luku podługowatej głowy profesora o zmierzwionych rudych włosach. Biront spojrział na mechanika posepnie i zaczął się wdrapywać wyżej.

Diegtiarew i Skorupin spali w hamakach. Biront niechętnie obejrzał przeznaczoną dlań pościel, ale jej wygląd, poduszka i lekka kołdra, zachęciły go w końcu.

Rozebrał się i miał już zamiar się położyć, gdy uczuł, że podłoga ucieka spod jego stóp. Ściany kabiny zachwiały się, bor i silnik umilkł, a cały statek zadrżał wskutek ciężkich uderzeń, które następowały po sobie niczym seria armatnich wystrzałów.

– Katastrofa!

Diegtiarew i Skorupin zbudzili się jednocześnie.

– Co się stało? – zapytał Diegtiarew.

– Spadamy, koniec!

Diegtiarew, uniósł się na łokciu i przez chwilę nasłu-

chiwał.

– Idźcie do diabła! – mruknął i naciągnąwszy na siebie kołdrę odwrócił się twarzą do ściany, ale natychmiast usiadł w hamaku.

– Darujcie, Walentynie Makarewiczu – powiedział. – Zupełnie zapomniałem, że na statku jesteście po raz pierwszy. My nie spadamy, lecz lecimy. Trafiliśmy na jamę gazową głębokości około trzystu metrów, ale się nie martwcie, to było przewidziane. Mamy silniki hamujące. O, słyszycie?

Spadanie zakończyło się lekkim uderzeniem o twarżyznę. Wybuchy znowu zamieniły się w znajomy rytm uruchomionego bora. Jednocześnie z przeciwnego końca pojazdu zawtórował mu przygłuszony szum silnika.

Skorupin powstrzymał westchnienie ulgi. On także przeżywał taki wypadek po raz pierwszy.

4

Biront zasnął natychmiast, ledwie się wyciągnął w wygodnym, zawieszonym na sprężynach hamaku. Nie śniło mu się nic, tak wiele przeżył w ciągu minionej nocy: wyjazd z domu, rozpacz żony, oczekiwanie startu, zagłębianie się w ziemię. Teraz nastąpiło odprężenie nerwów.

Po sześciu godzinach otworzył oczy; czuł się wypoczęty. Lecz powrót do rzeczywistości nie nęcił go bynajmniej. Wsłuchiwał się uważnie. Mimo warstwy izolacyjnej w ścianach huk świdra i silnika przenikał do wnętrza kabiny. Przypominał szum kipiącej wody.

Profesor westchnął i począł się ubierać. W sąsiednim hamaku spał jeszcze geolog i chrapał tak mocno, że Biront zmarszczył gniewnie czoło. Skorupina w kabinie

już nie było.

Biront miał zwyczaj brać co rano kąpiel. W statkach podziemnych trzeba się było obywać bez wanny, a żeby się umyć należało się wspiąć jeszcze wyżej. Uczony postanowił jednak pierwiej zejść na dół, choć zepsuło mu to humor.

Mechanik i nawigator siedzieli na swoich miejscach. Zapisywali w dziennikach wskazania aparatury.

– Dzień dobry! – Biront powitał ich chmurnie.

– Na powierzchni już południe – uśmiechnął się Andrzej. – Jak się spało?

– Dziękuję, nieźle.

Szukając ostrożnie szczelbi Biront zszedł do swojej kabiny i rozejrzał się, jak gdyby znalazł się tu po raz pierwszy. Na ekranie ujrzał iskrzący się granit. Ciągle tak samo jaśniały matowe sześciany skał, przezrzynane czerwonymi, niebieskimi, czarnymi i pomarańczowymi krechami.

PW-313 przebył właśnie osiemnaście kilometrów, temperatura pokładów podniosła się do trzystu siedemdziesięciu stopni.

Biront zżymał się i spojrzał kątem oka na termometr wewnętrzny: wskazywał zaledwie dwadzieścia pięć stopni. Dziwne. Profesorowi wydawało się, że w kabinie panuje skwar.

Uwagę uczonego przykuły jonizatory. W miejscach, poprzez które brnął podziemny statek, narastały procesy rozpadu radioaktywnego. Biront nie zauważył nawet, jak znalazł się w swoim fotelu przy pulpicie.

Pół godziny, a może godzinę spędził na obserwacjach. Potem poczuł głód i uświadomił sobie, że jeszcze nic nie jadł. W domu śniadanie spożywał zaraz po wyjściu z wanny. Cóż tu oni w tej żelaznej pułapce nie

mają zamiaru w ogóle przyjmować pokarmów? Albo może śniadanie otrzymują dopiero po powrocie, to jest za dwie doby?

Mimo to profesor kontynuował obserwacje. Gdy minęła jeszcze jedna godzina, przyłapał się na łowie- niu dźwięków z zewnątrz, które, jak mu się zdawało, dopływają z bardzo daleka, następując bez przerwy jeden po drugim na podobieństwo uderzeń gromu.

Uczony nerwowo zatarł ręce i zmarszczył brwi. Na owe dalekie grzmoty korpus podziemnego statku rea- gował lekkim wibrowaniem. Biront nagle uzmysłowił sobie osiemnastokilometrową masę granitu, jej straszli- wy nawis nad głową. Czymże jest w porównaniu z nią blaszana puszka PW-313? W skorupie ziemi, jak mu było wiadomo, trwają stale ruchy tektoniczne i wstrzą- sy.

Trzęsienia ziemi!

Jakże mógł zapomnieć o nich w czasie rozmowy z Remizowskim? Przecież statek podziemny znajdzie się w bezpośrednim sąsiedztwie hipocentrum – jądra, skąd rozbiegają się wstrząsy, których samo oddalone echo zmiata z powierzchni ziemi całe miasta albo wzgórza spłaszcza w równiny.

Czyż nie było głupotą z jego strony wyruszać w taki rejs?

Czy przywykły do ciszy swego prywatnego ga- binetu, potrafi się skupić wśród tylu niebezpieczeństw i podjąć prace badawcze?

Powodowany tymi myślami, zszedł do kabiny ster- nika.

– Co słyhać, Walentyne Makarewiczu? – uśmie- chnął się Michejew, spojrzawszy na twarz uczonego, zdradzającą zdenerwowanie.

— Te wstrząsy... — mruknął atomista — mogą przecież zmiażdżyć nasz statek.

— Macie kiepskie wyobrażenie o naszym statku — przekornie uśmiechnął się Michejew. — Nawet jeżeli znajdziemy się w samym hipocentrum, nic nam nie grozi. Wstrząsy, które odczuwacie, pochodzą z ognisk oddalonych o dwieście do trzystu kilometrów. Natomiast nasze zadanie jest o wiele skromniejsze: pograć się zaledwie na głębokość czterdziestu kilometrów, minąć barierę głębi.

5

Bariera głębi...

Termin ten pojawił się stosunkowo niedawno, choć istnienia swego rodzaju granicy między geosferami na określonej głębokości uczeni domyślali się na długo przedtem, zanim pierwsza łódź podziemna za pomocą zwyczajnego frezu i ślimakowej śruby pokonała pierwszy kilometr granitu.

Frez mechaniczny został zastąpiony przez świder termojądrowy, a ślimacznice wyparł silnik odrzutowy. Łódź przekształciła się w prawdziwy okręt. Jednakże w ciągu trzech minionych dziesięcioleci nie udało się przebić czterdziestu kilometrów. Tu się kończyła litosfera, strefa twardych pokładów krystalicznych. Dalej już zaczynała się astenosfera, w której pod działaniem wzrastającego ciśnienia i wewnętrznego żaru ziemi masy kopalin zamieniały się w materię o właściwościach plastycznych.

W warstwach listosfery statek podziemny posuwał się na podobieństwo wiertła wgrzyzającego się w metal, zostawiając za sobą tunel i właściwie nie doznając

nacisku z boku.

W strefie rozpalonej, plastycznej materii zaczynało działać prawo Pascala. Wzrastające bez przerwy ciśnienie mogło zgnieść statek jak skorupę jajka. Użycie trwałych metali alfa pozwoliło zbliżyć się bezpiecznie do bariery, ale nie ułatwiało jej pokonania. Konstruktorzy zrozumieli, że potrzebna jest gruntowna przebudowa statku, całkowicie nowe rozwiązanie problemu.

Poszukiwania trwały przez trzy dziesięciolecia. Zainicjował je naczelny konstruktor fabryki, Remizowski. Z czasem wziął udział w badaniach młody i utalentowany inżynier Wadim Surkow. I właśnie Wadim stał się twórcą i realizatorem idei pola zabezpieczającego, pola magnetyczno-plazmowego.

I oto PW-313 mógł się udać w swoją pierwszą doświadczalną podróż.

Leniwie, lecz bez wytchnienia toruje sobie drogę dysząca ogniem, stalowa wieża. Zagłębia się dokładnie pionowo.

Wadim nie spuszcza oczu z zegarów. Co jakiś czas robi notatki w dzienniku. I czeka. Czekącej chwili, gdy automaty włączą pole zabezpieczające. Strugi wodorowych jąder popłyną z reaktora. Wytworzy się plazma magnetyczna. Jej siła odśrodkowa będzie tak ogromna, że zrównoważy ciśnienie astenosfery na okładzinę korpusu.

Trzeba było jeszcze długo czekać. Statek podziemny minął zaledwie osiemnasty kilometr, a bariera głębi leży poza trzydziestym piątym.

— Bądźcie spokojni — zwrócił się Wadim do Biron-ta — wszystko będzie w porządku, nawet jeśli przyjdzie nam pokonywać nie jedną, ale dziesięć barier

głębi.

I nie zwracając uwagi na obecność uczonego, począł szybko zapisywać wskazania zegarów.

Biront poczuł z przykrością, że się czerwieni. Wtedy, gdy on przeżywa nieokreślone lęki, sternik i dowódca podziemnego statku kontynuują swoją pracę. Nie zmrużyli oka, zapomnieli o jedzeniu, o odpoczynku...

— Spójrzcie, jakie wspaniałości — powiedział Michajew.

Na ekranie pojaśniało, wokół statku zjawiała się niezwykła zorza. Na ciemnowiśniowym tle zagrały smugi światła. Odnosiło się wrażenie, jakoby granit pękał i na końcu długich i głębokich szczelin ukazały się strzępy białego nieba. Nad szczelinami wiszą żółte pasma mgły. Smuga zbliża się, jeszcze minuta, dwie i statek wychynie w jasną, słoneczną przestrzeń.

Lecz światło nagle zgasło, ekran zaciągnął się brudnoceglastym masywem granitu.

— Nastęstwa jonizacji... — mruknął Biront — Niezwykle!

Wtem ekran zapłonął na całej przestrzeni miękkim białym lśnieniem. Biront, zaskoczony, chwycił za oparcie fotela, w którym siedział sternik. Statek podziemny jakby zawisł w próżni, która nie przypominała bynajmniej przestworu południowego nieba. Nie, było to coś szczególnego, grającego odbłaskami szlifowanego kryształu, bez wątpienia twardego (świder nie przestawał pracować pełną mocą), a jednocześnie coś dziwnie przezroczystego, prawie niewidzialnego.

Lecz w tej przezroczystości to tu, to tam pojawiały się cienkie złote pasemka. Przybywało ich coraz więcej, zwisały jak rozpuszczony warkocz albo unosiły się

wzwyż, jak naelektryzowane, przeplatały się z sobą, zagradzały drogę statkowi, usiłowały opleść go, porwać w niewolę.

– Warkocz Bereniki... – Michejew zniżył głos.

– Bereniki? – Biront nie mógł oderwać wzroku od zdumiewającego zjawiska. Nic równie pięknego dotychczas nie widział. Nawet nie podejrzewał, że we wnętrzu ziemi mogą istnieć podobne cuda.

– ...Córka króla Cyrenaiki – powiedział Michejew raczej do siebie niż do Bironta. – Jeśli wierzyć historykom, była prześliczna. A włosy miała ponoć tak piękne, jak żadna kobieta przed nią i po niej. – Sternik zamilkł, westchnął cicho i dodał głosem już prawie obojętnym: – Kryształ segenitowy. Na dużych głębokościach posiada zdumiewającą czystość. A świeci pod wpływem radioaktywnego rozpadu. Te zaś złote nitki to domieszka minerału rytylu, dwutlenku tytanu.

– Taa-ak... – westchnął atomista, który usiłował wyobrazić sobie na chwilę córkę króla Cyrenaiki. Włosy oplatały ją aż do stóp, ciągnąc się za nią jak tren.

W przezroczystym odbłasku ekranu zawisły brudnopomarańczowe obłoki, szare zacieki. Złote nitki pękały i poczęły się rozpływać. Od brzegów ekranu ku środkowi zbliżały się ostre grzebienie granitowych skał.

Jednakże granit nie zdołał się zewrzeć. Zniknął razem z kryształem. Ekran poczerniał. Na miejsce bajkowego dnia weszła równie bajkowa noc.

Statek przebijał teraz metamorficzne pokłady o bogatej zawartości czerwonych rud żelaza. Gdy oczy przywykły do ciemności zalewającej ekran, Biront począł rozróżniać ciemnoczerwone skały, jakby pograżone w czarnych odmętach, zmieniające zarysy i zabarwienie. Raz spiętrzyły się na podobieństwo kolum-

nad, to znów upodobniały do zastygłych grzebieni morskich fal.

– Ach, do diabła!

Michejew gwałtownie wyciągnął rękę w stronę pulpitu i nacisnął zielony guzik. Elektryczny orkan, buchający za statkiem, zgasł. Biront był ogłuszony zapadłą nagle ciszą.

– Co się stało? – zapytał Wadim podnosząc głowę.

– Spójrzcie no tylko na to dziwo!

W centrum kłębiących się fal czerni, jakby wypchnięta z dna morskiego, zakwitła kamienna róża. Była tak potężna, że statek z łatwością mógłby osiąść na jednym z jej płatków. Trzeba było bardzo rozszerzyć kąt oświetlenia promieni lokatora, aby móc ujrzeć ją w całej krasie.

Jej płatki, ciemnoszkarłatne u nasady, stopniowo ku górze przechodziły w błyszczącą czernią.

– Czyżbyście nigdy nie widzieli kryształów hematytu? – zdziwił się Wadim. – Nie poznaję was zupełnie, Piotrze Afanasjewiczu. Jak mogliście zatrzymać maszynę? A bodaj was!

Michejew nacisnął czerwony guzik. Statek ruszył prosto ku środkowi róży, krusząc jej kamienne płatki.

Teraz również Biront spojrział z zaciekawieniem na sternika. Surkow pozostawał obojętny na wszystko, co otaczało statek. A sternik, choć tyle już widział, wpadł w naiwny, niemal dziecięcy zachwyty. I to nad czym! Nad martwymi układami kamieni.

Z całej ekipy wszakże jedynie Biront nie wiedział, iż Michejew posiada także drugą specjalność. Od bardzo dawna poświęcał się malarstwu. Namiętność ta opanowała go już po pierwszych podziemnych wyprawach. Wnętrze ziemi ukazywało mu świat fantastycz-

nej piękności, wypełniony błyskaniem diamentowych pieczar i kryształów. Przychodziło mu już przebijać warstwy jaspisów i przecinać migotliwe rzeki podziemne. Nierzadko statek zostawiał za sobą tunel wydrążony w najczystszej ziemi. -Michejew wstrzymywał oddech, gdy maszyna poczyniała drążyć dziwacznie nagromadzone kryształy berylu, przejrzyste niczym drgające w skwarnej dzień powietrze, tylko z mnóstwem żółtych i z lekka różowych pasemek. Głęb ziemska tała istne „chaszczki” turmalinów, które wzdymały się płomieniem czerwonymi chwiejnymi konarami pomiędzy ły-skającą mętnie miką.

Żaden kalejdoskop nie zdołałby skomponować takiej gamy barw, jakie nieraz już miał okazję widzieć Michejew, ale patrzył zupełnie innymi oczami niż jego współpracownicy. Dlatego też chwycił za pędzel.

Czas byłby najwyższy odejść na zasłużony odpoczynek, dawno już przekroczył pięćdziesiątkę, ale ciągle zwlekał, nie mogąc się rozstać z podziemnymi światami. Dowiedziawszy się o zamierzonej wyprawie zjawił się u Remizowskiego i nie prosił, lecz żądał włączenia go w skład ekipy...

Na ekranie kończyły się czarne skały. W różowym morzu granitu zajaśniały fioletowe smugi, niektóre zmatowiały, inne o zwierciadlanym blasku.

— Ametyst! — Michejewowi wyrwało się westchnienie. — Ileż go tutaj, co? Być może kiedyś będą zeń budowali całe miasta. Wyobrażacie sobie, pałace i domy mieszkalne zbudowane z ametystu?

Wadim pokiwał głową i wstał.

— Z ciebie beznadziejny romantyk, Piotrze Afanasjewiczu. — Czyż można się skupić słuchając takich okrzyków? A co wy na to, Walentynie Makarewiczu.

Biront rozłożył ramiona.

– Warto by jednak coś przekąsić – Wadim spojrział na zegarek. – Oho, nad nami już zasiedli do stołu.

Teraz i Biront poczuł głód.

Cała ekipa zebrała się przy stole. Obudzono Diegtiarewa. Zszedł z hamaku naburmuszony, wyraźnie nie w humorze. Milcząc pochylił się nad postawioną przed nim puszką koncentratu mięsa, opróżnił ją momentalnie i począł zaspanymi oczami wypatrywać nowej ofiary dla zaspokożenia apetytu. Skorupin pełniący dodatkowo obowiązki bufetowego, podsunął mu konserwowane owoce.

Biront boczył się na swego sąsiada – nie podobało mu się zachowanie geologa przy stole.

Natomiast Diegtiarew przypadł do serca Andrzejowi.

Geolog przyszedł do fabryki w miesiąc po zdjęciu PW-313 ze stępki montażowej i wstąpił na oddział w celu zapoznania się z zasadami aparatury. Przywdziawszy kombinezon przesiadywał całymi dniami na stanowiskach konstrukcyjnych, zasypując pytaniami monterów, technologów i mechaników. Usiłował wniknąć we wszelkie subtelności konstrukcji pojazdu, co jako geologowi było mu zupełnie niepotrzebne.

Kiedy przyszła kolej na instalację wyposażenia przeznaczonego dla badań geologicznych, uczony zakasał rękawy. I chociaż okazał się niezbyt przydatnym pomocnikiem, młodzież witała z radością każde zjawienie się dowcipnego i dobrodusznego profesora. Potrafił z jednakowym zapałem rozprawiać o problemach naukowych, co mówić o miłości, albo dawać rady w licznych przypadłościach życia. A nade wszystko zjednał sobie chłopców niezwykłą siłą fizyczną: stalowy pręt o średnicy dwudziestu milimetrów w jego palcach

z łatwością przekształcał się w sprężynę.

Teraz zaś okazało się, że Diegtiarew posiada również olbrzymi apetyt.

– Na jakiej jesteście głębokości? – zapytał nie wiadomo do kogo kierując pytanie.

– Rozpoczęliśmy dziewiętnasty – odparł Andrzej.

– Hm...

Biront aż zachłysnął się z oburzenia widząc, że Diegtiarew znowu idzie w stronę hamaku. Zanim reszta badaczy podniosła się od stołu, rozległo się głośne sapanie geologa, które wkrótce przeszło w imponujące chrapanie.

6

Mijała właśnie pierwsza doba od startu, a Wadim nie mógł się zdecydować choćby na minutową drzemkę. Nie spał także sternik. Obaj stali u pulpitu obserwując w milczeniu migotanie lamp sygnałowych. Głębokość rosła powoli: dwadzieścia osiem kilometrów, trzydzieści jeden... trzydzieści cztery... trzydzieści sześć...

Granit wokół statku stawał się coraz gorętszy, coraz szczelniej przywierał do stalowej skorupy.

Maszyna przebijała się niekiedy przez obszary burzliwych procesów radioaktywnych, poprzez złoża uranu i ołowiu.

Lecz już ani temperatura, ani promieniowanie nie zaprzątały uwagi Wadima. Badał teraz jedynie zmiany w ciśnieniu i widział, jak nacisk na korpus rozpełza się stopniowo od ostrza bora wzdłuż całego poszycia. Materia stawała się plastyczna i jeszcze chwila, a zmiażdży statek, jak otchłanie oceanu rozgniatają podwodne lodzie.

Kiedy ciśnienie osiągnie trzydzieści tysięcy atmosfer,

automaty włączą pole zabezpieczające. Będzie to oznaczało, że PW-313 przeszedł barierę głębi i zaatakował astenosferę.

Wadim nie miał wątpliwości: automaty nie zawiodą. Zabezpieczające działanie pola zostało sprawdzone nie tylko matematycznie, ale również poddane doświadczeniom cybernetycznym. A mimo to nerwy jego ciągle są napięte do ostateczności w oczekiwaniu na uruchomienie urządzeń rozpychających.

PW-313 otrzymał zadanie przekroczenia Rubikonu głębi po raz pierwszy.

Och, żeby tak móc szybciej! Zdaje się, że czas się zatrzymał.

A tam, na górze, tysiące, nie, miliony ludzi oczekuje sygnału ze statku: bariera przełamana! Od tego czasu zacznie się systematyczny podbój ziemskich głębi, sprawa nie mniej, a może bardziej trudna niż opanowanie kosmosu.

Zamiast rozpalonego granitu Wadim widzi na ekranie gabinet naczelnego konstruktora. Wie, że Remizowski także nie zmrużył oczu tej nocy. Założył do tyłu ręce, pochylił głowę i chodzi bez ustanku, oczekując telefonicznego dzwonka.

Zarówno naczelnny konstruktor, jak i jego młody pomocnik marzyli o jednym: o zbudowaniu statku podziemnego, który by dotarł do jądra Ziemi. Remizowski poświęcił realizacji tego marzenia czterdzieści lat życia, Wadim Surkow — zaledwie cztery. Rezultatem ich wspólnego wysiłku stał się PW-313. Trudno powiedzieć, czyja zasługa była większa. Ani Wadim, ani Remizowski nigdy nie mierzyli, nie obliczali włożonego trudu. Jeżeli Surkova cokolwiek odróżniało od starszego konstruktora — to jedynie niecierpliwość i gwał-

towność.

Remizowski zwykł pracować bez pośpiechu, jego każdy ruch był przemyślany, wielokrotnie sprawdzał każdą śrubkę. Lubił także zasięgać rady. Sam szukał luk w swoim rozumowaniu. Jego hasłem było: „Powoli i ostrożnie!”

Wadim natomiast trzymał się zasady: „Śmiało i odważnie”!

Naczelnym konstruktor powstrzymywał Wadima przywodząc go nierzadko swoją powolnością do furii. Lecz za każdym razem, ochłonawszy, Surkow dochodził do wniosku, że szef ma rację.

Remizowski przebywał w swoim gabinecie i czekał na rezultat doświadczeń z PW-313. Nawet w młodości nie brał udziału w rejsach podziemnych.

Wadim nie potrafiłby czekać. Postanowił sam kierować próbą.

– Bazalt!

Okrzyk Michejewa wyrwał Wadima z rozmyślań. Ekran szerniał posiekany pajęczyną ognistych iskieł.

– Bazalt – powtórzył Wadim. – I rozpalona magma. Piętnaście, dwadzieścia minut drogi od astenosfery.

– Aparatura pracuje sprawnie.

– Inaczej być nie może.

Gdzieś, zupełnie blisko, rozlegały się przygłuszone grzmoty. Następowały tuż po sobie, niemal bezustannie, przebijając się przez łoskot silnika i świdra. Lecz o wiele bardziej dawało się odczuć wibrowanie korpusu. Czujki sejsmograficzne króciutkimi skokami świecących fioletowo nitek zaznaczały odległość od ogniska wstrząsów: czterysta dziesięć kilometrów, czterysta dwa, trzysta siedemdziesiąt... Rozżarzony, zwarty ka-

mień świetnie przenosił fale dźwiękowe, stąd powstawało wrażenie, jakoby ogniska wstrząsów znajdowały się nie dalej jak sto metrów. Tam, w łonie Ziemi, dokonywało się coś takiego, co na powierzchni powodowało trzęsienia ziemi.

Jednakże nie wszędzie hipocentra leżały pod warstwą trzystu, czterystu kilometrów. Tworzyły jakby dno czaszy, której krawędzie podnosiły się ku brzegom Oceanu Spokojnego, obejmowały Wyspy Kurylskie, Japonię, Indonezję, groźnie zbliżając się do powierzchni skorupy ziemskiej.

I właśnie w tych miejscach wulkany zionęły ognistą lawą, a wstrząsy zamieniały w ruinę całe miasta.

7

Diegtiarew zbudził się nagle, jakby mu ktoś dał kuksańca w bok. Siadł w hamaku, nasłuchiwał, mruknął swoje ulubione: „Ach, zangezur-zanzibar”! — i nad podziw zręcznie zsunął się do kabiny Bironta.

— Jeszcześmy nie wrócili na powierzchnię — zauważył zgryźliwie fizyk atomowy. — Możecie spać spokojnie.

— Nie, nie, posłuchajcie — Diegtiarew podniósł palec. — Ale huczy!

— Co huczy?

— Astenosfera. Ciekawe, jak nas powita. Wyobrażacie sobie, co zostanie ze statku, jeżeli nie wytworzy się pole zabezpieczające?

Biront bynajmniej nie miał ochoty wyobrażać sobie tego. Spiorunował geologa spojrzeniem zapisującym w dzienniku wskazania instrumentów. Lecz jego palce po słowach Diegtiarewa odmówiły posłuszeństwa. Co

za wstrętny człowiek! Wstał jedynie po to, żeby innym odbierać chęć do pracy.

Diegtiarew usiadł przy pulpicie. Po gospodarsku obrzucił spojrzeniem cztery łukowate linie instrumentów i przeniósł wzrok na ekran.

– Bazalt nefelinowy z przewagą augitu – skonstatawał z zadowoleniem. – Na razie nic nowego. Zobaczmy, co będzie dalej.

Łamliwe zygzaki ognia znikły z ekranu, aby pojawić się znów w znacznie większych rozmiarach. Dziwaczne ich zarysy przypominały rozgałęzione błyskawice albo splątany kłęb kabli. Rozpalone potoki magmy usiłowały utorować sobie drogę poprzez kamień, wyciągały swoje macki w stronę korpusu PW-313. A on parł w kierunku ognia, jakby pragnąc zmierzyć swoją siłę z żywiołem.

Diegtiarew rozprostował ramiona, zgiął je w łokciach, ziewnął, szeroko otwierając usta, po czym wydobył ze skrzynki pulpitu pióro elektryczne i dziennik, aby zapisać uwagi.

– Bazalt nefelinowy – powtórzył geolog, gdy napisał zdanie. – Krzemionka, a-a-a – znów ziewnął – krzemionka, pięćdziesiąt jeden procent, żelaziak tytanu...

– Pozwólcie zwrócić sobie uwagę – przerwał mu Biront. – Nie jesteście tutaj sami, nie mogę pracować, kiedy ktoś obok mnie mówi.

– A... no, no!

Po kilku minutach Diegtiarew znowu zaczynał. Wymieniał procentową zawartość składników głębi, wydawał jakieś niezrozumiałe dźwięki albo powtarzał swoje ulubione: „Ach, zangezur-zanzibar”!

Biront musiał, zaciskając zęby, wysłuchiwać długich

monologów, gorących sporów z wyimaginowanym oponentem na temat składu chemicznego warstw oraz ironicznych uwag o tym, że nie będzie nic dziwnego, jeżeli w centrum Ziemi znajdą zwyczajną błotnistą wodę.

Biront męczył się dobrą godzinę. Pomrukiwanie geologa wprowadziło go w stan takiego rozdrażnienia, że przez minutę nie słyszał odgłosów podziemnych wybuchów. Uczony oderwał wzrok od instrumentów, aby wyrazić swój najgorętszy protest.

Nagle, gwałtowne rozbłyśnięcie ekranu tak przykuło jego uwagę, że zapomniał o całym świecie. W pierwszej chwili, nic nie pojmując, zmrużył oczy. Potem odniósł wrażenie, że na środku pulpitu, w ogromnej czaszy, bulgocze roztopiona miedź. W twarz jego zionęło żarem.

– Co... co to jest?

Diegtiarew spojrział na ekran z roztargnieniem.

– Zwyczajna magma – wyjaśnił i znów pogрузił się w notatkach.

Statek drgnął lekko i jego szybkość wzrosła. Maszyna znalazła się wśród rozpalonego kamienia. Ognista maź oblała ją ze wszystkich stron, a statek zagłębiał się w nią, niczym batyskaf w głębiny oceanu. Huk dobiegający z oddali przycichał. Jednocześnie pod instrumentami kontrolującymi ciśnienie na korpus zabłyśły czerwone światelka.

Minęła jeszcze jedna godzina, druga, trzecia...

Maszyna kontynuowała swoją podróż przez morze ognia, coraz głębiej, coraz głębiej...

Nagle rozległ się przyciszony świst i na pulpicie rozgorzała jeszcze jedna czerwona lampka. Automaty włączyły pole zabezpieczające.

Wadim wczepił się palcami w poręczę fotela. PW-

313 przeszedł barierę głębi i znalazł się w astenosferze!

Michejew położył obie ręce na klawiaturze przycisków. Tak pianista, gotowy uderzyć pierwsze akordy, zwleka w oczekiwaniu, aż ucichnie sala. Niewielki wysiłek jednego lub drugiego palca – i automaty natychmiast wypełnią polecenie sternika: zatrzymają maszynę, każą jej zawrócić albo z jeszcze większą szybkością ruszyć naprzód.

Michejew także czuł się nieswojo. Jeśli „pole” odmówi posłuszeństwa, nie zdąży nawet nacisnąć guzika. Wszystko dokona się nader szybko...

Instrumenty wskazywały trzydzieści i pół tysiąca atmosfer.

– Czterdzieści jeden kilometrów – powiedział Wadim, z wysiłkiem otwierając wyschłe wargi. – Czterdzieści jeden kilometrów i siedemdziesiąt dwa metry – powtórzył już mocniejszym głosem. – Jesteśmy w astenosferze. Słyszycie? Piotrze Afanasjewiczu? W astenosferze!

Michejew powoli zdjął palce z klawiatury guzików, poruszył je w zmartwiałych stawach. „Zupełnie jakbym stchórzył” – przemknęło mu przez myśl. Miał za sobą sto siedem rejsów, nie licząc pierwszego, który był właściwie próbą, i nie doznał ani razu uczucia strachu. A oto teraz serce mu drżało w jakimś męczącym oczekiwaniu.

– Mechanik, nawigator? – rzucił Wadim do mikrofonu.

– Wszystko gra – odezwał się Czurakow. – Gratuluję sukcesu, Wadimie.

– Dzięki. Nawigator, przygotować się do wysłania komunikatu!

– Rozkaz!

Jeszcze jeden dźwięk wplótł się w ogólną symfonię pracujących mechanizmów. Był to dźwięk niski, uroczysty niczym drganie mocno napiętej basowej struny wiolonczeli. To zaczął pracować nadajnik ultradźwiękowy.

– Możecie mówić, Wadimie Siergiejewiczu – powiedział Skorupin.

Wadim pochylił się nad mikrofonem.

– Mówi statek podziemny PW-313. W tej chwili pokonaliśmy barierę głębi i weszliśmy w astenosferę. Odległość od powierzchni czterdzieści jeden kilometrów. Ciśnienie trzydzieści i pół tysiąca atmosfer. Temperatura zewnętrzna tysiąc dziewięćdziesiąt stopni. Mechanizmy w zupełnym porządku.

Ani słowa więcej. Wadim unikał wielosłowości, choć rozpiełała go prawdziwie dziecięca radość, pragnienie podzielenia się nią z kimkolwiek.

– Czemu nie pozdrowiłeś Arkadiusza Siemionowicza? – zapytał cicho Michejew. – Trzeba by przesłać pozdrowienia całemu kolektywowi, przekazać podziękowania za taką maszynę.

– Racja – zgodził się Wadim, lecz nawigator już przeszedł na odbiór.

8

– Stop!

Na rozkaz Wadima sternik zatrzymał bor i silnik. Maszyna stanęła. Nie zaniechało pracy jedynie urządzenie zabezpieczające.

Wadim i Andrzej zajęli się sprawdzeniem aparatury. Sprawdzili stan systemu ssącego i komór nagrzewczonych. Upewnili się co do ognioodporności ścian termo-

polimerowych, następnie przeszli do oględzin systemu przekąźnikowego, choć automatyka znajdowała się pod stałą kontrolą układu zwrotnego, i żadnych zakłóceń nie było.

Nadszedł czas powrotu. Osiągnęli wprawdzie zwycięstwo, ale wszystko odbyło się jakoś zbyt prosto, bez wielkiego napięcia sił fizycznych i duchowych. Walka toczyła się raczej tam, na górze, w biurze konstrukcyjnym, trwała wiele lat i zakończyła się tutaj, rejsem PW-313.

Statek zatrzymał się na głębokości czterdziestu jeden kilometrów. Pod nim zatrzymał się masyw sześciu tysięcy siedmiuset. Cóż znaczyło czterdzieści wobec sześciu tysięcy...

Wadim wyobraził sobie przepastne obszary wnętrza ziemi i poczuł zawrót głowy, jak człowiek zagląający w otchłań. Bezdeń wabi, przyciąga...

– Diabło nie chce mi się wracać na górę – przyznał się Andrzejowi. – Maszyna potężna, pewna. Kiedyśmy dawniej próbowali dobić do bariery, ryzykowaliśmy w pewnej mierze życie, a dziś...

– Przecież sam układałeś program badań.

– Nie sam. I nie myślałem, że będę odczuwał podobny... niedosyt.

Andrzej oglądał przekąźniki. Oto człowiek nie mający żadnych życzeń. Gdy teraz Wadim powie: „Spróbujmy ruszyć ku jądro Ziemi!” – Andrzej wzruszy ramionami i odpowie: „No, cóż, ruszajmy”.

Od dziecka, od szkolnej ławy przebywali razem. Ich losy biegły jakby równoległe. Jednego dnia ukończyli szkołę, zaciągnęli się do tej samej fabryki, wstąpili na ten sam wydział, uczyli się w jednym instytucie, zostali inżynierami.

Ale prowodyrem zawsze był Wadim. Wodził przyjaciela za sobą, ale go nie porwał swoimi ideami. Wadim pragnął się poświęcić budowie statków podziemnych. Andrzej wysłuchawszy gorących wyznań przyjaciela, powiedział: „No cóż, budujmy statki”.

Ponad szeregowego mechanika Andrzej się nie wybił. Co prawda zdobył sympatię towarzyszy swoim zdumiewającym opanowaniem, które nie opuszczało go nawet w niebezpieczeństwie.

Przyzwyczał się do statku jak do własnego mieszkania. Badał go i zapoznawał się z nim, dopóki nie zapamiętał każdej śrubki, każdej nakrętki, każdego kabla. Usterki wynajdował szybko, usuwał je po gospodarstwu, na pewniaka.

– Rób jak chcesz – odparł wreszcie Andrzej zamykając skrzynkę automatów. – Ale ja bym się na twoim miejscu nie śpieszył. Zdążysz jeszcze się dostać do jądra Ziemi, zdążysz.

Czekać?

Dotychczas rejsy następowały jeden po drugim. Cel doświadczeń formułowano zwięźle: przedłużenie czasu pracy poszczególnych zespołów. Rejs PW-313 to wyjątkowa sprawa. Maszyna zawisła oto nad rozżarzoną kamienną otchłanią, do której nikomu jeszcze nie udało się dotrzeć.

Wracać? Teraz?

Ale z czym? Statek zdał egzamin. Znakomicie. Lecz zadowalać się małym nie leżało w charakterze Wadima. Przecież nie dokonał nic takiego, co pchłoby myśl ludzką na nowe tory, ukazało nowe idee.

9

– Hm – burknął Diegtiarew i podrapał się w ły-

się. — Kontynuować badanie astenosfery... Nęcąca propozycja, nie można powiedzieć. Mówicie, że nie ma żadnego ryzyka?

— Mielicie okazję przekonać się o tym — wzruszył ramionami Wadim. — Bariera głębi została przekroczona bez żadnych komplikacji. Nie wymagało to z naszej strony żadnych szczególnych wysiłków. Mnie zaś jako konstruktora interesują warunki, w których statek otrzymałby prawdziwe, solidne obciążenie.

— Rozumiem was. A co wy na to, Walentynie Makarewiczu? — Diegtiarew zwrócił się do atomisty.

— Ja domagam się natychmiastowego powrotu! — cienkim głosem wykrzyknął Biront. — Zapewniano mnie, że to nie będzie trwało długo. Nie mam ochoty dłużej tkwić pod ziemią. Jak na mnie, zupełnie wystarczy.

— O ile was zrozumiałem — delikatnie zauważył Wadim — wykonaliście całkowicie program zamierzonych badań?

— Przeciwnie, nie zrobiłem nawet połowy tego, co zamierzałem. Potrzebny by mi był cały miesiąc, nie dwie doby — rozbroił się nieroztropnie Biront. — Zanim człowiek przywyknie do tej waszej ciasnej puszki...

— Rozumiem. A wy, Mikołaju Mikołajewiczu?

— Stwierdziłem jedynie to, co było mi wiadome z poprzednich rejsów. To co mnie najbardziej interesuje, tkwi znacznie głębiej.

— Tak więc, o ile się orientuję — Wadim uśmiechnął się samymi kącikami ust — wszyscy życzą sobie powrotu.

Dźwięcząca w słowach Wadima ironia mocno ugodziła Diegtiarewa. Zgarbił się, twarz mu pociemniała.

– Nauczyłem się cenić dyscyplinę – powiedział. – Każdy dowódca statku posiada swój program badań, uzgodniony z naczelnym konstruktorem fabryki.

– Jestem nie tylko dowódcą statku – przypomniał Wadim – ale również zastępcą naczelnego konstruktora. Dano mi prawo zmiany programu w zależności od wyników sytuacji. W przeciwnym wypadku ta rozmowa nie miałaby miejsca.

„Lis! – pomyślał Diegtiarew. – Mądry szelma. Po słowa do kieszeni nie lezie!”

– No, jeżeli rozkażecie – geolog wyduł wargi i zmrużył oczy – będziemy musieli się podporządkować.

– Kto „my”, jeśli łaska? – skoczył atomista żywo gestykulując. – Ja żądam kategorycznie...

– Uspokójcie się! – odezwał się nieoczekiwanie Diegtiarew. – Trzęsiecie się ze strachu jak... jak nie wiem kto. Naopowiadaliście o swojej teorii ochładzania, aż do znudzenia, a kiedy nadarza się okazja sprawdzić ją na miejscu, chcecie zwiewać! Wstyd, kolego! Nic się wam nie stanie, jeżeli damy nura sto-dwieście kilometrów głębiej.

Biront nie posiadał się z oburzenia. Zaczął ciskać na Diegtiarewa tak wściekle spojrzenia, że Michejew, Czurakow i Skorupin nie mogli powstrzymać uśmiechów.

– Popieram w zupełności projekt Wadima Siergiejewicza – wmieszał się do rozmowy Andrzej. Pragnął podtrzymać towarzysza. – Statek znajduje się w doskonałym stanie. Ręczę za sprawność mechanizmów.

– Dogadaliśmy się – Diegtiarew pokręcił głową skruszony. – Obaj z Walentynem Makarewiczem – tu mrugnął do atomisty – nie oponujemy przeciw zagłę-

bieniu się o setkę kilometrów. Seteczkę, nie więcej. Ale ostrożniutko, ostrożniutko.

– To się rozumie – rzekł Wadim powściągliwie.

– Ja natomiast jestem stanowczo przeciw – odezwał się milczący dotąd Michejew. – Żądam wykonania zaleceń naczelnego konstruktora bez dyskusji.

– Nie zapominaj, że jest tu jego zastępca! – rzucił się Wadim.

– Otóż to, zastępca, ale nie naczelny konstruktor. Dysponować maszyną doświadczalną można jedynie za jego zgodą.

– Pawle Ignatjewiczu – Wadim zwrócił się do nawigatora – bądź tak dobry i połącz towarzysza Michejewa z dyrekcją fabryki.

Skorupin wzruszył ramionami.

– Na jakie ciśnienie obliczone jest urządzenie pola zabezpieczającego? – zapytał Wadim sternika.

– Do trzystu milionów atmosfer.

– Tak. A co wskazują instrumenty?

– Trzydzieści i pół tysiąca.

– I wy, sternik doświadczalnych statków głębinowych, uznajecie dotychczasowe osiągnięcie za wystarczające?

Michejew się zmieszał.

– Uważam zebranie za skończone.. – Wadim wstał. – Za ogólną zgodą przedłużamy próbę statku. A także badania naukowe. – Popatrzył z uśmiechem na Bironta. – Głębokość drążenia będzie zależała od warunków i od naszej wytrzymałości. – W oczach dowódcy widniał zagadkowy uśmiech. – Mechanik i sternik na miejsca!

Surkow skierował się w stronę luku. Za nim pośpieszył Andrzej.

– A jednak postępujecie niesłusznie. Wadimie Siergiej ewiczu – powiedział Michejew zajmując miejsce przy pulpicie naprzeciwko Surkowa. – To niepoważne.

– Start! – zamiast odpowiedzi Wadim wydał rozkaz.

Zaskoczył silnik. Statek drgnął.

„Do jądra Ziemi, do jądra Ziemi – Wadimowi łomotało serce. – W niewiadome! W nieznanne”!

10

Roztopiona magma została poza nimi. Ekran lokatora świecił coraz jaśniej. Barwa kipiącej miedzi znikła, pojawiły się natomiast złote błyskania i to tak mocne, że zaszła konieczność zmniejszenia napięcia prądu zasilającego lokator.

Bazalt rozgrzany niemal do dwóch tysięcy stopni pozostał twardy, choć temperatura dawno przewyższyła punkt jego topliwości. Sprasowana materia stała się arcytwarda. Atomy uwięzione w rombach kryształów zamiast rozprzestrzeniać się swobodnie pod wpływem ciepła, musiały się ścieśnić.

Instrumenty sygnalizowały głębokość pięćdziesięciu kilometrów, PW-313 spokojnie kontynuował podróż. Ciśnienie przekraczało już czterdzieści tysięcy pięćset atmosfer.

W dół... w dół... w nieznanne!

Nic nie zakłócało precyzyjnej, sprawnej pracy mechanizmów. Wadim nabierał przeświadczenia o swojej słuszności.

Wysłali na powierzchnię oficjalne zawiadomienie:

Wszystko w porządku. Kontynuujemy schodzenie w dół, ażeby wypróbować statek w cięższych warun-

kach i przeprowadzić pełniejszy kompleks naukowych badań.

Nie otrzymali odpowiedzi. Być może nie dotarł na powierzchnię komunikat wysłany ze statku albo sygnał ze stacji naziemnych zagubił się gdzieś daleko od kursu PW-313.

Wadim pogрузił się w pracy. Instrumenty dawały mu obraz wzajemnego oddziaływania zwartych pokładów i mechanizmów. Dowódca przedzierzgnął się teraz w konstruktora – sprawdzał w działaniu reaktor, bor, silnik, pole magnetoplazmowe.

Sternik ciągle się jeszcze wahał, nie wiedząc, jak ma postąpić; sprzeciwić się woli swego bezpośredniego zwierzchnika czy też się podporządkować...

Upór Wadima w jakiś sposób przypadł Michejewowi do serca. Bo jeżeli postępuje tak dla dobra sprawy, to czemuż by nie zaryzykować? Ale naczelny nie daruje takiej samowoli. Wszystkim się dostanie. Stracisz, człecz, zaufanie...

Zachmurzył się Michejew, spojrział na dowódcę: miody, zapalczywy i widocznie żądny odkryć. Poważają go w fabryce, mówią, że jest bardzo zdolny. Remizowski zaś to człowiek ostrożny, zapewne wiek robi swoje...

Michejew westchnął i zajął się mechanizmami sterowania.

Diegtiarew i Biront po rozmowie z Surkowem wrócili do swojej kabiny, aby kontynuować przerwane badania. Zaledwie jednak podłoga drgnęła pod ich nogami i popłynęła w dół, Biront zamknął dziennik i skoczył na równe nogi.

– Dokąd to kolega? – zdziwił się Diegtiarew.

Atomista wdrapał się do kabiny odpoczynku i legł w hamaku. Poczłł się naprawdę niedobrze. Dokąd to

będzie trwało? Co sobie myśli ten fanatyk Surkow?

Nie potrafił wszakże leżeć i nic nie robić. W domu nie pozwoliłby sobie na takie marnowanie czasu. Ale tu nie znajdował innego sposobu dla wyrażenia protestu. Wydawało mu się, że załoga statku będzie wstrząśnięta jego rezygnacją.

Niestety, oprócz Diegtiarewa nikt nie zwrócił uwagi na dziwne zachowanie się atomisty. Wszyscy byli pochłonięci pracą. Jeśli zaś idzie o geologa, to ten grubianin powiedział:

– Takie horyzontalne położenie ciała bardziej wam odpowiada.

– Proszę zostawić mnie w spokoju – warknął rozdrażniony Biront.

Osamotniony Diegtiarew zapisywał przy pulpicie stroniczkę po stroniczce, chrząkał zadowolony, wygłaszał długie monologi. Miał do dyspozycji najbardziej precyzyjną aparaturę elektronową. Pozwalała mu ona nie tylko na określenie składu chemicznego warstw bazaltowych, przez które drażył sobie drogę statek, lecz również ich właściwości fizycznych, co najbardziej geologa interesowało.

– Sprawdzimy dialektykę w działaniu – powtarzał sobie. – Ilość musi nieuchronnie doprowadzić do pojawienia się nowej jakości.

I obserwował, jak pod wpływem wzrastającego ciśnienia coraz bardziej zwarcie grupują się w molekułach atomy. Chodziło tu nie tylko o większy stopień twardości. Nastąpi moment, gdy niezmierne skupienie atomów spowoduje przejście materii do innego stanu.

Lecz jakiego?

Dobiegała końca druga doba podróży. Nad głowami badaczy wisiał potężny strop grubości dziewięćdziesię-

ciu kilometrów.

Dziewięćdziesiąt kilometrów!

Kiedy Diegtiarew uroczystym tonem obwieścił tę wiadomość leżącemu w hamaku atomiście, ten poczuł ściskanie w dołku, a jego długa twarz wyciągnęła się jeszcze bardziej. Geolog pomrukując swoje „zangezur-zanzibar” siadł przy stole i otworzył puszkę galaretowatego koncentratu. Birontowi wydawało się, że Diegtiarew ma jakiś nienormalny apetyt.

Nadszedł czas snu. Biront zamknął powieki, lecz przeszkadzało mu jaskrawe światło lampy. Zgasił ją. Teraz odczuł wyraźniej wibrowanie korpusu – dźwięk, do którego zaczął się już przyzwyczajać. Wstrząsy podziemne zdawały się potęgować w ciemności, przybliżać do samej kabiny (coraz większemu ciśnieniu podlegająca materia lepiej przewodziła fale sejsmiczne).

Biront pośpiesznie zapalił światło i zrozumiał, że nie potrafi zasnąć. Nie mogąc znieść samotności, zszedł do kabiny roboczej, choć nie miał wielkiej ochoty siedzieć twarzą w twarz z Diegtiarewem. Z każdą godziną rosła antypatia atomisty do geologa.

Na szczęście Diegtiarew spał. Biront sądził, że tutaj, w fotelu, jemu także uda się zasnąć. Co prawda w kabynie gorzało światło bijące z ekranu. Biront wyciągnął rękę w stronę kontaktu. Ekran zgasł, pozostało jedynie migotanie różnokolorowych nitek na białych tarczach skal.

Usadowiwszy się wygodnie w fotelu Biront zamknął oczy. Przez minutę odczuwał spokój. Lecz tylko przez minutę. Jego wyostrzony słuch złowił chrapanie Diegtiarewa. Geolog nawet w czasie snu potrafił zatruwać mu egzystencję.

Biront włączył ponownie ekran i mrużąc oczy popa-

trzył na pomarańczowy dysk, po czym odwrócił głowę w kierunku głębiomierza.

Sto kilometrów!

Skulił się w fotelu, oczy rozszerzyły mu się gwałtownie. Czymże się to wszystko skończy?

W najbliższym szeregu instrumentów zamigotało czerwone oczko licznika Geigera, mignęło tylko raz i zgasło. Króciutki błysk światła nie od razu dotarł do świadomości atomisty. Gniew na Diegtiarewa oślepił go.

Nagle złość ustąpiła. Lampka poczęła bez ustanku migać.

– Mezony?

– Co takiego? – Diegtiarew otworzył oczy.

– Mezony!?

Biront począł tak szybko kręcić gałkami instrumentu, że rozbudzony Diegtiarew nie mógł w żaden sposób zorientować się, co zaszło.

– Tu jeszcze nie powinno być mezonów – mruczał Biront. – Nie oczekiwałem ich tak szybko...

– Mezony? Więc nie żartujecie?

Diegtiarew wstał i obszedł pulpit, aby lepiej widzieć licznik cząstek atomowych.

11

W swoim czasie panował pogląd, jakoby ziemia składała się jedynie z dwu geosfer: twardej, lecz cienkiej powłoki-skorupy oraz roztopionej magmy, która się rozprzestrzenia aż do samego centrum.

Badając szybkość rozchodzenia się fal sejsmicznych uczeni doszli do wniosku, iż bliżej centrum Ziemi materia posiada niezwykłą twardość przewyższającą stalo-

we odlewy.

Tak więc Ziemia jest ciałem twardym.

Jednakże nie rozstrzygnięte pozostało inne zagadnienie: skład chemiczny materii a różnych głębokościach.

Jedna grupa uczonych twierdziła, że w miarę wzrostu głębokości zaczynają przeważać elementy ciężkie, zaś jądro składa się już z czystego żelaza, niklu, kobaltu i chromu.

Druga grupa uczonych (do tej należał Diegtiarew) uważała, że budowa globu ziemskiego jest jednolita na całej głębokości. Co zaś się tyczy wielkiego ciężaru gantunkowego jądra, to tu można wszystko wyjaśnić po prostu ogromnym ciśnieniem, któremu podlegają warstwy dolne.

Lecz jaki ma wpływ ciśnienie na fizyczne właściwości materii? Czy każdy pierwiastek chemiczny pozostaje niezmienny, czy też ciśnienie gruntownie przeobraża jego strukturę wewnętrzną?

Na długo przed rejsem PW-313 geofizycy stwierdzili, iż na granicy litosfery i astenosfery struktury krystaliczne przechodzą w amorficzne. Kryształy przestały istnieć! A dalej? A głębiej? Czy nie znikną także molekuly? Czy atom nie ulegnie rozkładowi? I w ogóle co wtedy pozostanie?

Współczesne ultramikroskopy elektronowe i projektorry jonowe umożliwiły dokładne zbadanie struktury materii i atomu.

Współczesne radioteleskopy pozwoliły odkryć nowe galaktyki przedtem niedostępne dla obserwacji.

Nie udało się jedynie skonstruować instrumentu, który by pozwolił zajrzeć w głąb planety. Szczelna zasłona prawie trzech tysięcy kilometrów zgęszczonej i zbitej materii ukrywała jądro Ziemi przed oczyma bada-

czy.

Należało więc przebić astenosferę.

Właśnie dlatego poszukiwacz-geolog Diegtiarew związał swój los z próbami statków głębinowych. Jego marzeniem było przeniknięcie do astenosfery. Tu miał nadzieję znaleźć choćby tylko ułamek tych zjawisk, które dokonują się w jądrze, jeśli nie całkowicie, to choćby w przybliżeniu zrozumieć, jakie są przyczyny trzęsienia Ziemi, przesuwania się kontynentów, przemieszczania biegunów magnetycznych.

Diegtiarew mimo że pokpiwał z Bironta i jego teorii ochładzania, widział w nim swego sojusznika. Wysiłki atomisty bowiem skierowane były ku temuż celowi: zbadać, jakim przemianom ulega materia pod wpływem ciśnienia. Diegtiarewa interesowała zewnętrzna forma przemian, Bironta zaś wewnętrzna.

Teraz, na przykład, ciśnienie stale wzrasta, a temperatura podnosi się znacznie wolniej, niżby tego należało oczekiwać zgodnie z prawami fizyki. Powstaje pytanie: w co się zamienia energia nacisku?

Nie będąc dostatecznie obeznany z fizyką atomową, Diegtiarew oczekiwał z niecierpliwością, do jakich konkluzji dojdzie Biront. Niestety, ten się zbuntował i opuścił kabinę.

Nagle zjawiły się mezony.

Diegtiarewa z początku dziwiło wzruszenie Bironta. Właściwości mezonów stanowiły przedmiot nauczania w każdej szkole. Odkryto je w atmosferze w roku 1937 i ustalono, że powstają pod działaniem promieni kosmicznych. Cząstki te, dwieście razy cięższe od elektronów, posiadają przeważnie taki sam ładunek, lecz mogą mieć znak zarówno dodatni jak i ujemny (elektrony ciężkie). Rodząc się, mezony żyją jedynie dwie milio-

nowe cząstki sekundy. Ginąc wytwarzają zwyczajne elektrony i promieniowanie.

Przez długi czas uczonym nie udawało się otrzymać mezonów poprzez sztuczne bombardowanie atomów. Promienie kosmiczne bowiem posiadają energię zgoła olbrzymią. Gdyby Ziemię pozbawić na jedno mgnienie atmosfery wszystko na jej powierzchni zamieniłoby się w popiół. Nie tylko na powierzchni. Promienie kosmiczne przenikają głębiny wód docierając do dna oceanów. Przebijają setki metrów w głąb kamiennych pokładów.

Sztuczne otrzymywanie mezonów stało się możliwe, kiedy fizycy atomowi zaczęli się posługiwać synchronozotronami o energii sięgającej miliardów elektronowoltów.

Tu, na głębokości stu kilometrów, nie mogły dotrzeć mezony zrodzone z promieni kosmicznych. To znaczy, że instrumenty odkryły promieniowanie innego rzędu. Jeżeli więc nie jest ono pochodzenia kosmicznego, nie dostaje się tu z zewnątrz, źródło jego tkwi we wnętrzu Ziemi.

Teraz Diegtiarew zrozumiał, co tak wzburzyło Bironta.

Mezony zjawiały się i ginęły. Cykanie licznika złało się w jeden ciągły dźwięk, przypominający jęk piły tarczowej tnącej suche drzewo.

Mezony przyniosły Birontowi upragnioną wiadomość: astenosfera na całej swej grubości przesiąknięta jest niezmiernie silnym promieniowaniem, którego istnienia Biront domyślał się jeszcze tam, na powierzchni, w swoim gabinecie. Promieniowanie powstało w rezultacie rozpadu jąder atomowych, lecz bez emanacji termojądrowej w postaci gorąca. W rzeczy samej moż-

liwość taką nasuwała teoria ochładzania.

Biront nie posiadał się z radości. Oto pierwsze fakty! Hipoteza ochładzania stanie się (już on postara się o to!) takim samym aksjomatem jak prawo ciężenia. Trud nie był daremny. Prawda triumfuje!

Wszakże bardzo szybko zapał uczonego ostudziła druga, tym razem nieprzyjemna myśl: statek podziemny razem z nim, Birontem, posuwa się na spotkanie promieni, które rodzą mezony. Chłodzące właściwości astenosfery będą nieustannie maleć. Załoga wystawia się na niebezpieczeństwo, którego nie potrafi w pełni ocenić nawet sam Biront.

Jedno jest jasne: czeka ich śmierć.

Na tę myśl zrobiło mu się zimno. Spojrzał z przerażeniem na Diegtiarewa, przełknął ślinę i znowu wczepił się w przełączniki. Długie, kościste palce spotniały mu tak, że od ich dotyku przełączniki stały się lepkie.

Ale nic nie potrafiło go oderwać od pulpitu.

— Nie zauważyliście momentu pojawienia się mezonów, gdy mnie tu nie było? — zapytał Diegtiarewa. — Pragnąłbym wiedzieć, na jakiej głębokości pojawiły się symptomy promieniowania.

Diegtiarew rozłożył ręce.

— Nic, nic... — uspokajał siebie atomista. — Sprawdzę to w drodze powrotnej.

12

Od czasu gdy statek opuścił powierzchnię Ziemi, miała trzecia doba. Jego załogę dzieliła od światła słonecznego przestrzeń stu pięćdziesięciu kilometrów. Życie mieszkańców kabin PW-313 toczyło się zwykłą koleją.

Pracowali w określonym czasie, zbierali się przy stole, odpoczywali. Najwięcej jednak czasu poświęcali pracy i nikt już nie wspominał o powrocie na powierzchnię.

Ilekcóż strach podkradał się do Bironta, uczony fizyk pocieszał się stwierdzeniem, że do apogeum promieniowania jeszcze daleko, a statek posuwa się wolno i odporność jego ścian na razie jest zupełnie wystarczająca.

Za przykładem Diegtiarewa próbował usnąć przy pulpicie, lecz powierciwszy się czas jakiś w fotelu, uciekał. Wprost organicznie nie znosił jego chrapania.

Nadal drażniło go przyzwyczajenie geologa do głośnego wypowiedzania myśli, ale już nieco mniej niż na początku. Zdarzały się chwile, że Biront, pochłonięty badaniami, zupełnie nie reagował na bodźce zewnętrzne i zapominał, gdzie się znajduje.

Nade wszystko jednak cenił sobie pracę w samotności. Ale Diegtiarew jak by przyrósł do pulpitu. Geolog posiadał zdumiewającą umiejętność natychmiastowego zasypiania, gdy instrumenty nie wykazywały zmian w otaczających statek pokładach, i równie błyskawicznego budzenia się, jeśli jakieś zmiany powstawały. A przecież sygnały były bezdźwięczne.

W ten sposób sypiał jednorazowo nie dłużej niż kwadrans, choć w sumie mogło się tego w ciągu doby uskładać dziesięć godzin.

Najmniej ze wszystkich sypiał Wadim. Wpatrując się i wsłuchując z napięciem w pracę maszyn, szukał słabych ogniw w konstrukcji statku. Korpus winien posiadać inny profil! Przekonał się o tym dopiero teraz, na głębokości dwustu trzydziestu kilometrów. Elektro-

nowa maszyna do liczenia, dokonawszy ponad milion pomiarów ciśnienia w różnych punktach poszycia zestawiała i rozwiązała równanie całkowite. W wyobraźni Wadima zarysował się nowy statek o wydłużonym kształcie elipsoidy z zaostrzonym dziobem.

Praca ta dawała Wadimowi dużo zadowolenia. W swoje obserwacje wtajemniczał także sternika. Obaj przez długie godziny debatowali nad możliwościami przebudowy PW-313, a szczególnie – zwiększania jego szybkości.

– Najważniejsza jest szybkość – mówił Wadim. – Rok, dwa, trzy lata temu nasze statki podziemne również posuwały się pół metra na sekundę. Czas przełamać i tę barierę.

Nie zaznawał odpoczynku także Skorupin. Wysyłał komunikat po komunikacie. Spieszyli powiadomić Ziemię o swoich sukcesach zarówno Wadim, jak Diegtiarew i Biront. Kiedy następowała przerwa w nadawaniu, Pasza manipulował przy odbiorniku usiłując złowić odpowiedź. Jednakże stacje naziemne milczały.

Zaczęła się czwarta doba podróży.

Wadima zaniepokoiły odległe wstrząsy w bazalcie. Wyraźnie wzrosła wibracja korpusu. Wyprostował się w fotelu, nasłuchiwał i spoglądał na Michejewa. Niekiedy włączał indykator dźwiękowy, aby według widma wahań sejsmicznych ustalić siłę wybuchów w hipocentrum. Na pomoc śpieszył mu Diegtiarew. Otrzymałszy rezultat wyliczeń geolog i konstruktor ukradkiem się obserwowali: głębia groziła straszliwymi wstrząsami.

– Wytrzymają? – pytał Diegtiarew wskazując ruchem głowy ściany kabin.

– Tak. Na pewno.

– A może by tak... na łono rodzinki? – geolog zni-

żył głos i spojrzał z ukosa na Bironta. — Albo zatrzymać się tutaj? Bo to, wiecie, nasze obserwacje nie nadążają za ruchem statku. Nie sposób się zorientować we wszystkim, co na, nas czyha w tym podziemiu.

— Najlepiej badać wszystkie zjawiska w pobliżu — odpowiedział Wadim. — Przypuśćmy, że zawrócimy. Czy nie zechcecie już nigdy wziąć udziału w rejsach?

— Och, dziękuję, Wadimie Siergiejewiczu, mam już dosyć.

U schyłku czwartej doby wibrowanie korpusu zmąciło spokojną atmosferę panującą na statku. Korpus huczał niby gigantyczny ul pełen strwożonych pszczół. Fotele, pulpity, pokrywy luków zaczęły drżeć. Wyzwolic się od tej nieprzyjemnej drżączki można było jedynie kładąc się w hamaku.

Biront poczuł ból głowy. Usiłował kontynuować badania, lecz nie wytrzymał. Odpoczął więc nieco i znów wrócił do pulpitu. O przerwaniu badań nie wspominał i zbywał ponurym milczeniem robione na ten temat uwagi. Starał się nie tracić czasu. Wibrowanie korpusu nie wyprowadzało go z równowagi (o bezpieczeństwo statku niechaj się troszczy Surkow), tylko przeszkadzało w pracy.

Z zazdrością patrzył na Diegtiarewa, który zachował niewzruszony spokój. Czy takiego człowieka może wzburzyć wibracja?

Coraz częściej szukali ratunku na hamakach także Michejew, Czurakow i sam Surkow.

— Trzeba przerwać drażnienie — nalegał Michejew.

— Jeszcze troszkę, Piotrze Afanasjewiczu — odpowiadał Wadim — powinniśmy przecież mieć pełny obraz hipocentrów.

Zaciskał zęby. Myśl o przerwaniu badań doprowa-

działa go do wściekłości. Wibracja uniemożliwiała skupienie się.

Skorupin, po długim i beznadziejnym błędzeniu w oceanie dźwięków, zdołał wreszcie usłyszeć ludzki głos. Na tarczy indykatora ożyła błękitna kreseczka, zatrzepotała jak żmija, w środku zjawiała się strzałka.

– Stacja na odbiorze! – krzyknął Pasza.

Michejew, Czurakow, Surkow i Biront zerwali się na równe nogi. Tylko Diegtiarew pozostał przy swoim pulpicie, ograniczając się do włączenia głośnika łączności wewnętrznej.

Pasza pokręcił przełącznikiem. Kabiny statku wypełniły trzaski. Słyszać było dźwięk dzwonów, wycie wentylatorów, zgrzyt metalu o metal, krzyki jakichś zwierząt. Można było pomyśleć, że gdzieś, w głębi pod statkiem, żyje utajony świat bajecznych gigantów i jego głosy przeniknęły do wnętrza jako groźne ostrzeżenie.

Eliminator rezonansowy automatycznie wyswobodził się z gęstwy przeszkód. Z głośników we wszystkich czterech kabinach rozległ się wyraźny głos dyrektora stacji naziemnej:

...otrzymaliśmy od was osiem komunikatów. Dokonałście wielkiego i cennego dzieła. Tym ważniejszy jest więc wasz szybki powrót...

Przez minutę trwała cisza. Błękitna żmijka wyprostowała się leniwie w nieruchomą linię.

– Nie, ty mi się tak łatwo nie wywiniesz! – syknął rozsierdzony Skorupin i napał piersią na brzeg pulpitu, kręcąc z pasją gałkami aparatu.

– A niechże cię licho! – powiedział Biront. – Na prawdę nie można było wymyśleć porządniejszej łączności?

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy skupili się

wokół Paszy i ponad jego ramionami zaglądali w matowy prostokąt instrumentu. Odbiornik milczał.

13

Mimo trwania wibracji mechanizmy ciągle pracowały wzorowo. Andrzej siedział w fotelu i z przyzwyczajenia spoglądał na instrumenty.

– Dwieście dwa kilometry głębokości... Ciśnienie siedemdziesiąt dwa tysiące atmosfer... Temperatura po osiągnięciu dwóch tysięcy stopni nie wzrasta już tak szybko. W ciągu czwartej doby przybyło ledwo sto stopni.

Pomarańczowy blask ekranu zmienił się w zielony. Jasne promieniowanie przemieszczało się w stronę fioletowej części spektrum.

Do głowy cisną się niepożądane myśli. Wibracja przeszkadza w skupieniu się, lecz myśli płyną natrętnie jedna za drugą.

Lena... Oczywiście, ona się nie domyśla. Co za nonsens: znać dziewczynę tyle lat, a zakochać się wtedy, gdy zostaje żoną najlepszego przyjaciela!

Oczy Andrzeja bezmyślnie błądzą po ekranie. Pamięć przywodzi sady pełne jabłoni, wysoki brzeg rzeki. Potem wyjazd do obcego miasta, gdzie mianowano ojca kierownikiem budowy. Poznanie Wadima... Fabryka... Lena – laborantka...

Nagle do świadomości dociera bolesna niczym ukłucie igły myśl: czy warto było wiązać swój los z podziemnymi statkami? Oto czwarty rok spędza na rejsach w głąb ziemi, w czasie których wypełniał swoje obowiązki, jak umiał najlepiej. Lecz nic i ani razu nie wzruszyło go, nie podziałało na jego wyobraźnię.

Do służby na statkach podziemnych poszedł Andrzej za przykładem Wadima. W głębi duszy zazdrościł mu pasji badawczej, we wszystkim starał się go naśladować.

Czy słusznie postąpił poświęcając się realizacji cudzych marzeń?

A gdyby wziął udział w locie kosmicznym, wylądował na powierzchni Księżyca, Marsa albo jakiejś planety z innego systemu słonecznego, czy i wtedy nie drgnęłoby mu serce?

Andrzeja ogarnął niepokój. Nawiedził go po raz pierwszy i to właśnie w czasie pełnego napięcia, odpowiedzialnego rejsu.

Wibracja płącze myśli, w skroniach pulsuje. Andrzej spogląda na instrumenty. Wskazówki zastygły nieruchomo. Maszyna nie reaguje na to, co się dzieje w duszy mechanika, ani na tę burzę dźwięków narastającą wokół statku.

Andrzej wdrapuje się po szczeblach do kabiny odpoczynku, kładzie się w hamaku. Obok pojękuje Biron. Wadim, Michejew i Diegtiarew roztrzasały ciągle to samo zagadnienie: wracać na powierzchnię Ziemi czy posuwać się w głąb.

— Jestem za powrotem — mówi Michejew. — Żąda tego naczelnny konstruktor. Przecież nie wiemy, co nas tam czeka.

— Gdybyśmy wiedzieli, Piotrze Afanasjewiczu — rozległ się spokojny, przygłuszony dudnieniem wibracji głos Wadima — nie byłoby sensu nie słuchać zwierzchnictwa. A może macie jakieś poważniejsze powody?

Andrzej uśmiecha się do siebie: kogóż to chcieli przegadać — Wadima Surkowa!

— No choćby wibracja.

– Dobrze. Ale wyobraźcie sobie, że wibracja chwyciłaby nas na samym początku rejsu, na głębokości, powiedzmy, dwudziestu pięciu, trzydziestu kilometrów. Wtedy także żądalibyście powrotu?

Michejew milczy. W żaden sposób nie może znaleźć przekonujących słów.

– Stanowczo protestuję – mówi nagle bolesciwym głosem Biront.

– O, widzicie – podchwytuje Michejew – nie należy przede wszystkim szafować zdrowiem ludzi.

– Nie zrozumieliście mnie – Biront siada w hamaku i zrzuca z czoła mokrą chustkę. – Zatrzymywać się w tej chwili to prawdziwe przestępstwo. Moje badania dopiero się zaczynają. Pojawiło się dokoła tyle nadzwyczajności...

Diegtiarew chichocze. Wadim z uwagą spogląda na atomistę.

– A co ty powiesz, Andrzeju?

Mechanik czuje się zaskoczony tym pytaniem.

– Zgadzam się się na wszystko – odpowiada Andrzej. – Choćby do centrum Ziemi...

Lecz mówi bez krzty entuzjazmu.

14

Wadimowi wydało się, że zbudził go śmiech Leny.

Gdy otworzył oczy, zrozumiał, że go ze snu zbudziła wibracja. Korpus statku dźwięczał śmiechem Leny. Mieszał się z nim chaotyczny splot dźwięków, wśród których można było rozróżnić huk sztormu morskiego, świst wiatru, łoskot lawin, jęki, westchnienia i zgrzyty.

Wadim spróbował myśleć tylko o Lenie. Nie udało się – statek dygotał, jakby w jego ściany łomotały

tysiące ciężkich młotów. Ani pole magnetoplazmowe, ani podwójne ściany korpusu nie broniły już ekipy przed dziką płasawicą bazaltu.

W sąsiedztwie hamaku leżał Czurakow, niżej Michejew, obaj z otwartymi oczyma.

– Nie możesz spać? – spytał Wadim.

– Jakże tu usnąć – odparł Michejew.

Andrzej milczał. Pragnął, aby wibracja była jak najsilniejsza. Wtedy przestałyby go niepokoić myśli, nie męczyłyby wątpliwości.

Wadim zeskoczył z hamaku i krzyknął. Wydało mu się, że stopami dotknął rozpalonej powierzchni. Wibracja przedostawała się już przez wołok. Czuł ból, jakby go kłuło milion igieł. Na sekundę utracił oddech, poczęły mu szczekać zęby. Zdawało mu się, że miał w mózgu mnóstwo ostrych kamyczków.

– F-fu! – dowódca zaczął szybko oddychać, ale stał nie chcąc się poddać. – D-diabli... jak to się dobiera! No, nic!

Poszedł do luku.

W następnej kabynie Skorupin prowadził podwójną walkę: na przemian to przywierał do aparatu, kręcił gałkami i wpatrywał się w błękitną żyłkę, to łkając zakrywał twarz dłońmi, padał na fotel i odrzucał głowę do tyłu.

– Nic nie słyhać? – Wadim natężył głos, aby przechrzycić grzechot korpusu.

Nawigator pokręcił głową przecząco.

To zaś, co Wadim ujrzał w następnej kabynie, wprawiło go w zdumienie. Geolog i atomista siedzieli naprzeciw siebie. Na twarzy atomisty malowało się cierpienie, raz po raz chwycił się za głowę i za serce, lecz nie wypuszczał z zaciśniętych palców elektrycznego

pióra. Nad jego czołem sterczał kosmyk rudych włosów, na bladych z bezsenności policzkach widniała ruda szczecina zarostu. Lada chwila gotów był się poddać i prosić o powrót na powierzchnię. Jednakże chwile układały się w godziny i Biront nie przerywał badań nad promieniami, które zrodziły mezony.

Diegtiarew był obdarzony silną naturą. Ale i on z trudem mógł usiedzieć w fotelu. Mięiste policzki uczonego drgały, czoło marszczyło się na skutek nużącej wibracji. W oczach błyszczał upór i zapal.

Pojawienie się Surkowa powitał słowami:

– Odkrycie za odkryciem! Wyobraźcie sobie tylko, Wadimie Siergiejewiczu, on ma budowę krystaliczną!

– Co za on?

– Bazalt, który nas otacza.

– No cóż... wiesz.

W tym momencie nie bardzo interesowała Wadima struktura bazaltu.

– Tak, tak! – krzyczał Diegtiarew i wstał, by Surkow mógł go lepiej słyszeć. – Struktura ultrakrystaliczna. Kryształy są tak drobne, że udało mi się je dostrzec dopiero przy pomocy tego tu. – Diegtiarew postukał wskazującym palcem w jeden z instrumentów. – Powstaje następujący obraz: na głębokości czterdziestu kilometrów struktura krystaliczna zmienia się pod działaniem ciśnienia w ultrakrystaliczną, nie zaś w amorficzną, jak myśleliśmy do tej pory. Natomiast na głębokości trzystu kilometrów przechodzi w stan amorficzny. Przebiega to o wiele bardziej wy-czuwalnie przy wydzielaniu tej energii, która powoduje trzęsienie ziemi.

– Zrozumiałem was, Mikołaju Mikołajewiczu. A jak się miewa Biront? Także czyni odkrycia?

Diegtiarew wyczuł w głosie Surkowa drwinę, ale nie wziął sobie tego do serca, uśmiechnął się nawet i podrapał koniuszek własnego nosa.

– Tak, wygląda na to, że Walentyn Makarewicz także złowił grubszą rybę. W każdym razie nie wrócimy już z pustymi rękoma. Czyż nie tak, Walentynie Makarewiczu?

– Nie przeszkadzajcie, proszę, nie przeszkadzajcie! – powiedział błagalnie Biront. – Widzicie przecież, jak trudno się skupić. Idźcie rozmawiać gdzie indziej. Bardzo was proszę.

Wzrok atomisty natychmiast zastygł na jednym z instrumentów, a rozczapierzone palce wycelował w przełącznik tak, jakby chciał chwycić ptaka.

Wadim zszedł do swojej kabiny. Siadł w fotelu, aby kontynuować pracę. Pragnął jeszcze przed powrotem na powierzchnię ustalić najbardziej racjonalny profil korpusu statku. Jednakże odniósł wrażenie, że usiadł nie w fotelu, lecz na jakimś średniowiecznym narzędziu tortur, wykonanym z nieobrobionego żelaza i że urządzenie to z szaloną szybkością turla się po nierównej kamienistej powierzchni.

„W następnych statkach trzeba będzie ustawić fotele na podkładach łagodzących wibrację” – pomyślał Wadim.

Próba zajęcia się obliczeniami zawiodła. Surkow skonstatował z roztargnieniem, że w takich warunkach nie potrafi się skupić. Od przekłętej trzęsawicy wywracały się wnętrzności.

Wadim zerwał się z miejsca. Na miękkim wołokowym pokryciu tak bardzo nie trzęsło. Lecz jakże pracować stojąc?

Wrócił do kabiny geologa i atomisty. Ku swemu

zduńmieniu ujrzał obydwu uczonych przy pulpocie. Wydało mu się, jakby przyrośli do swoich miejsc. Nawet Biront, ten kościsty, kapryśny człowiek zdobył się na taki wysiłek. Twarz ma zmęczoną. Widać, że pracuje ostatkiem sił. A przecież z początku, gdy nic nie przeszkadzało w pracy, kaprysił. Ciekawe, jak długo wytrzyma w fotelu?

Wadim zauważył, że drażni go upór Bironta. A także zewnętrzny spokój Diegtiarewa.

Atomista, jak gdyby odgadując myśli dowódcy, zamknął dziennik i bezsilnie opuścił głowę na piersi. Posiedział tak chwilę, podniósł się z wysiłkiem i chwiejnym krokiem podszedł do drabinki.

Diegtiarew pozostał przy pulpocie. Zdawało się, że tego człowieka nic nie zmoże. Podśpiewuje sobie nawet piosenkę. A przecież wibracja daje mu się we znaki bardziej niż cherlawemu Birontowi.

Rozgniewany na siebie i swoich towarzyszy Wadim wrócił do pulpitu. Postanowił zmusić się do pracy. Cóż za udręka! Każde wskazanie instrumentów musiał odczytywać dwukrotnie i długo myśleć nad rezultatem obliczeń, zanim doszły do jego świadomości.

15

Nie mógł jednak pracować.

Dokoła rozlegało się wycie i łoskot. Od ciągłej, wzmagającej się wibracji rozboleł Wadima żołądek i gardło, usta napełniały się śliną.

Z niedawnego spokoju, kiedy Wadim powziął postanowienie dotarcia do centrum Ziemi — nie zostało ani śladu.

Na ekranie znikła zieleń i ukazał się gęsty błękit,

czysty jak niebo w lipcowe południe. Ekran upodobnił się do okrągłego okna, jakby tkwił w ścianie, a nie w podłodze. Nie chciało się wierzyć, że ów błękit nie jest powietrzem, lecz rozpalonym bazaltem, gotowym zmiażdżyć PW-313 jak skorupę jaja, gdyby pole magnetoplazmowe odmówiło posłuszeństwa.

Wadim połączył się z geologiem.

– Mikołaju Mikołajewiczu, co sądzicie o wibracji?

– Do strefy hipocentrow mamy nie mniej niż dobę jazdy. A od niej jeszcze drugie tyle, zanim wreszcie ustanie ta łupanina.

– Źle...

– Bardzo źle.

Diegtiarew czekał, co jeszcze powie Surkow. Ale ten milczał. Dowódca statku wahał się: czy nie było lepiej zatrzymać statek i rozpocząć badania za pomocą będącej do dyspozycji aparatury? Czy nie postąpił pochopnie decydując się na przebicie do środka Ziemi?

– Stanąć? – zapytał geologa.

– N-nie wiem, co poradzić.

Diegtiarew wahał się także. Namiętność badacza pchała go dalej w głąb. Głos rozsądku radził wracać.

Gdyby geolog począł namawiać Wadima do przerwania rejsu, na pewno by się poddał. Lecz Diegtiarew miał nadzieję, iż dowódca poweźmie postanowienie samodzielnie. Milczeli więc obaj i patrzyli w głośniki na pulpitych.

Z góry zszedł Michcjew, nachmurzony i obolały. Spojrzał na instrumenty, siadł z fotelu i zwrócił się do Wadima:

– Idźcie, połóżcie się w hamaku. Od tej wibracji mózg zamienia się w kaszę. Niech odpocznie.

Wadim pozostał na miejscu. Takiej troskliwości nie

potrzebował. Czuł się jednak podle. Nieprzerwana wibracja rozsadzała mu głowę, wytrząsała z niej wszystkie myśli i pragnienia.

Czas włókł się nieznośnie powoli. Dowódca statku raz po raz spoglądał na chronometr, ale jeszcze częściej na wibrometry. Automatyka PW-313 działała z podziwu godną precyzją.

„Trzeba statek zatrzymać” – mówił sobie w duchu Wadim, lecz pozostał nieporuszony. Miał zwyczaj doprowadzać do końca każde przedsięwzięcie, a teraz wazyłby się odstępować od największego, dla którego żył i działał?

„Postąpiłem zbyt pochopnie... – z przykrością przyznał Wadim. – Statek nie był przygotowany na taką wibrację. Trzeba wracać”.

Nie mógł jednak wyciągnąć ręki i nacisnąć guzika z napisem „Stop”.

Nagle w błękie ekranu zobaczył Lenę.

Cztery doby rozłąki...

Cztery doby!

Lecz to dopiero początek rejsu. Statek przebił dwieście dwadzieścia kilometrów, Wadim zaś pragnął osiągnąć środek Ziemi. To znaczy, że zostało jeszcze sześć tysięcy sto pięćdziesiąt kilometrów. Aby pokonać tę przestrzeń, posuwając się nawet z obecną szybkością, trzeba stu pięćdziesięciu dni. I tyleż na drogę powrotną. Prawne rok!

Przez chwilę Wadim przestał odczuwać wibrację. Ostra, wyrazista myśl, że cały jego zamysł jest szaleństwem, zagłuszała inne doznania. Obraz Leny na ekranie zniknął. Wadim poczuł groźną siłę żywiołów podziemnych i uprzytomnił sobie cały bezkres drogi. Cóż znaczy owa sławetna bariera głębi, kiedy przed nimi

mogą znaleźć się bariery prawdziwe, których przekroczenie przypląca się życiem.

Ogarnął go strach.

– Wadimie – zabrzmiał w megafonie głos Czurakowa – wejdź no szybko do naszej kabiny.

– Co się stało?

– Skorupin stracił przytomność.

– Idę!

W ślad za Wadimem wdrapał się także Michejew. Skorupin leżał na podłodze, obok krzątał się Andrzej: podniósłszy głowę Pawła usiłował zatamować płynącą mu z nosa krew.

Michejew bez słowa odsunął Andrzeja, zarzucił sobie na plecy bezwładne ciało nawigatora i wspiął się z nim do kabiny odpoczynku. Tam troskliwie ułożył Pawła w hamaku, otworzył szafę z medykamentami, wyjął płyn na zatrzymywanie krwotoku, wateę, gazę.

Piąta doba dobiegała końca.

16

Cała ekipa zebrała się w kabinie. Wszyscy obścibali hamak Pawła i czekali, aż nawigator odzyska przytomność.

Paweł otworzył oczy i popatrzył na towarzyszy z poczuciem winy:

– Dostałem zawrotu głowy – powiedział – ale nie martwcie się. Coś podobnego zdarzało mi się zawsze na morzu. Potem się przyzwyczajam.

– Świadomość także tracisz na morzu? – zapytał gniewnie Michejew.

– Leż i nie gadaj! – powiedział Wadim. Potem spojrzął na Michejewa. – Piotrze Afanasjewiczu, za-

trzymajcie statek.

Michejew nie zdążył odpowiedzieć. Huk za ścianami statku zmienił natężenie i zaczął grać na najniższych rejestrach przypominając wycie rozkręcanej syreny. Statkiem szarpnęło zrazu delikatnie, potem z taką siłą, że ludzie powpadali na siebie i potoczyli się w kąt kabiny.

– Hipocentrum! – krzyknął Diegtiarew.

Z niepojętą przy swojej tuszy zwinnością, czepiając się rękoma wojloku dopadł do luku i dał nura w jego otwór.

– Do pulpitów! – rozkazał Wadim.

Mimo sportowej zaprawy nie od razu udało mu się pobiec za Diegtiarewem. W ostatnim momencie, kiedy już miał chwycić za poręcz luku, odrzuciło go z powrotem. Zwalił towarzyszy z nóg i razem z nimi zatrzymał się na przeciwległej ścianie. Działo się coś nieprawdopodobnego. Ogromna stalowa maszyna miotła się niczym wątpa łódeczka na fali morskiej w czasie najsilniejszego sztormu. Grozy dopełniał łoskot na zewnątrz. Wydawało się, że w ściany PW-313 wałą wielotonowe skłębione bałwany.

Wadim, Andrzej i Michejew po kolei opuszczaliabinę. Zostali w niej tylko Skorupin i Biront. Atomiście udało się jednak uchwycić moment względnej ciszy i sposobem nie praktykowanym przez ludzi dorosłych, na czworakach, dopadł luku.

Skorupin pozostał sam. Usiadł w hamaku, zamknąłoczy, a kiedy je znowu otworzył, na rzęsach zwisały krople łez. Głowa bolała go niemiłosiernie. Leniwieprzechylił się przez brzeg hamaku i zeskoczył na podłogę.

Zejscie do kabiny po drabinie sprawiało Diegtiare-

wowi duże trudności. Z jeszcze większym wysiłkiem przebył drogę do fotela. Znarowiony bazalt usiłował odwrócić statek i porwać ze sobą. Automaty żyroskopowe wyrównywały położenie maszyny. Pomiedzy żywiołem i mechanizmami toczyła się zażarta walka. Ludzie stali się jedynie niemymi świadkami tego starcia. Interwencja ich nie polepszyłaby położenia statku.

Diegtiarew zdołał zająć miejsce w fotelu. Zacisnął szczęki, skulił się i zamarł nie spuszczać jednak oczu z instrumentów. W tej chwili wibracja przenikała jego ciało częstymi i gorącymi impulsami na podobieństwo prądu elektrycznego. Żar przelewał się we wnętrzościach, leniwie wznosił się wzdłuż kręgosłupa i napełniał głowę.

Geolog przede wszystkim zwrócił uwagę na ciemnoniebieskie pole ekranu. Nie było już jednolite, skrzyło się jaskrawo. Skry były duże jak śnieżynki w smudze ostrego reflektora.

— Zaczęło się! — skonstatował Diegtiarew. — Oto jest walka dwóch pierwiastków: życia i śmierci krystalicznego świata.

Wskazania instrumentów potwierdzały jego domysły. Na głębokości dwustu sześćdziesięciu kilometrów kończyła się geosfera ultrakrystaliczna. W miejscu tym ciśnienie przewyższyło moc spoiwa kryształów; pękając zamieniały się jakby w pył. Jednakże ten pył nie porywany przez wiatry zbijał się w jeszcze bardziej ścisłą materię amorficzną. Więż molekularna istniała więc nadal. Analizatory wykazywały obecność w bliskim otoczeniu najprostszych związków chemicznych: tlenków, węglików, siarczków. Związków bardziej złożonych nie było. Dlaczego? Być może nie pozwalała na to zbyt wysoka temperatura. Lecz najpewniej nie

tylko temperatura. Diegtiarew domyślał się innych, bardziej złożonych przyczyn. Po dokonaniu odkrycia przez Bironta ich istnienie nie ulegało wątpliwości.

Rozpad kryształów wyzwalał tę energię, która ożywiała wygasłe wulkany, wywoływała trzęsienia ziemi i wyrządzała ludzkości wiele szkód.

Diegtiarew dostrzegł, jak Michejew i Surkow schodzili do swojej kabiny. Spieszyli do pulpitu dowodzenia. Teraz, jak nigdy, należało mieć się na baczności. W wypadku awarii urządzeń automatycznych walkę z żywiołem będą musieli podjąć sami ludzie.

Statek drgał od zewnętrznych uderzeń. Podłoga kabiny przybrała prawie pionowe położenie, wibracja się wzmagala.

W otworze luku zwisły długie nogi Bironta. Atomista usiłował poszukać nimi szczebla. Przeszkadzało mu chwianie się statku. Mimo to śpieszył, jak wszyscy, zajmując miejsce przy pulpicie.

– Nawet nie jest taki tchórzliwy – mruknął Diegtiarew obserwując ruchy nóg Bironta. – Po prostu brak mu treningu. Nie, ten facet zaczyna mi się naprawdę podobać.

Diegtiarew wstał, aby pomóc Birontowi. W samą porę. Następne szarpnięcie wytrąciło z rąk atomisty brzeg luku. Miał „szczęście” do upadków. Lecz tym razem trafił w krzepkie ramiona geologa.

– Dziękuję – oschle powiedział Biront.

Ledwo Diegtiarew zdążył otworzyć usta, aby powiedzieć: „Nie ma za co”, kiedy nowe uderzenie zważyło z nóg jego samego. Padając przygniótł całym swoim ciężarem chuderlawego atomistę. Biront miał wrażenie, jak by się nań zważyło całe dwieście sześćdziesiąt kilometrów bazaltu rozpościerającego się nad statkiem.

Kiedy się przekonał, że sufit pozostał cały, a przywalił go jedynie Diegtiarew, gniew jego nie miał granic.

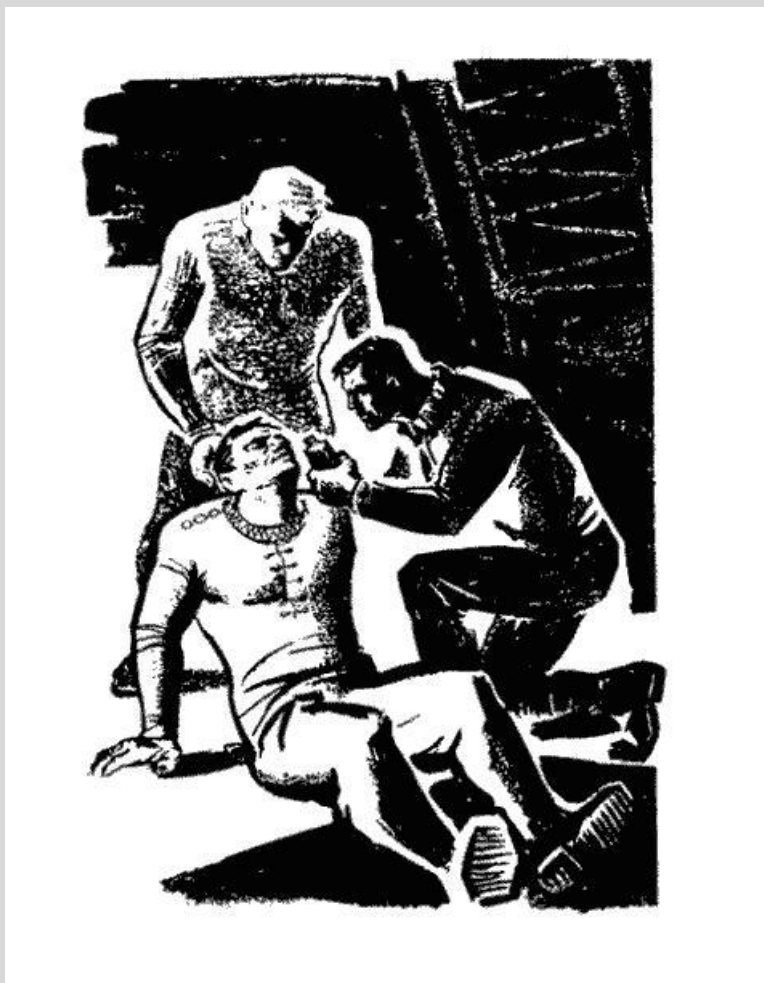
17

Wadim zbiegł po drabince jak mógł najszybciej. Miał krzepkie mięśnie, ręce łatwo utrzymywały ciężar ciała, gdy nogi traciły grunt. Przez moment czuł radość prawdziwej walki. Coś podobnego przeżywali zapewne na swoich kruchych karawelach nawigatorzy dalekiej przeszłości, porywani przez huragany. Wiatr zrywa żagle, łamie maszty. Zwycięża tylko śmiały duchem.

W Wadimie odezwał się konstruktor. Z trwogą pomyślał, że założenia programowe nie przewidywały nagłych zmian kursu, że w każdej chwili może ulec zakłóceniu skomplikowane współdziałanie mechanizmów lub automaty wyłączą pole zabezpieczające.

Szybciej, szybciej – do pulpitu!

W kabinie, ledwie puścił poręcz drabinki, cisnęło nim w bok. Pulpit, ściany, sufit zawirowały w jakimś wściekłym wicherze. Wadim wyrznął potylicą w ścianę. Mimo iż pokryta była warstwą wołoku, uderzenie było tak silne, że pociemniało mu w oczach i na sekundę stracił przytomność.



Sytuacja stała się poważna. Chwytnąjąc rękoma za ramę, za pulpit, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, Wadim dotarł jakoś do fotela. Tu oprzytomniał widząc, jak gwałtownie obracają się ściany i że lada chwila podłoga zamieni się w sufit.

Wybuchy wokół statku zlewały się w jeden groźny ryk, wśród którego korpus pojazdu grzechotał na podobieństwo arkusza cienkiej blachy podrzucanej przez

wiatr.

Wzrok Wadima zatrzymał się na skali ciśnieniomierza. Strzałka instrumentu miotła się wzdłuż skali, jakby za ścianami kabiny wybuchały bomby wodoro-we. Jednorazowy nacisk na poszycie korpusu sięgał dwu i pół miliona atmosfer niweczając wszystkie poprzednie wyliczenia. Wadimowi włosy stanęły dęba. Dwa i pół miliona atmosfer w połączeniu z nie mniej miazdzącą wibracją!

Trzeba coś natychmiast przedsięwziąć. Każda następna minuta grozi katastrofą. Ale Wadim nie potrafił się skupić. Przywykł do rozstrzygania trudnych problemów w spokoju i ciszy. Gdy mu nie przychodziła do głowy żadna sensowna myśl, tracił nad sobą panowanie. Wczepił się w poręcz fotela i z rozpaczą obserwował skaczące nici instrumentów.

Potem nastąpiło coś, czego Wadim nie oczekiwał. Palce jego wyciągnęły się w stronę maleńkiego zielonego przycisku. Nie, to nie Wadim, to ktoś inny zdecydował zatrzymać statek!

Zanim jednak zdążył nacisnąć guzik, czyjeś potężne ręce porwały go za ramiona z taką siłą, że nie zdołał się utrzymać w fotelu, i został wyrzucony. Sprzyjał temu ostry kąt nachylenia statku. Wadimowi się zdawało, że leci w przestrzeni i pada w jakąś bezdeń. Przez mgnienie zobaczył przed sobą twarz Michejewa, potem się wszystko skotłowało.

Rzuciło nim najpierw o jedną ścianę, potem o drugą. Nadludzkim wysiłkiem zdołał się ucześcić szczelbą. Podłoga tak się gwałtownie zakołysała, że nogi Surkowa zawisły w powietrzu. Stopniowo kabina wracała do położenia horyzontalnego, lecz oślepiiony i pozbawiony wszelkiej orientacji Wadim nie odważył się ro-

zewrzeć mocno zaciśniętych palców.

Gdyby nie automat żyroskopowy, statek uległby katastrofie, na podobieństwo spadającego samolotu, któremu odstrzelono ogon.

Podłoga pochyliła się jeszcze bardziej i Wadim po raz drugi zawisł w powietrzu. Krzyknął, lecz nie usłyszał własnego głosu. Był pewien, że już nie wytrzyma i straci nad sobą panowanie.

Nagle pojawił się Michejew. Podsunął mu swe ramię i Wadim nawet nie zauważył, jak znalazł się w fotelu.

– Wracać to ryzyko – krzyknął Wadimowi w ucho Michejew. – W chwili przełączenia żyroskopu zaczną się straszne wstrząsy. Trzeba się wpierw wydostać ze strefy hipocentrow.

Słowa Michejewa nie od razu dotarły do świadomości dowódcy statku. A gdy zrozumiał ich sens – drgnął. Śmierć zajrzała mu w oczy. Gdyby nie Michejew, Wadim i reszta ekipy uległaby zagładzie.

„Tchórz! – wymyślał sam sobie Wadim. – Nie wytrzymałem... Badacz... odkrywca. Wstyd!”

Zdołał się wreszcie wziąć w karby. Mocniej przywarł do fotela, nie śmiał jednak spojrzeć sternikowi w oczy. Wstydział się swojej słabości.

Wadim uruchomił wewnętrzną łączność, wywołał po kolei mechanika, nawigatora, geologa. Wszyscy byli na miejscu, przy pulpitych.

W jaki sposób mogły powstać ruchy w twardej, sprasowanej jak metal materii? Diegtiarew tak odpowiedział na pytanie Wadima:

– W czasie rozpadu ultrakryształów wyzwala się ogromna energia. Następują gwałtowne skoki w ciśnieniu. Materia wokół nas jest plastyczna jak guma. Wy-

buchy zmuszają ją do ścieśniania się, po czym wraca do stanu poprzedniego. W ten sposób warstwy bazaltu przemieszczają się w różnych kierunkach wlokąc za sobą statek. Jeśli przyjąć, iż deformacja obejmuje od cinki setek i tysiący kilometrów, wtedy się okaże, że właściwie stoimy nieruchomo.

– To się daje zauważyć...

– Skorupin znowu źle się czuje – przekrzyczał Diegtiarewa mechanik. – Stracił przytomność.

Michejew usiłował wydostać się z fotela, lecz Wadim go wyprzedził.

– Zostań przy pulpicie, nie spuszczaaj oka z instrumentów – powiedział.

Sternik skinął głową.

Wadim odczekał, aż fotel pojedzie do góry, a drabinka znajdzie się w dole i skoczył wyciągnąwszy przed siebie ręce. Chwycił szczebel, tak jak się chwytą trapez.

W następnej chwili fotel runął na dół, a drabinka znalazła się pod sufitem. Wadim zawisł na rękach. Zacisnął szczęki i przenosząc dłonie ze szczebła na szczebel posuwał się w stronę luku.

Michejew śledził ruchy Surkowa dopóty, dopóki ten nie zniknął w otworze luku. Wtedy opadł bezsilnie na oparcie fotela. Czuł się bardzo źle, może odrobinę lepiej niż Skorupin. Lata robiły swoje.

„To jest twój ostatni rejs, Michejew – pomyślał z goryczą – czas ustąpić miejsca młodemu”.

Statkiem rzucało nadal. Zwały bazaltu ścisnęły maszynę z ogromną siłą, to znowu przez chwilę ich napór słabł. Skoki ciśnienia wywoływane przez rozpad ultrakryształów rzeczywiście podobne były do wybuchów. Razem z ciśnieniem gwałtownie wahała się

temperatura, zaś potężne fale dźwiękowe wprawiały w drżenie najmniejsze śrubki wewnątrz statku.

Wadim powrócił blady, na czoło wystąpiły mu duże krople potu.

– Po co tu przyszlście? – rzekł Michejew. – Ja dam sobie radę sam.

– N-nie wiem. Tam nie jest lepiej.

Odetchnąwszy Wadim ponownie wywołał Diegtiarewa.

– Na jakiej głębokości ustanie proces rozpadu ultrakryształów? – zapytał.

– Prawdopodobnie na głębokości czterystu kilometrów.

Głębokościomierz wskazywał dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów. To znaczy, że jeszcze... Łoskot i zgrzyt dokoła, nieznośny ból głowy sprawiły, że dowódca w żaden sposób nie mógł się zorientować, ile jeszcze trzeba będzie czasu na pokonanie tych stu dziesięciu kilometrów, jakie pozostały.

– Sześćdziesiąt jeden godzin – odpowiedział geolog. – Dwie i pół doby.

Poczęły się wlec długie godziny wśród nieustannych podrzutów statku. Wibracja przyprawiała ludzi o rozstrój nerwowy. Uciekali do hamaków powierając swoje losy automatom. Pod wpływem wibracji drgało powietrze, nie chroniły od niej nawet nylonowe hamaki.

A

Wszystkim szumiało w głowach, puchły stawy, płonęła skóra. Aby nie widzieć dygocących ścian, leżeli z zamkniętymi oczyma.

O spaniu lub jedzeniu nie było mowy. Skorupin miał

nudności. Biront jęczał, jego ręce przez cały czas czegoś szukały, wtykał twarz w poduszkę, siadał w hamaku, wzdychał i znowu padał.

Czurakow i Diegtiarew cierpieli w milczeniu. Wadima ogarnęła apatia: był pewien, że urządzenia zabezpieczające lada chwila zostaną zdruzgotane i nadejdzie kres wszystkim męczarniom.

Jeden Michejew znalazł w sobie dość siły, aby podać wodę nawigatorowi. Ale powróciwszy do hamaku, stracił przytomność. Andrzej jęczał.

– Niech to wszystko porwą diabli! – krzyknął Wadim i zapłakał jak dziecko.

Diegtiarew łkał przez zaciśnięte zęby.

Jęczał także statek, tarzał się jak śmiertelnie zraniony człowiek. Dreszcz przebiegał całe jego olbrzymie ciało. Jednakże maszyna parła w głąb ziemi poprzez wściekłą płasawicę roztopionej materii.

Dopiero u schyłku szóstej doby wstrząsy poczęły maleć. Automaty żyroskopowe coraz dokładniej wykazywały siłę nacisku podziemnych żywiółów.

Wibracja poczęła słabnąć. Korpus jak dawniej huczał, lecz coraz wyraźniej dawał się słyszeć znajomy dźwięk pracującego silnika.

Siódmą i ósmą dobę ludzie spędzili jeszcze w hamakach. Z wolna przychodzili do siebie. Ból głowy odebrał im możliwość reagowania na to, co się działo dookoła. Otępieli tak bardzo, że otworzywszy oczy leżeli obojętni na wszystko i nie poznawali sąsiadów.

Pierwszy otrząsnął się Wadim.

– Żyjemy! – krzyknął przezwyciężając ból strun głosowych. – Żyjemy, słyszycie?

Dziewiątego dnia statek znacznie oddalił się od strefy hipocentrów. W kabinach zaległa błogosławiona

cisza. Wszyscy jednocześnie, jak na komendę, zasnęli. Spali dwanaście lub czternaście godzin. Kiedy się obudzili, poczuli, że są głodni.

Ale wydostanie się z hamaków nie było takie proste: stawy im spuchły, szczególnie w łokciach i kolanach, mięśnie osłabły tak bardzo, że nie mogli nawet naciągnąć kołdry albo usiąść. Kiedy Andrzej, przechylwszy się przez brzeg hamaku, zeskoczył na podłogę, nie zdołał utrzymać się na nogach i rozciągnął się jak długi, nierozumiejącymi oczyma spoglądając na towarzyszy. Ci zaś patrzyli w roztargnieniu na mechanika.

Wyglądało to śmiesznie i smutno. Sześciu dorosłych mężczyzn od nowa uczyło się chodzić. Dobrnęli wreszcie do stołu, ale nie potrafili zaspokoić głodu: palce nie mogły utrzymać sztuców, otwarcie puszek z koncentratami wymagało wielkiego wysiłku.

Dopiero po upływie doby spożyli pełny posiłek i wówczas poczęli z ciekawością przyglądać się sobie na wzajem.

– Przepraszam... – powiedział Diegtiarew. – Z kim mam przyjemność? Zjawy jesteście czy ludzie?

Żartując skubnął Birona za rudy zarost. Uczony się nie obraził. Jego uśmiechnięta twarz jaśniała zadowoleniem i wyrozumiałością.

Obrońcy i wychudzeni rzeczywiście nie byli do siebie podobni.

– Aleśmy dostali szkołę! – westchnął Skorpki. – Opowiesz komukolwiek, nie uwierzy.

– Piotrze Afanasjewiezu – Wadim spojrzął na sternika – nie będziecie protestowali, jeżeli zatrzymam statek?

Michejew rozłożył ręce.

Ekipa zeszła do kabiny sterowniczej w ślad za dowódcą, Wadim usiadł przy pulpicie, spojrzął na instrumenty, lecz zanim nacisnął guzik, powiedział:

– A jednak gra warta była świeczki.

Diegtiarew spoważniał.

– Warta była, Wadimie Siergiejewiczu. Niech twoje sumienie będzie czyste. Wsypią nam tęgo, jak dwa razy dwa cztery. Znam ja Arkadiusza Siemionowicza. Twardy ma chłop charakter. Ale my cię jemu na żer nie oddamy. Niechaj już nam wszystkim ścinają łby. Tak, Walentynie Makarewiczu?

– O, teraz ze mnie wielki bogacz! – Biront zatarł ręce.

Dowódca statku nacisnął guzik. Umilkł silnik, ustało działanie bora. Zaległa absolutna cisza.

Biront strzelił palcami obu rąk i, ku zdumieniu wszystkich, spróbował zapląść jakieś wymyślne pas. Że jednak nigdy w życiu, nawet w młodości, nie tańczył, więc ruchy jego były bardzo nieporadne.

Diegtiarew natychmiast ostudził zapal atomisty.

– Nie zapominajcie, kolego, że będziemy musieli raz jeszcze przechodzić przez hipocentrum.

Gdy odzyskali siły, poczęli z siebie pokpiwać. Geolog i fizyk pośpieszyli ku swoim pulpitom.

Nerwowe napięcie osłabło.

18

Statek trwał nieruchomo przez czternaście godzin – tyle czasu było trzeba na generalne sprawdzenie aparatury. W ciągu tych czternastu godzin Andrzej zdolał przemyśleć więcej niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Myślał o sobie, o życiu, o pracy i o tym,

że praca jest dla życia niezbędna.

Trudno stwierdzić, co było przyczyną tego przełomu, który się w nim dokonał tak niespodziewanie. Czy rzeczywiście tak niespodziewanie?

Rósł w nim dziwny niepokój. Wystarczyło mu zamknąć powieki, aby sobie wyobrazić, że się znajduje na pokładzie statku kosmicznego. Andrzej łaknął przestrzeni, miał wysoko rozwinięte poczucie nieskończoności świata.

Postanowienie jego miało zrazu charakter mgławicowy, nieokreślony. Stopniowo jednak przybierało kształty konkretne. Przechodząc od aparatu do aparatu Czurakow ustalał w myśli tok postępowania: kiedy PW-313 wróci na powierzchnię, położy na stole naczelnego konstruktora podanie o zwolnienie z pracy w fabryce. I żegnaj, techniko podziemna! Następnie zredaguje inne podanie: do oddziału kosmicznego przy Radzie Ministrów. Znajdą mu tam robotę.

Szkoda tylko rozstawać się z Wadimem. Tyle lat przeżyli razem i pracowali ramię przy ramieniu. Jednocześnie brali udział pospołu w dalekich rejsach podziemnych statków. Wspomnienia z dzieciństwa i młodości również związane są z Wadimem. Jeżeli więc coś mu się nie udało, winę ponosił on sam.

Uczył się, pracował, dożył dwudziestu dziewięciu lat, wreszcie się okazało, że wszedł nie na swoją ścieżkę. Szczególnie jasno zdawał sobie z tego sprawę po przekroczeniu przez hipocentrum. Niech jednak nie myślą, że przestraszyły go niebezpieczeństwa. Jeśli będzie potrzeba, gotów raz jeszcze zejść w PW-313 na dowolną głębokość, bodaj nawet do jądra Ziemi.

— Instrumenty pomiarowe w dobrym stanie — złożył raport Wadimowi. — Czy będziemy sprawdzać sy-

stem sygnałowy?

– Myślę, że to niepotrzebne – powiedział Wadim. – Trochę odpoczniemy i z powrotem.

– A może w dół?

Wadim zamyślił się.

– Wcześniej czy później, Andrzeju, będziemy tam obaj. Ale teraz jestem przekonany, że PW-313 nie jest przygotowany do tak dalekiego rejsu. I my także nie jesteśmy przygotowani. Zwłaszcza psychicznie.

„Powiedzieć mu, że to mój ostatni rejs podziemny? – zawahał się Czurakow. – Lepiej tam, na powierzchni. Nie sądzono mi towarzyszenie statkowi do jądra Ziemi, ale wierzę, że właśnie Wadim go poprowadzi. Tego człowieka nie powstrzyma żadna siła...”

Wadim położył się w hamaku i zasnął. Andrzej nie mógł zasnąć. Miał wrażenie, że już się ze statkiem rozstawał, a tylko przyszedł ostatni raz, aby popatrzeć na milczące, niestrudzone szeregi automatów, dotknąć ciepłych syntezatorów. Potem zszedł do kabiny, aby posiedzieć przy pulpicie.

Skorupin zrobił w jego stronę gest nakazujący milczenie. Sam krztusił się ze śmiechu i zasłaniał dłonią usta. Na pulpicie stał włączony głośnik łączności wewnętrznej. Rzeczywiście, nie można było słuchać bez uśmiechu burczącego basu geologa. Głośnik oburzał się, złorzeczył wyimaginowanemu oponentowi, milkł na chwilę, aby natychmiast wybuchnąć gniewem albo potokiem wymyślam

Mechanik wspiał się do kabiny uczonych.

– A, Andrzej! – powitał go Diegtiariw. – Nie ma cię gdzie posadzić, nie przewidziano fotela dla gości. No i cóż, zawracamy dyszle? Ja i Walentyn Makarewicz urabiamy sobie ręce po łokcie. Patrz – skinął

w stronę ekranu – dwa i pół tysiąca stopni, a bazalt błękitny. Jakie ciśnienie! Widmo ciągle opada, wszystkie dotychczasowe współzależności biorą w łeb. Przesunięcia nie odpowiadają temperaturze. Cóż ty na to powiesz? Jest nad czym popracować głową.

Przez piętnaście minut geolog wykladał bez wytchnienia swoje poglądy na współzależność ciśnienia i właściwości fizycznych materii, Andrzejowi zaś zdawało się, iż w wywodach Diegtiarewa jest dużo fantastyki. Mechanik statku podziemnego, mający za sobą niejedną rejs poprzez nieskończone, najróżnorodniejsze konsystencje materii, uważa się za wystarczająco obeznanego również z problemami teoretycznymi. Ale teraz na tyle odkryć Diegtiarewa ów zapas wiadomości okazał się nader wątyły.

– Oto na przykład prastary, ale do dziś nierozstrzygnięty problem – basował geolog. – Skąd się biorą trzęsienia Ziemi? Doświadczyliśmy ich na sobie. Jednakże źródło tego zjawiska tkwi głęboko, rozpościera się na nim trzystukilometrowy pancierz. Jak więc przenoszą się skoki zagęszczeń do litosfery? Na razie nie wiadomo. Albo po prostu: Ziemia oddycha. Dwa razy na dobę wszystkie miasta, wsie, pustynie, lasy, góry podnoszą się na dobre pół metra. Ale dlaczego? Domyśłów masa. Gdyby cię ktoś zapytał, wyrecytujesz bez zająknięcia: „To są przypyływy magmy, spowodowane przyciąganiem Księżyca”. Ba-nia-lu-ki! Scholastyka! Przyczyna tam! – Diegtiarew sugestywnie postukał nogą w podłogę – w centralnych rejonach. Tam zaczyna się wszystko. O tym i owym my, rzecz jasna, wiemy, domyślamy się. Ale konieczne są niezbite dowody. Fakty? Bierz je diabli! Potrafiliśmy przecie udowodnić, że kontynenty to tylko bryły granitu pływają

jące w bazalcie. Z początku wydawało się to niewiarygodne: jak może twarde pływać w twardym? Sprawdziliśmy, przyzwyczailiśmy się i wierzymy, że tak jest.

– A nie udało się wam stwierdzić, gdzie leżały przedtem bieguny magnetyczne? – spytał Andrzej.

– Oho! – Diegtiarew podskoczył, gestem chłopca wsunął ręce do kieszeni kombinezonu i stanął przed mechanikiem, barczysty, nieforemny i dobroduszny. – Patrzcie no go! – krzyknął do Birona. – Trafił w sam środek.

Atomista, który już zdołał przywyknąć do rozmowności swego sąsiada, szybko pokiwał głową, nie podnosząc jej zresztą znad dziennika.

– Widzisz, bracie – geolog jedną ręką objął Andrzeja za ramię, drugą zaś, zwiniętą w pięść, postawił na pulpicie – jest to jeden z najtrudniejszych dylematów w geologii naszej planety. Udało się nam ustalić tylko, że na miejscu Bieguna Północnego kiedyś był Południowy, a na miejscu Południowego – Północny. Krótko mówiąc, Ziemia obracała się w przeciwną stronę. I po dziś dzień trwa wspólna jazda biegunów geograficznych i magnetycznych. Czym się to tłumaczy? Odpowiedź znajduje się tam – geolog znowu postukał w podłogę.

Oswobodziwszy ramiona Andrzeja geolog wrócił do swego fotela. Zmrużył jedno oko, a drugim spojrzał nad głową Andrzeja gdzieś w przestrzeń.

– Gdyby się nam udało przeniknąć na głębokość dwu tysięcy kilometrów – rzekł marzycielsko – być może sprawdziłoby się wiele hipotez. Na razie jest to niemożliwe. Tym niemniej żywię nadzieję, że kiedyś zostanę zaproszony do wzięcia udziału w rejsie do środka Ziemi. My obaj z Walentynem Makarewiczem nie

odmówimy. Jak tam, Walentyńie Makarewiczu? Nie odmówimy?

Biront położył na dzienniku elektryczne pióro i podrapał się w podbródek.

– To wszystko – westchnął geolog. – Wracamy. Nic mi się już nie chce.

– O właśnie, nie chce się – zgodził się Biront.

– Biegnę do pulpitu – powiedział Andrzej.

Statek ruszył. Ożyły strzałki instrumentów, zamigotały lampy sygnałowe. Maszyna musiała opisać szerokie półkole o promieniu ośmiu kilometrów, zanim znowu mogła iść pionowo. Lecz teraz już w przeciwnym kierunku.

Andrzej uruchomił układ zwrotny sygnałowy, czuwający nad emisją sygnałów dźwiękowych i kontrolujący wskazania instrumentów. Spojrzał z roztargnieniem na ekran, potem przeniósł wzrok na Skorupina. Nawigator pogwizdywał i do taktu poruszał głową.

„W górę! Ku słonecznemu światłu! – przemknęło przez głowę Andrzejowi. – Tam Lena. Żegnaj i ty, Leno. Moja przyszłość najbliższa to Kosmos”.

– Co pokazuje twój kierunkowskaz? – głos Wadima wyrwał go z marzeń.

Dopiero w tej chwili mechanik dojrzał anomalię we wskazaniach jednego z instrumentów, na który patrzył, lecz którego nie widział. Przez kwadratowe okienko pełzła szeroka, biała wstążka o delikatnie zarysowanej czerwonej siatce. Dwa pióra elektryczne zostawiały na niej ostre, świecące ślady. Jedno z piór kreśliło linię żółtą: kurs wyznaczony statkowi, drugie – czerwoną: rzeczywistą krzywiznę ruchu. Zazwyczaj obie linie biegły razem, szczelnie do siebie przywierając. Automaty dokładnie utrzymywały kurs wyznaczony przez ster-

nika.

Teraz jednakże linie oddalały się od siebie bezustannie. Żółta, wykrzywając się odchodziła na bok, czerwona zaś pozostawała prosta. Pod okienkiem instrumentu trwożnie, jakby przyzywając, migotała czerwona lampka.

– Statek schodzi z kursu! – zawołał Andrzej.

– Co to jest?

Mechanik obrzucił wzrokiem instrumenty. Na pulpicie migotały całe konstelacje kolorowych lampek, brzęczał nieustannie przyrząd określający kierunek. Wprawne oko mechanika natychmiast rozszyfrowało symfonię dźwiękowych i świetlnych sygnałów: automatyczny ster wykonywał program kierunkowy dokładnie, lecz napotykał na niewyjaśniony opór statku. Pojazd w dalszym ciągu szedł pionowo w dół.

– Siła motorów normalna – zakomunikował Czurakow raczej sobie niż Wadimowi – dysze boczne pracują na pełnym obciążeniu, żadnych zakłóceń w systemie automatyki nie zauważyłem.

Andrzej rozpoczął w myśli wycieczkę przez wszystkie ośrodki silnika, przez cały system automatyki. To samo czynił Wadim. Obaj znakomicie znali konstrukcję PW-313. Obaj byli jednak zaniepokojeni.

– Stop! – rozkazał Wadim.

Michejew wyłączył bor i silnik. Dowódca statku, sterownik i mechanik wpatrywali się w instrumenty. Te zaś jakby uspokajały mówiąc: „Wszystko w porządku. Nie denerwujcie się niepotrzebnie. Ufajcie nam”.

– Start!

Statek uczynił nową próbę zmiany kierunku. Dysze boczne spełniały rolę sterów gazowych usiłując odsunąć jego część ogonową w bok, jak obrót steru prze-

suwa kadłub okrętu.

Wadim sam wyłączył osiową dyszę centralną, pozostawiając jedynie boczne. Jednakże w czasie skośnego wytrysku, jednego tylko strumienia statek dalej kontynuował ruch pionowy w dół. Stery gazowe odmówiły posłuszeństwa.

– Stop!

Zawisła martwa cisza. Słyszać było jedynie świat urządzeń rozpychających.

– Nic nie rozumiem... – Wadim znowu włączył silnik. – Jeżeliby nie starczało mocy dla dokonania obrotu w tych zwartych warstwach – począł głośno myśleć – nie moglibyśmy poruszać się wcale. Jednakże szybkość ruchu postępującego nie została zmniejszona.

– Nic się nie popsuło w samych dyszach? – zapytał Michejew.

– Co ty na to, Andrzej?

– Nie zdarzyło się jeszcze, żeby dysze nawaliły. Ale nic innego nie wchodzi w rachubę. Może działa na nie pole zabezpieczające?

Nonsens!

Wadim niezmiernie dokładnie wyobraża sobie boczne dysze z rozszerzającymi się i natychmiast zaginającymi wylotami. Kształtem przypominają skorupę ślimaka. Surkow sprawdzał ich konstrukcję, był obecny w czasie prób odporności mechanicznej. Jakiż więc defekt mógł powstać w dyszach? Przegrzanie? Załamanie profilu? Zaczopowanie wąskich gardel? Naiwne domysły.

– Spróbujemy raz jeszcze.

Znowu ruszył silnik i bor. Włączyli boczne dysze. Statek zadrzał z wysiłku. Drżenie udzieliło się ludziom. Andrzej nie zwrócił nawet uwagi na starcie wynikłe

między geologiem i fizykiem. Ich wzburzone głosy grzmiały w głośniku wzajem się przekrzykując.

Minęła godzina. Potem druga... Trzecia... Zagłębienie wzrosło o dalsze pięć i pół kilometra. Najbardziej elementarne obliczenia wskazywały, że statek porusza się pionowo. Trudno było w to uwierzyć.

Wadima ogarnęła trwoga. „A jeśli dysze są w porządku?” – pomyślał.

– Dobrze – zgodził się – sprawdzimy dysze.

Pięciogodzinne oczekiwanie na wystygnięcie silnika i osłabienie radioaktywności metalu umęczyło i dowódcę statku, i mechanika, i sternika. Wszyscy trzej nie mogli sobie znaleźć miejsca. Weszli do kabiny odpoczynku i tam, siedząc przy stole zgadywali, który to z automatów zrobił psikusa nie przewidzianego ani teoretycznie, ani praktycznie. Wadim traktował poważnie wszystkie domysły kolegów. Jego rozumowanie było na tyle jasne, że nie wywoływało sprzeciwu.

20

Wadim, Andrzej i Michejew wspięli się do magazynu i włożyli skafandry z miękkiego zielonawego materiału, dostatecznie nieprzenikliwego, aby uchronić przed resztkami radiacji silnika. Okrągły kapiszon z okularami osłaniał głowy i twarze.

Należało teraz otworzyć luk w suficie komory. Ciasna studnia wysokości około dwunastu metrów prowadziła do wyjściowego kolektora, silnika i dysz. Wylot studni zamknięty był jeszcze jednym lukiem.

– Przy dyszach korpus nie posiada ochrony przeciw promieniowaniu – przypomniał Andrzej.

Wadim wzruszył ramionami.

– Teraz nie jest potrzebna – powiedział. – Złoża pokładów radioaktywnych zostały wysoko nad nami. A co się tyczy promieniowania, sami widzieliście dane dozymetrów.

– Nie moglibyście się poradzić Walentyna Makarewicz? – zaproponował Michejew.

– Trzeba się znowu rozbierać – Andrzej spojrział w dół.

– Ale co nam właściwie może zagrażać? – powiedział Wadim.

– Chyba nic – zgodził się Michejew.

Andrzej stał najwyżej, dotykając głową luku. Ręką wymacał kontakt w ścianie studni. Trzeba go było nacisnąć, aby otworzyć klapę.

– Można zaczynać?

– Dawaj – powiedział Wadim. – Posuńcie się, Piotrze Afanasjewiczu.

Michejew stał między Andrzejem i Wadimem. Zamiast odpowiedzieć chwycił mechanika za rękę i odsunął go na bok.

– Puść tam mnie, Andrzejku.

– Co znowu, Piotrze Afanasjewiczu? – zdziwił się Wadim. – Zaczynacie się mieszać w nie swoje sprawy.

– To są nasze wspólne sprawy. Ja odpowiadam za statek na równi z dowódcą. Poza tym, młodzi ludzie, zechciejcie wziąć pod uwagę, że ja nie cztery, ale dwadzieścia osiem lat schodzę pod ziemię. Dlaczego ryzykować ma cała ekipa?

– Ryzykować? Czym?

– Nie wiem. Może jakie licho z tymi dyszami?

To mówiąc, sternik przecisnął się obok Czurakowa odpychając go od luku.

Klapa na szczycie została otwarta. Buchnęła gorąca

fala powietrza. Silnik i dysze nie zdążyły się jeszcze ochłodzić.

Michejew zdecydowanymi ruchami przycisnął się przez okrągły otwór i bezceremonialnie zatrzasnął klapę przed samym nosem dowódcy statku.

– Nic nie rozumiem – zdziwił się Wadim pozostawszy we dwójkę z Andrzejem. – Piotr Afanasjewicz postępuje tak, jakbyśmy to my byli jego podwładnymi, a nie odwrotnie.

Upłynęło piętnaście minut nieprzyjemnego oczekiwania. Stać na drabince było niewygodnie i ciasno. W szczelnym skafandrze ciało pokrywało się potem. Wadim zrywał się, aby przeleźć przez otwór luku, lecz w jego uszach nie przestawały dźwięczeć dziwne słowa Michejewa: „Dlaczego ryzykować ma cała ekipa?” Dowódca statku był zdumiony postępkami Michejewa.

Tymczasem Andrzej dłubał w zamku pokrywy. Co mu się tam nie podobało – nie wiadomo. Pogrążył się całkowicie w nikomu teraz nieprzydatnej pracy. Zgiąwszy się w niewygodnej pozycji Andrzej szczykał fiksatorem elektromagnetycznym, wsłuchiwał się w jego dźwięk, usiłował zajrzeć w kontrolne oczko.

– Zostaw zamek w spokoju! – denerwował się Surkow. – Zachciało ci się zabawy?

– Nie o to chodzi. Okazało się, że fiksator opóźnia się po włączeniu.

Wreszcie pojawił się Michejew. Zatrzasnął za sobą luk i zerwał z głowy kaptur. Pot spływał po jego policzkach, włosy mu się zmierzwiły i zlepily.

– Dysze w porządku – głucho i krótko zakomunikował.

Wadim silniej zacisnął dłonie na szczelbu, bezwładnie przywarł do gorącej ściany tunelu. Lepiej by było,

gdyby Michejew stwierdził awarię, choćby bardzo ciężką, poważną, ale wtedy wszystko byłoby zrozumiałe. Przygmatowała ich niejasność sytuacji i strach przed rosnącym niebezpieczeństwem.

– Obejrzałem nie tylko dysze – powiedział Michejew – lecz cały system wydechowy. Nie ma nawet śladu awarii. Trzeba jej szukać zupełnie gdzie indziej.

– W konstrukcji PW-313 jej nie ma.

Trzej mężczyźni spoglądali na siebie w milczeniu.

21

Jakkolwiek Biront i Diegtiarew pochłonięci byli swymi badaniami, zauważyli wreszcie, że statek zbyt często się zatrzymuje.

– Co się tam dzieje – rzekł zaniepokojony Biront. – Słyszycie? Michejew i Surkow poszli na górę. Dokąd, jak myślicie?

– Spać – burknął Diegtiarew.

Po czterdziestu minutach przemówił na pulpicie głośnik łączności wewnętrznej.

– Mikołaju Mikołajewiczu – rozległ się głos Wadima – i Walentynie Makarewiczu, wejdźcie, proszę, do kabiny odpoczynku.

– Jestem pewien, że stało się coś niedobrego – trwożnie westchnął Biront. – Strach pomyśleć.

W kabinie odpoczynku jaśniało miękkie „słoneczne” światło. Sześciu mężczyzn usiadło w głębokich fotelach wokół okrągłego stołu. Kabina upodobniła się do salonu w pasażerskim samolocie. Była w dalszym ciągu spokojnym, cichym i ulubionym zakątkiem tego świata, w którym wyrosli siedzący za stołem.

– Jeśli chodzi o mnie, to mam tylko jeden argument: wysoką twardość bazaltowych skał – powiedział

Diegtiarew, kiedy wysłuchano Wadima.

– Nie, to nie to – odparł Wadim. – W astenosferze, podobnie jak dla cieczy i powietrza, obowiązuje prawo Pascala. Na korpus statku działa jednakowe ciśnienie ze wszystkich stron.

– Tak, to się rozumie.

– Ale z poprzednią szybkością możemy się poruszać jedynie pionowo. Statek nie chce zbczyć w innym kierunku. Co sądzicie o tym, Walentynie Makarewiczu?

– Rzecz jest ciekawa. – Atomista potarł dłonie i spojrzał na sufit. – Muszę pomyśleć. Może to jest moja dziedzina. Bardzo ciekawe.

– Jak gdyby to nie była dla nas sprawa najważniejsza – uśmiechnął się z przymusem Wadim. – Weźcie w rachubę, że statek nie posiada biegu wstecznego. Do tej pory nie był on potrzebny. I dopóki czegoś nie wymyślimy, będziemy musieli sterczeć tu, na głębokości pięciuset kilometrów.

– Jak to sterczeć? – spieszył się Biront. Dopiero teraz uprzytomnił sobie całą grozę położenia.

– Wadimie Sergiejewiczu – zagadnął Michejew – chodźcie, raz jeszcze spróbujemy zawrócić statek. Nie jesteśmy ograniczeni czasem. Być może obrót będzie możliwy na większym łuku, powiedzmy, o promieniu nie ośmiu, ale stu kilometrów.

– Na razie nic nam innego nie pozostaje – zgodził się Surkow. – Skrzywienie trajektorii bez wątpienia jakoś przeciwdziała. Niechby nawet w niewielkim stopniu – to nieważne. Mamy dostateczny zapas energii i wcześniej czy później wydostaniemy się na powierzchnię. Ale przyczyna, rozumiecie, przyczyna! Musimy ją wreszcie znaleźć.

– Znajdziemy, Wadimie Sergiejewiczu – powie-

dział Diegtiarew.. – Po to nas w szkołach uczyli.

Jeszcze kilka dni niepewności! W nich kryje się nadzieja na powrót albo nowa nieprzewyciężona przeszkoda.

PW-313 drążył kilometr za kilometrem nie przestając oddalać się od powierzchni.

W kabinach panowała cisza. Zmaląła poważnie wibracja statku, nawet ta, którą powodowała praca silnika. Widocznie tak oddziaływało otoczenie statku, jego nieustannie rosnąca zwartość. A jeszcze niedawno ekipa tęskniła do tej ciszy. Teraz cisza przygniatała ludzi, rozciągała czas, przedłużając minuty w godziny, a godziny w nieskończoność.

Ranek, dzień, wieczór, noc zlewały się w jednolity blask „dziennego światła”. Czas sączył się monotennie. Wadim w pamięci przeglądał schematy automatyki i przechodząc od podzespołu do podzespołu ciągle usiłował znaleźć odpowiedź na zagadkowe zachowanie się PW-313. Jednakże raz po raz przyłapywał się na tym, że się czemuś przysłuchuje, że trwoga przygniata mu pierś i jakkolwiek się stara zająć pracą, nie może jasno myśleć. A dla niego, konstruktora i badacza nie ma nic gorszego jak płatanina myśli.

Coś podobnego przeżywał także Biront. Kontynuował wprawdzie badania nad promieniowaniem z zaciętością prawdziwego eksperymentatora, ale wyprowadzała go z równowagi byle drobnostka. Stracił apetyt i cierpiał na bezsenność. Pytania Diegtiarewa pozostawiał bez odpowiedzi. Często zrywał się z fotela, opuszczał kabinę, by za parę minut zjawić się w niej znowu.

Na górę, do kabiny odpoczynku często zaglądał Michejew. Narzekał na gwałtowne i bardzo silne bóle

głowy, co mu się nigdy przedtem nie przytrafiało. Bironnt współczuł mu. „Nawet ten mężczyzna człowiek zaczyna się poddawać – niewesoło pomyślał atomista. – Co z nami będzie?”

22

Minęły jeszcze dwie doby. Czerwona linia na polimetrowej wstążce instrumentu pozostawała idealnie prosta. PW-313 parł pionowo ku jądro Ziemi. Skrzywienie trajektorii, jeśli nawet się zaznaczało, było tak nieznaczne, że nie mogły go złowić nawet instrumenty PW-313, czułe jak nerwy człowieka.

„Myśl, myśl! – rozkazywał sobie Wadim i dlatego może, iż zmuszał się do skupienia, jego myśli rozlatywały się jak stado przestraszonych ptaków. – Co się ze mną dzieje? – zastanawiał się nad sobą z roztargnieniem. Skąd we mnie taka słabość? Czego ja się boję? Śmierci? Nie!”

Podniósł oczy na Michejewa szukając w nim ratunku. Wadim nagle ślepo zaczął wierzyć w doświadczenie sternika, w jego wieloletnie przygotowanie. Przecież zdarzało się, że ludzie dokonywali odkryć w dziedzinach zupełnie sobie obcych tylko dlatego, że nie krępowały ich obowiązujące poglądy i dogmaty. Może więc błysnie w głowie Piotra Afanasjewicza zbawienia idea?

Michejew marszczył się z bólu. Rozpiął kombinezon, czuł brak powietrza. Jego żalony wygląd zupełnie przybił Wadima.

– Co wam jest? – spytał.

– Głupstwo... Coś niedobrze z moją głową. Pierwszy raz w życiu. Nigdy nie miałem zawrotów głowy, a teraz zdaje mi się, jak bym gdzieś spadał, leciał

w przepaść bez dna... Widocznie starość...

Michejew usiłował się uśmiechnąć, ale było to ponad jego siły. Nadszedł czas obiadu. Sternik wstał, aby ruszyć za Wadimem, lecz opadł bezsilnie na fotel. Twarz jego pokryła się potem, oczy rozszerzyły się trwożnie.

Wadim zamarł pośrodku kabiny.

– Piotrze Afanasjewiczu, co wam?

– Jeśli możecie... wody...

Wadim nigdy jeszcze nie biegł po drabince tak szybko. Wrócił w towarzystwie geologa i mechanika. Michejew pił wodę łąpczywie, głośnymi łykami.

– Aleś się nam rozkleił, Afanasjewiczu? – zdziwił się Diegtiarew.

– Głupstwo... – Michejew zamknął powieki. – Przejdzie.

W tej chwili Wadim dostrzegł na policzkach Michejewa białe plamy. Widocznie zauważyli je również Andrzej i Biront, ponieważ umilkli i także z natężeniem wpatrywali się w twarz Michejewa.

– Stacja na odbiorze! – krzyknął z góry Skorupin.

– Dawaj! – Wadim zakrzętnął się przy pulpicie.

Uwaga na **PW-313** – przemówił głośnik. – Natychmiast wracajcie na powierzchnię. Naczelny konstruktor usuwa Surkowa ze stanowiska dowódcy statku i mianuje na jego miejsce sternika Michejewa. Bez względu na wartość waszych badań...

Dalsze słowa zagłuszył trzask, dźwięk dzwonów i ogłuszający chichot, po czym zapadła cisza.

– Nie pod-ehodź-cie do dysz... – nieoczekiwanie głośno i wyraźnie zawołał Michejew. – Tam... śmierć. Dokoła statku śmierć.

– Źle z nim! – krzyknął Andrzej.

Nieprzytomnego sternika ułożono na podłodze. Zja-

wili się także wystraszeni Biront i Skorupin.

– Gdyby się to stało u nas, tam na górze – mruknął Biront – pomyślałbym, że Piotr Afanasjewicz znalazł się w bezpośredniej bliskości włączonego synchrofazotronu. W mojej obecności nic się podobnego nie stało, ale słyszałem... Opowiadano mi. Symptomy...

– Porażenie promieniami? – powiedział Diegtiarew.

– Właśnie.

– Mówił o dyszach – Diegtiarew spojrzął na Wadima. – Cóż by to miało znaczyć? Piotr Afanasjewicz nie mógł przecież otwierać pracującego silnika ani bora. Takiej lekkomyślności nie popełni nawet nowicjusz.

– Przeglądał dysze – wyjaśnił Czurakow. – Ale silnik był wyłączony.

– Dozymetry wskazywały zaledwie czterdzieści rentgenów – odezwał się Wadim. – Ponadto Piotr Afanasjewicz był ubrany w skafander. Zdarzało mi się nieraz przeglądać silnik nawet przy radiacji dwustu rentgenów. Skafander wytrzymuje tysiąc pięćset.

– Mówicie... dysze – przerwał Biront, nie spuszczać wzroku z bezwładnego ciała Michejewa. – O ile sobie przypominam, zainstalowane są tam – wskazał palcem w stronę sufitu kabiny – na samym szczycie.

– Tak, tam jest odrzutowy kolektor silnika.

– Dziękuję za informację – w głosie atomisty zadźwięczało rozdrażnienie – i o ile wiem, w tym miejscu, gdzie się znajduje kolektor odrzutowy, korpus nie posiada ochrony przed promieniowaniem zewnętrznym.

– Piotr Afanasjewicz wychodził w ochronnym skafandrze – odpowiedział spokojnie Wadim. – Złoża radioaktywne zostały wysoko nad nami. Dozymetry pro-

mieniowania zewnętrznego...

– I cóż wy mi tu gadacie o dozymetrach – krzyknął i zamachał rękoma Biront – wszystkie tutaj dozymetry oprócz moich nastawione są na określoną skalę częstotliwości. Dobrze są one tam, w litosferze, wśród zwyczajnego rozpadu radioaktywnego, a my, pozwólcie sobie przypomnieć, od pewnego czasu znajdujemy się w astenosferze.

– To znaczy, że Piotr Afanasjewicz rzeczywiście został porażony promieniami... – powiedział Diegtiarew. – Andrzeju, poproszę o skrzyneczkę. I strzykawkę przy okazji.

– Poczekajcie, poczekajcie... – fizyk zamarł z rozczapierzonymi palcami rąk, spoglądając błędnym wzrokiem na Diegtiarewa i Czurakowa, pochylonych nad Michejewem. – Że też mi to od razu nie przyszło do głowy... Wadimie Sergiejewiczu pokażcie mi instrumenty, które kontrolują siłę pola magnetoplazmowego.

Wadim patrzył na Bironta nierozumiejącymi oczyma.

– Potrzebna mi jest pełna charakterystyka pola. – Bokiem, obok rozciągniętego ciała Michejewa, Biront zbliżył się do pulpitu.

Wadim milcząc wskazał instrumenty.

– To i to? Aha, już widzę. Rozumiem... Teraz zestawmy. I jeżeli ja się nie mylę, będzie krucho.

Uczony wybiegł z kabiny. Wadim popatrzył za nim. Intuicyjnie wyczuł, że właśnie z ust tego człowieka usłyszy wyrok śmierci.

Z głośnika rozległ się głos:

– Wadimie Sergiejewiczu, proszę was, wejdźcie do mnie.

Biront siedział w fotelu, twarz miał poszarzałą, sploty

szone oczy; jego ręce nie znajdowały dla siebie oparcia.

– Co się stało?

– Dałem się ponieść zapałowi i zapomniałem o niebezpieczeństwie – Biront zerwał się z fotela i powiedział już głośno. – Ja nie wiedziałem, że ono zapanowało nad kierunkiem.

– Co?

– Pozwólcie... Zupełnie straciłem głowę – atomista potarł czoło dłonią. – Spójrzcie na instrumenty. Widzicie? To wektor odkrytego przeze mnie promieniowania. Promieniowanie współdziała z polem magneto plazmowym statku. Mechanizm tego współdziałania jeszcze nie jest dla mnie zrozumiały, ale fakt jest faktem. I oto, co się dzieje: z jednej strony pole magneto plazmowe olbrzymiej mocy, z niezwykłą szczelnością linii parcia, z drugiej – jeszcze potężniejsze promieniowanie. Promieniowanie posiada kierunek, to jest promienie są idealnie proste, podobne do promieni światła i pochodzą z jądra Ziemi. Nie wiem, z czym to porównać... Ale powiedzmy, że się nasz statek upodobnił do stalowego sworznia wpuszczonego do solenoidu. Nie będziemy mogli zejść z tego pionu, potrzebna do tego byłaby tysiąc razy większa moc niż ta, jaką posiada nasz silnik. Zrozumieliście mnie?

– Tak – jęknął Wadim – zdaje się, że zrozumiałem.

Biront usiadł w fotelu i opuścił głowę.

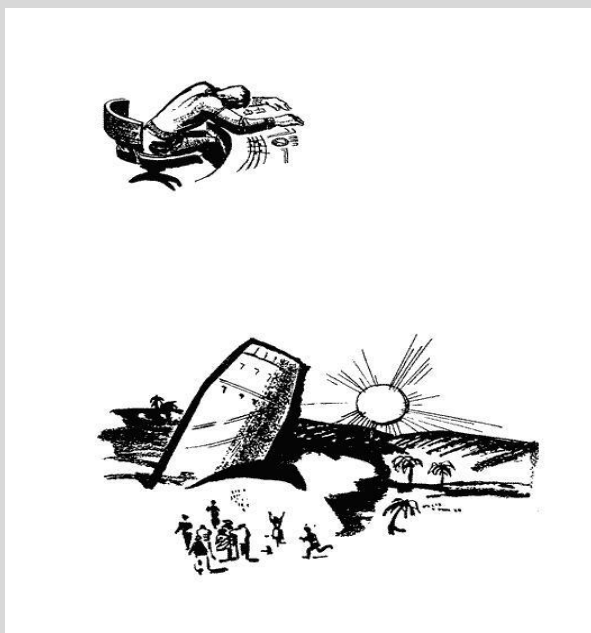
Statek był uwięziony. Porównanie do sworznia solenoidu nie było zupełnie ścisłe. Statek raczej znalazł się w położeniu okrętu oceanicznego, który uwiązł w wąskim przesmyku i miał przed sobą tylko trzy możliwości: iść naprzód, do tyłu albo stać w miejscu. Brzegi szczelnie zwierają kadłub statku i wszelki skręt jest

wykluczony.. Ale sytuacja PW-313 była jeszcze gorsza: nie posiadał biegu wstecznego.

- Cóż więc radzicie? – zapytał Wadim.
- Zawrócić udałoby się tylko pod jednym warunkiem: jeżeli wyłączymy pole zabezpieczające.
- To jest niemożliwe.
- Niestety tak. – Biront nerwowo szarpał podbródek. – Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

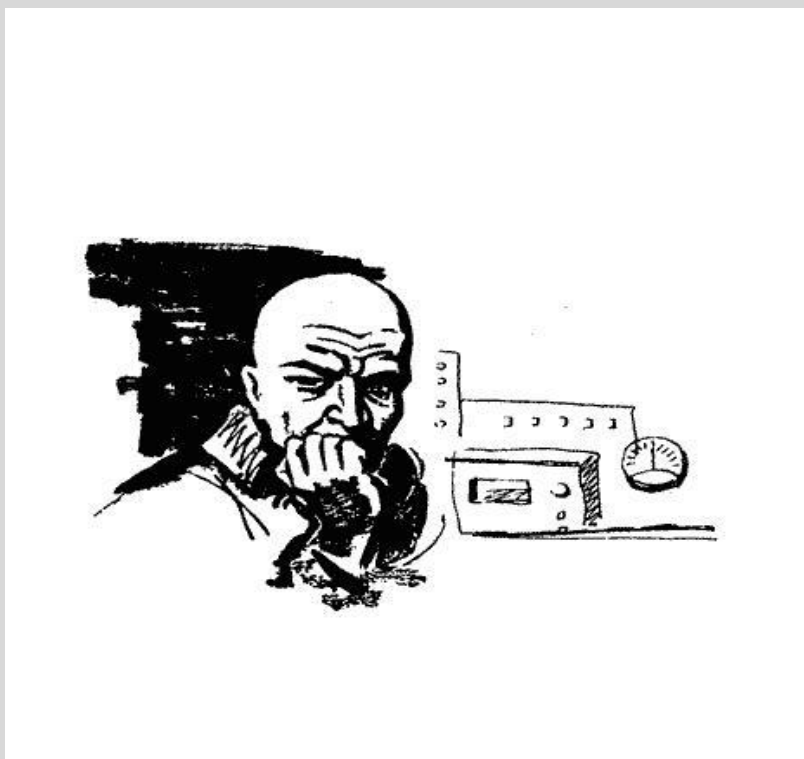
Wadim nie słuchał już fizyka. Sytuacja wyjaśniła się ostatecznie i przygnębiająca bezsilność ogarnęła byłego dowódcę statku. Postąpił lekkomyślnie... I cóż teraz czynić?

Wadim milczał. Nie potrafił wykrztusić ani słowa.



CZĘŚĆ DRUGA

W SFERZE OGNI A MROZU



1

Michejew zmarł nie odzyskawszy przytomności.

Trupa zawinęli w prześcieradło. Nie można go było pozostawiać w kabinie. Naradziwszy się postanowili poddać jego ciało swego rodzaju kremacji. Andrzej otworzył drzwi do wnętrza bora. Ciało sternika ułożyli w rurze ssącej i włączyli na moment silnik...

Zarówno śmierć towarzysza jak i rozpaczliwa sytuacja, w jakiej znalazł się statek, zbliżyła do siebie członków załogi. Zebrali się w kabinie mechanika. Skorupin włączył nadajnik, Wadim usiadł przed mikrofonem.

Drodzy przyjaciele – powiedział – stało się wielkie nieszczęście: zginął Michejew. A było to tak...

Opowiedziawszy o ofiarnym czynie sternika, Wadim umilkł. Musiał zacisnąć zęby, aby opanować nerwowe drganie mięśni.

Ponadto nie jesteśmy w stanie wrócić na powierzchnię. Promieniowanie jest silniejsze od statku – tu głos mówiącego zadźwięczał mocniej, Wadim wyprostował się. – Wątpimy, czy moglibyście przyjść nam z pomocą. Będziemy liczyć przede wszystkim na siebie i uczynimy wszystko, żeby się wydostać na powierzchnię. Będziemy walczyć...

– Dobrze mówisz, Wadimie – cicho rzekł Diegtiarew. – Będziemy walczyć...

Statek jest unieruchomiony, Silnik wyłączony, bor milczy. W kabinie panuje cisza. Nad głowami pięćset dziewięćdziesiąt dwa kilometry zwartej, rozpalonej materii. Pod stopami bezden płonącej, jeszcze bardziej sprasowanej magmy. Bazalt uwięził w swoich potężnych uściskach tę, tak mocną do niedawna, a teraz tak bardzo bezbronną maszynę.

W centrum każdego pulpitu płonie ciemnobłękitne oko ekranu. Podobny jest do uralskiego kamienia niewidzianej wielkości, w naszyjniku z białych, świecących prostokątów z różnobarwnymi nitkami.

Przy pulpitach nie ma nikogo. Skorupin i Czurakow zaszyli się w hamakach. Diegtiarew, Surkow i Biront zamarli w fotelach przy stole.

Nylonowe poszycie ścian, podłogi i sufitu jest czyste i miękkie. I jakkolwiek lampa świeci jasno, zdaje się, że z kątów wypęła mrok i zalega ciężka przytłaczająca cisza.

– Niepotrzebnie bierzecie całą winę na siebie, Wadimie Siergiejewiczu – powiedział Diegtiarew nawiązując do przerwanej rozmowy. – Jeżeli już oceniać

sprawiedliwie, trzeba by natrzeć uszu waszemu pokornemu słudze. To ja jestem tu ten stary wróbel, ja powinienem był w swoim czasie powiedzieć „nie” i spacerowalibyśmy teraz wszyscy na słoneczku. Nie oparłem się pokusie... Tyle lat marzyłem, żeby zobaczyć astenosferę... Myślicie może, żeście mnie wtedy przegadali? – geolog westchnął. – Nie-e-e, Wadimie Siergiejewiczu. Diegtiarew nie da się tak łatwo oszukać. Otóż to!

– Cóż to za kajanie się – krzyknął Biront. – Kogo próbujecie nabrać? Tu – postukał palcem w swoje czoło – tu się zaczęła cała bieda!

Andrzej i Paweł przysłuchiwali się dziwnemu sporowi w milczeniu. „Któż tu w istocie winien naprawdę?” – pomyślał Andrzej i nie potrafił dać sobie odpowiedzi. Oczywiście, pierwszy myśl tę rzucił Wadim, ale przecież nie uczynił tego z osobistych pobudek. Pragnął gruntownego sprawdzenia PW-313. Potem właściwie wszyscy go poparli...

Zapadło milczenie.

– Gdyby tak zliczyć kilometry, jakieśmy wraz z Afanasjewiczem przebyli pod ziemią – odezwał się Diegtiarew – wyszłaby niezła cyferka. Z pewnością starczyłoby tego na rejsik do jądra Ziemi...

Diegtiarew westchnął, spojrzął na swoje olbrzymie, bezradnie na kolanach złożone dłonie.

– To był człowiek niesłychanie pracowity – ciągnął geolog – siądzie, bywało, przy sterze i siedzi dniami i nocami jak przywiązany. W pierwszych statkach podziemnych nie było jeszcze takiego zautomatyzowania, jakie ma PW-313. Czasem aparatura robiła psikusy, ale w razie potrzeby Afanasjewicz potrafił prowadzić maszynę i bez instrumentów, ufając jedynie swojemu wy-

czuciu. Wyobrażacie sobie, na węż, pod ziemią, gdzie oko nie może się orientować według niczego i czasem nawet nie wiadomo, gdzie góra, a gdzie dół. Tylko raz węż go zdradził. Odmówił posłuszeństwa przyrząd kierunkowy. Według obliczeń szliśmy na głębokościach dwu i pół kilometra, lecz Afanasjewicz sądził, że zagłębiamy się coraz dalej i począł podciągać statek ku górze. Nieoczekiwanie statek wydostał się na skraj urwiska. Pod nami zionęła przepaść głębokości siedemdziesięciu metrów. Jakim cudem uniknęliśmy śmierci, do dziś nie wiem. Gdybyśmy wpadli w przepaść... nno... nie miałby wam kto dziś opowiadać tej historii.

– A nam zdarzyła się kiedyś... – podchwycił Skorupki.

– Czekaj, Pasza, jeszcze nie skończyłem... Rzecz w tym, że dziób się wynurzył nad przepaścią, a ogon pozostał w ziemi. Nie można było włączyć biegu wstecznego, iść dalej także nie. Potem się okazało, że Michejew śpieszył na własne wesele. Dlatego pewno stępił mu się „węż”? Możecie sobie wyobrazić, jak się wściekał.

Diegtiarew wspomniał także inne przypadki z podróży podziemnych, ale już bez udziału Michejewa. Przerwywano mu, każdy chciał opowiedzieć o swoich przygodach, tylko Andrzej myślał słuchając z uwagą.

– Wszystko pięknie – wtrącił wreszcie – ale jak my się stąd wydostaniemy?

– Źle mnie zrozumiałeś – mruknął niechętnie Diegtiarew. – Cały czas dowodzę potrzeby zdrowego rozsądku. Pamiętam, jak w dzieciństwie któryś z kolegów udowodnił mi, że dwa razy dwa jest pięć. Znasz to? Byłem wstrząśnięty i straciłem wiarę w niepodważalność matematycznych aksjomatów. Chyba z półtora

roku czułem pogardę dla tej królowej nauk, aż wreszcie sam, samodzielnie, rozwiązałem zagadkę. Uwierzysz albo nie, ale ani przedtem, ani nigdy potem nie miałem okazji przeżyć takiej wielkiej radości. Kiedyśmy z Michejewem wypelzli na skraj urwiska, nasze położenie zdawało się beznadziejne. Mieliśmy dwie możliwości: albo runąć ze statkiem w przepaść i oddać Bogu ducha, albo siedzieć i czekać pomocy.

– Naturalnie czekaliście pomocy?

– Nadajnik nasz nie działał. Łączność ze stacjami naziemnymi została przerwana. Ale szukaliśmy wyjścia. I kiedyśmy je wreszcie znaleźli, zdumiała nas jego prostota.

– Cóż więc?

– Sam pomyśl, jesteś mechanikiem czy nie?

Czas płynął. Być może na powierzchni odebrano już alarmujący komunikat z PW-313, ale czyż pomoc stamtąd jest do pomyślenia?

„Przypuśćmy – rozmyślał Wadim – stanie się cud i Remizowski sprokuruje takie pole, które nie będzie podlegać współdziałaniu z tym diabelskim promieniowaniem. Niechaj fabryka wybuduje nowy statek w ciągu ośmiu, no, sześciu miesięcy. I niech ta nowa maszyna dokona nowego cudu: odszuka PW-313. To co dalej? Czy uda się wydobyć uwięzłą w ziemi metalową wieżę? To przecież nie to samo, co wzięcie na hol statku na rzece czy samochodu na drodze. Holowanie statku podziemnego przez drugi podziemny statek jest niemożliwe. Najgorsze zaś, że ludzie nie będą mogli opuścić PW-313, i przejść do drugiej maszyny.

Tak, cuda były wykluczone. Poszukiwanie pola neutralnego potrwa długie lata. Wyczerpuje się zapas energii w PW-313, a znacznie wcześniej załoga umrze

z głodu. Cuda są możliwe tylko w bajkach Diegtiarcowa. Ale i on nie wymyślił ich sam. Ratunku trzeba szukać tu, w statku”.

Mimo że przychodziły mu do głowy różne pomysły, nawet najbardziej fantastyczne, Wadim nie umiał znaleźć rozwiązania dylemantu.

2

Elektronowy chronometr odmierzał godziny, składał z nich doby. Załoga PW-313 ukradkiem spoglądała na instrument, gdzie z nieubłaganą dokładnością zmieniały się cyfry wskazujące sekundy, minuty, godziny, doby...

Kabina stała się nagle ciasna i niewygodna. Odnosiło się wrażenie, że ściany zbliżają się do siebie; płucom brakowało powietrza, choć syntezatory dostarczały go tyle, ile trzeba.

A gdzieś wysoko, niewiarygodnie wysoko nad statkiem, jak dawniej świeci słońce i życie toczy się swoją koleją. Zostali tam najbliżsi, rodzina, przyjaciele. I szczęście tam zostało. Tu zaś, za plecami czaiła się śmierć, co prawda nie rychła, ale tym straszniejsza w swojej nieuchronności.

Cóż zostało do zrobienia?

Obudziwszy się, godzinami wspominali swoje przeszłe życie, ale rozmowa się nie kleiła; trudno ją było podtrzymywać, ponieważ żaden temat nie był dość ciekawy. Interesowało ich tylko jedno: jak się stąd wydostać?

— To mi przypomina dom wypoczynkowy — żartował niewesoło Andrzej. — Spać można, ile się chce, jeść, nic nie robić. Kiedy nas wreszcie stąd wywloką, przybędzie nam na wadze.

– Tego bym raczej nie chciał, Andrzejku – powiedział Diegtiarew układając się wygodnie w hamaku. – Ale, a propos, jaki mamy jeszcze zapas żywności?

Na przetrząśnięcie spiżarni potrzeba było co najmniej jednego dnia. W remanencie wzięli udział wszyscy członkowie załogi. Sumowali, spierali się o drobniaki, przekładali puszki z miejsca na miejsce i robili zamęt, z którego się skrycie cieszyli, ponieważ praca, sztucznie przeciągana, pozwalała im zapomnieć o ich strasznym losie.

Wreszcie obliczono, że zapasów wystarczy na siedem miesięcy, a przy pewnych ograniczeniach – na pełnych dziesięć.

Dziesięć miesięcy życia... Kogóż to mogło uspokoić? Marzenia, plany na przyszłość – wszystko to nagle straciło sens. Piersi przygniatało uczucie beznadziejnej pustki. Męczyła świadomość, że tam, na górze, przyjaciele, towarzysze i tysiące ludzi nieznanym martwią się i cierpią, ponieważ nie mogą nieszczęśliwym przyjść z pomocą.

Minęła szesnasta i siedemnasta doba.

Skorupin nie zdołał złowić ani jednej stacji naziemnej. Zdarzało się, że w symfonię dźwięków podziemnego świata wplatał się ludzki głos, lecz to były jedynie odbite gdzieś fale, strzępy i urywki impulsów.

Osiemnastego dnia Diegtiarew powiedział:

– Dosyć już tej demagogii. Gadanie nic nie pomoże.

- Chcieliście coś zaproponować? – spytał Biront.
- Tak. Chcę.
- No więc?
- Trzeba coś zrobić!

– Robić? Ale co?
– Nie wiem. Ale ja nie mogę, kolego, siedzieć bezczynnie. Nie mogę! Mam już tego dość. Nawet jeżeli zginiemy, statek zostanie cały. Nasze badania, nasze zapiski zostaną ocalone.

– Mylicie się – Biront zmarszczył brwi – statek zginie także. Kiedy wyczerpie się energia, przestanie działać pole zabezpieczające...

– Do licha z waszą idiotyczną logiką... – burknął Diegtiarew i nagle pochwycił utkwione w nim spojrzenie Skorupina. W tym wzroku kryła się nadzieja usłyszenia czegoś, co przyniesie ratunek. – Nie, przyjacielu, tak nie można. – Geolog zeskoczył na podłogę lekko jak młodzieniec. – Jesteśmy jeszcze żywi, zdrowi, powinniśmy więc pracować. Nie ma nic gorszego jak leżeć i czekać na przyście kostuchy. Mimo wszystko nie jesteśmy tu tylko z własnej ochoty, posłano nas, powierzono nam wielkie zadanie. Powinniśmy wysłać komunikaty, nas przecież słyszą.

To powiedziawszy Diegtiarew skierował się do luku i zniknął w dolnej kabynie.

Siedząc już w fotelu począł nasłuchiwać. Nie, nikt nie poszedł za jego przykładem. Zresztą i sam geolog nie potrafił się skupić. Pytanie postawione przez Bironta: „Robić? Ale co?” utkwilo mu pod czaszką na podobieństwo klina.

„Co za bzdura! – Diegtiarew usiłował otrząsnąć się z przygnębienia. – Przed nami dziesięć miesięcy. Dla uczonego – cała wieczność. Pracować! Pracować!”

3

Andrzej spoglądał na pusty hamak Diegtiarewa i przysłuchiwał się odgłosom dobiegającym z sąsiednie-

go hamaku. Leżał tam Wadim, człowiek, który nienawidził bezruchu.

Mechanik nie czekał nadaremnie. Zaszeleścił odrzucony koc i z krzykiem, od którego radośnie drgnęło Andrzejowi serce Wadim wyskoczył z hamaku.

– Wstawać, wstawać nygusy!

Andrzej odczekał, aż Wadim, postukując szybko po szczeblach, zniknął na dole. Nie śpiesząc się, zupełnie jak w domu, Andrzej ogolił się, umył i uczesał. Po chwili namysłu zmienił koszulę, po czym usiadł przy stole i z apetytem opróżnił puszkę wybornego pasztetu.

Najpierw poszedł do swojej kabiny.

Różnokolorowe wskazówki instrumentów opadły bez życia. Aparaty pomiarowe milczały. Zgasłe lampy sygnalizacyjne patrzyły martwo. Potężna i skomplikowana maszyna wydawała się skazana na bezczynność. Mechanik czuł się tak, jakby związano mu ręce i nogi sznurami i ciśnięto w kąt kabiny.

Andrzej zszedł do Diegtiarewa. Geolog skinął głową zachęcająco, w jego oczach ukazał się krótki błysk uśmiechu. Westchnąwszy z ulgą mechanik pośpieszył do Wadima.

Wadim, przygięty nisko, zgarbiony, skłonił głowę nad pulpitem, zasłaniając ją rękoma jakby w oczekiwaniu na cios. W kabinie panowała cisza. Instrumenty milczały. W całej pozie Wadima objawiała się rozpacz.

Andrzej zamarł na drabince.

– Wadim! – zawołał.

Wadim leniwo podniósł głowę, spojrzał na mechanika zmaconymi oczami.

– Co ci jest, Wadimie?

– Nie mogę... – wykrztusił dowódca statku. I trzasnął obiema pięściami w pulpit. – Rozumiesz? Nie

mogę nic z sobą począć, zmusić się do pracy, do myślenia, do poszukiwań.

Andrzej zszedł z drabinki.

– Wadimie, a Lena? – powiedział cicho.

– Lena... Gdzież mi teraz do niej? Zmarnowałem statek. Jak ja sobą gardzę, jak siebie nienawidzę!...

Mechanik nie potrafił okazać mu współczucia. Przystępował z nogi na nogę i nie wiedział, co mówić. Rozumiał, co się dzieje w duszy przyjaciela. A w takich sprawach nie potrafił nic poradzić.

– Może ci jakoś pomogę – Andrzej skinął na pulpit. – Jeszcze nie ukończył obliczeń nowego profilu...

– Dziękuję, nie trzeba. – A jednak twarz Wadima rozjaśniła się z wolna, westchnął głęboko i przyglądał włosy. – A w ogóle nie zwracaj na mnie uwagi. Spróbuję, będę pracował.

Nachylił się nad pulpitem, przekreślił kontakty. Ożyły instrumenty, zamigotały lampy, miękkim dźwiękiem brzęczka dała znak gotowości aparatura pomiarowa.

Czurakow stał jeszcze chwilę za plecami Wadima w posępnym zamyśleniu. Przekonawszy się, iż Wadim pracuje naprawdę, zostawił go samego. Wspiął się po drabince z kabiny do kabiny, nie zatrzymując się nigdzie; minął cztery piętra statku, dotarł do działu maszyn.

Żeby jakoś zabić czas, zajął się sprawdzaniem działania syntezyatorów. Skontrolował system chłodzenia, otwierając jedną po drugiej skrzynki przełączników. Dokonywał tej kontroli z taką skrupulatnością, jak gdyby przygotowywał statek do bardzo długiego rejsu. Zmęczony, siadł na podłodze, objął kolana rękami i skłonił głowę.

Siedział w tej pozycji dobrą godzinę, o niczym nie

myśląc. Mechanik należał do tej rzadkiej kategorii ludzi, którzy przeżywają uczucie strachu dopiero w bezpośredniej styczności z niebezpieczeństwem. Jeżeli do momentu katastrofy pozostaje choćby tylko jeden dzień, zachowują zupełny spokój i nie tracą apetytu.

Co jedynie dręczyło Andrzeja, to przymusowa bezczynność. Dopiero teraz przekonał się, jak bardzo przywykł do stałej uporczywej pracy.

Pojawienie się Skorupina wyrwało Andrzeja z odrętwienia.

– Co myślicie o tym, Andrzeju Gawryłowiczu? Na długośmy tu ugrzęźli? – spytał cicho Paweł.

– Na zawsze.

– Mówicie poważnie?

– Przecież nie jesteś pod ziemią po raz pierwszy. Tu nie ma żartów.

– Rozumiem, wszystko rozumiem. Nie mogę tylko pojąć, jak mogło do tego dojść. Wadim Siergiejewicz jest takim świetnym konstruktorem i nagle...

– Konstruktor z niego rzeczywiście doskonały – zgodził się Czurakow.

Skorupin zajął w oczy mechanikowi.

– Zdaje się, że chcieliście coś jeszcze powiedzieć...

Andrzej nie chciał się dzielić nieprzyjemnymi wrażeniami z owej pamiętnej sceny w kabinie dowodzenia. Miał uczucie, jakby go obrabowano z czegoś najbardziej cennego i drogiego.

– Zostawiliście kogo tam, na górze?

– Jasne. Ojciec, matka, dwie siostrzyczki.

– Dziewczyna?

Pytanie ukuło Andrzeja w samo serce. Tu, w kabinie statku, coraz częściej wspominał Lenę, nie tę, która została żoną Wadima, ale tamtą dziewczynę w skromnej,

szarej sukience, która odbierała i kontrolowała zestawiane przezeń podzespoły maszyn. Prawie cały czas przebywali w fabryce razem, ale jedno drugiego jakby nie zauważało. Do dziś Andrzej nie jest niczym dla Leny. Natomiast Lena dla niego...

– Nie – Andrzej kręcił przecząco głową – nie mam dziewczyny.

– Kiedy zapisali mnie na listę załogi PW-313 – powiedział Pasza – chłopców mało szlag nie trafił z zazdrości. I urządzili mi taki pożegnalny bankiet, jakiego w życiu nie widziałem. Prawdziwy bal. Nasi chłopcy są na medal. Szkoda, że im nie pozwolono patrzeć, jak nasz statek startuje... Żeby tak można było z nimi teraz pogadać albo list do nich napisać, zaraz by jakoś pojaśniało w sercu...

Paweł przeskakiwał z tematu na temat. Czurakow, przy całym braku doświadczenia życiowego, wyczuł w nim zgoła dziecięcą jeszcze naiwność. Z jasnobrażowych oczu Pawła biło zaufanie. Dryblasowaty, kanciasty i w ogóle jakiś nieforemny, mimo wszystko wzbudzał sympatię swoją ufną otwartością.

W ciągu pół godziny Andrzej wysłuchał całej biografii nawigatora, ze wszystkimi jej nieskomplikowanymi szczegółami. Dowiedział się, gdzie Paweł chodził do szkoły, jakich miał przyjaciół, słuchał zwierzeń o wspańskiej dziewczynie Tani i o zamiłowaniu do ultradźwięków.

Porównując z nim siebie Andrzej, ku swemu zdziwieniu, stwierdził, jak bardzo się różnili w swych reakcjach na to, co się wydarzyło. „Zmieniłem się – pomyślał Andrzej – a kiedyś, jak się zdaje, byłem taki sam. I oto już nie jestem taki...”

– Mimo wszystko wierzę w Wadima Siergiejewi-

cza – rzekł nieoczekiwanie Skorupin powracając mimowolnie do dręczącego pytania. – Ma jasny mózg, zobaczysz, znajdzie wyjście z sytuacji... Wykombinuje coś takiego, że tylko rozdziawimy gęby. A że zdarzyła się nam wpadka, to jeszcze ciekawsze... Będzie o czym opowiadać chłopakom.

Do pulpitu wrócili razem. Skorupin westchnął i począł manipulować przy odbiorniku. Czurakow nadśluchiwał odgłosów z kabiny Wadima, jak gdyby pragnął zgadnąć, co Surkow przedsięwziął.

4

Diegtiarew nagle począł wspominać dzieciństwo, odległe, lecz jasne i szczęśliwe. Lubił rajzy turystyczne. Już jako trzynastoletni chłopiec nie lękał się dwudziesto-trzydziestokilometrowych wypraw w głąb lasów w towarzystwie takich jak on sam amatorów spędzania nocy przy ognisku. Poznał dobrze okolice Moskwy, dwakroć przemierzył rejon kirowski, a w piętnastym roku życia wziął udział w trudnej wyprawie na południowy Ural.

Wtedy właśnie zdarzyła mu się dziwna przygoda.

Gdy szli z Karabasza do Kysztymu, Mikołaj pokłócił się z towarzyszami i odłączył się od grupy, aby w pojedynkę pokonać szczyty. Okolice były głucho-tajga. Nocował w lesie. Zrazu nie mógł usnąć. Ciemność wokół ogniska wydawała się szczególnie gęsta, przyczaiły się w niej niewidoczne niebezpieczeństwa.

Nagle, kiedy sen i zmęczenie poczęły zwierać powieki młodego podróżnika, w świetle ogniska pojawiła się malutka, chudziutka dziewczynka. Mikołaj ścierpł. Choć nie wierzył w duchy, skulił się, nie śmiejąc uczy-

nić najmniejszego ruchu. Przypomniały mu się bajki Bazowa, za którymi przepadał. Dziewczynka ukazała się tak nagle, że nie zdziwiłby się, gdyby tak samo niespodziewanie znikła, a na jej miejscu powstał cudowny, kamienny kwiat albo stos błyszczącego złota.

Jednakże dziewczynka ciągle stała na tym samym miejscu, przyciskając do piersi upačkane ziemią rączyny. Miała nie więcej niż sześć lat.

– Ktoś ty? – pokonując strach krzyknął Mikołaj.

– Jestem Katia – odpowiedziała dziewczynka ledwo dosłyszalnie, a w głosie jej zadrgał płacz

– Skąd się tu wzięłaś?

– Zabłądziłam. Ja chcę jeść – zapłakała cicho i bezradnie.

Mikołaj zbliżył się do niej. Odpowiadając na pytania dziewczynka nie przestawała pochlipywać. Z trudem udało mu się połapać w tym, co mówiła. Katia mieszkała w jakimś nowym osiedlu drwali i nie pamiętała, jak się ono nazywa. Rankiem rodzice poszli do pracy, a jej zachciało się jagód. Zagłębiła się w las i nie mogła znaleźć drogi powrotnej.

– Nie jadłaś nic przez cały dzień? – zatrwożył się Mikołaj.

– Tylko jagody.

Nakarmił Katię, owinał swoim kocem, kołysał, uspokajał, aż wreszcie dziewczynka usnęła. Była tak osłabiona, że następnego dnia musiał ją nieść na rękach. Nigdzie w pobliżu nie było żadnego osiedla. Dopiero w południe zmęczony chłopiec dotarł do leśniczówki. Zadzwonili do rejonu. Stamtąd przyszła odpowiedź: dziewczynka mieszka w osiedlu Ariar, to znaczy oddaliła się od domu o ponad dwadzieścia kilometrów.

...Minęło dwanaście lat. Diegtiarew, już jako młody

geolog-poszukiwacz, przybył z ekipą w okolice Karabasza. Przypomnił sobie dziewczynkę znaną wśród lasów. Jak teraz wygląda? Czy pamięta tamtą przygodę?

Ludzie pomogli mu ją odszukać. Katia pracowała w fabryce samochodów w Miassie. Zamiast chudej dziewczynki Diegtiarew ujrzał wspaniałą pannę i od razu stracił głowę.

Po upływie roku została jego żoną.

Teraz Katia jest sama. Oczywiście nie pierwszy raz pozostawała w domu i oczekiwała jego powrotu z ekspedycji. Nigdy jednak nie myśleli o niebezpieczeństwach i o tym, że kiedyś Mikołaj może nie wrócić.

Ach, te dawne wyprawy poprzez leśne chaszczki... Diegtiarew ze świstem wciągnął nosem powietrze. Wydało mu się, że w kabinie zapachniał dym z ogniska. Napodróżował się niemało. Pamir, Ural, Kamczatka, wspólne z indyjskimi geologami poszukiwania w Himalajach, wyjazdy do Egiptu, Chin, Tunisu...

Mimo to zawsze pragnął nowych, nadzwyczajnych, niepowtarzalnych odkryć. Skorupa ziemska była zbadana znacznie wcześniej, ale on pierwszy z geologów dosiadł podziemnej łodzi. Przyszedł czas, kiedy badacze mogli poznać głębie ziemskie, nie tylko poprzez teoretyczne spekulacje, lecz osobiście, uzbrojeni w precyzyjną i skomplikowaną aparaturę.

Był więc Diegtiarew pionierem ekspedycji podziemnych.

I oto, jak się zdaje, przyszedł kres. Nie potrafił okiełznać młodzieńczej niecierpliwości Wadima, dał dowód braku opanowania i postąpił wbrew logice. Nie wytrzymał... Och! I oto znalazł się w sytuacji, z której prawdopodobnie nie ma wyjścia. Znikąd pomocy.

Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości: trzeba pracować.

Musi pracować. Ale łatwo powiedzieć — musi. Można zmusić do pracy same tylko ręce, ale jakże się tu skoncentrować, myśleć, analizować, gdy napływają do głowy natrętne myśli o zagładzie

— *Dobrze, możesz nie pracować — mówił do siebie Diegtiarew. — Możesz oczekiwać śmierci w hamaku, ale jak wytrzymasz owe dziesięć miesięcy, czyli trzysta dni, czyli siedem tysięcy dwieście godzin, czyli czterysta dwadzieścia dwa... nie, czterysta trzydzieści dwa tysiące minut?*

Diegtiarew z pogardą wyduł wargi. Cokolwiek by się stało, kiśnięcie w pościeli, kiedy ciało jest w pełni sił, a głowa pełna idei... Nie, banialuki! Na taki luksus go nie stać. Nie można zaprzeczyć, że na myśl o śmierci robi mu się zimno. Lecz zaledwie usiadł w fotelu, poczuł ulgę. Jak gdyby znalazł się na powrót wśród tych, z którymi niejedną rok spędził w laboratoriach instytutu badawczego akademii.

— *Przyjaciele moi — Diegtiarew zwrócił się do wyimaginowanych współpracowników — dobijmy zwierza. Leży przed nami niezwykła zdobycz: trzecia geosfera, świat materii plastycznej plus promieniowanie Bironta.*

Nikt go nie podsłuchiwał. Geolog mógł rozmawiać ze sobą dowoli. W tej rozmowie znajdowały ujście dręczące go wątpliwości. Tuż przed jego oczyma znajduje się coś takiego, ku czemu biegną niecierpliwe myśli uczonych, którzy poświęcili swoje życie badaniu tych głębi. Być jedynym świadkiem przemiany materii, móc przeprowadzić najcenniejsze badania i stanąć w pół drogi?

To się przecież równa zdradzie, sprzeniewierzeniu się nauce!

5

Godziny wlokły się nieskończonym pasmem.

Diegtiarew pracował do ostatecznego wyczerpania. Po czternastu godzinach zasnął tak nagle, jakby utracił przytomność.

Obudziwszy się zobaczył obok siebie Bironta. Fizyk mrugał oczyma i miał minę winowajcy.

– Już więcej nie mogę – zaczął mówić szeptem. – Ja nie mogę tak nic nie robić. I pracować także nie mogę.

– Będziemy systematycznie przekazywać na powierzchnię rezultaty naszych obserwacji – powiedział Diegtiarew.

– Myślicie, że nas usłyszą?

– Może nie wszystko, ale usłyszą. Mamy tego dowody, choćby to zarządzenie z góry...

Biront nieśmiało dotknął palcami przełączników. Trwał tak chwilę, potem pokiwał głową ze skruchą.

– Czuję się do tego zupełnie niezdolny – spojrzał błagalnie na Diegtiarewa. – Jestem tylko teoretykiem. Gdybyście wiedzieli, jakie mam biurko, miękki fotel... Okno w moim gabinecie takie ogromne... Lubilem pracować o wschodzie słońca. Wtedy jest ono niezbyt jaskrawe, ale daje dużo światła. Wszyscy śpią jeszcze. Tylko gołębie zlatują do okna. W naszym domu jest tyle gołębi...

– Tutaj wszyscy jesteśmy zwykłymi ludźmi, Walentynie Makarewiczu – powiedział Diegtiarew, jak umiał najłagodniej. – Wolno nam się zachwycać i robić pomyłki, ale musimy spełnić, co do nas należy. Waszym obowiązkiem jest wyjaśnienie problemu promieniowania. Na górze oczekują od was dokładnych sprawozdań.

– Tak, tak, oczywiście.

– Tu-tu, ra-ra, ru-ru, ta-ta! – huknął Diegtiarew,

choć w głębi serca żal mu było Bironta.

Obaj uczeni byli ludźmi spokojnymi i nie marzyli o bohaterskich czynach. Żyli na łonie rodziny, przywykli do stałego kręgu przyjaciół. Nawet Diegtiaw, który po powrocie z jednej ekspedycji już się przygotowywał do następnej, tęsknił za domem. Z biegiem lat, zamiast się przyzwyczaić do częstej rozłąki, znosił ją coraz trudniej.

– Macie także dzieci – zwrócił się do Bironta.

– Tak, syna, i córkę.

– Ja mam więcej. A wnucząt ile! I wiecie, co sobie pomyślałem? Dzieci są najsurowszymi sędziami naszych postępów. Dzieci zawsze pragną mieć znakomitych rodziców. No więc trudno, nie wydostaniemy się stąd.

Biront drgnął i szeroko rozwarł oczy. Geolog udał, że tego nie zauważył.

– Przypuśćmy. Nasza zguba jest konsekwencją wszystkich naszych błędów. A jeżeli się wyratujemy? Czy potrafimy ukryć, żeśmy drżeli ze strachu jak zające?

– Mnie się zdaje... że... macie zupełną... rację.

– Czemu nie? Jakże można siedzieć z założonymi rękami, gdy sam los postawił nas wobec takich skarbów przyrody? Spójrzcie tylko, co za materiał do naukowego opracowania! Iluż badaczy pragnęłoby się znaleźć na naszym miejscu, byle zobaczyć to, cośmy obaj tu widzieli?

– Tak, tak, macie... oczywiście... rację – mruknął Biront i jego ręce bezwiednie wyciągnęły się w kierunku przełączników. – Macie rację. A jednak to, co się nam przytrafiło, jest straszne. Głowa mi pęka na kawałki. Nie jestem stworzony na bohatera. Nie wytrzy-

muje cierpień fizycznych. Ja po prostu zwariuję.

— Bzdura! — rąbnął Diegtiarew. — Nasze głowy są zahartowane i jeżeli wytrzymały pięćdziesiąt lat w walce z przyrodą, teraz też nic im się nie stanie.

Znowu huknął po swoim i zagłębił się w obliczeniach. Biront obserwował go uważnie, śledził ruchy jego rąk, wyraz twarzy. Opanowanie Diegtiarewa wproważyło go w zdumienie.

6

Leniwo nawijały się taśmy na bębny przyrządów samopiszących i sucho trzaskały przełączniki. Każdy z instrumentów, niby otwarta księga, opowiadał zdumiewające historie. Ciśnienie materii osiągnęło niebywale rozmiary, a mimo to jej skład chemiczny pozostał niezmienny. W stanie swobodnym pozostawał jedynie krzem. Inne składniki mocno trzymały się tlenu tworząc z nim najprostsze bezwodne tlenki.

Ale gdzie podziewała się woda? Woda, która stanowiła nieodłączny element sulfatów, brunatnych magnezytów, węglanów. Ani wodoru, ani tlenu w stanie wolnym Diegtiarew nie zauważył.

Wtedy rozpoczął poszukiwania wody.

Udało mu się ją odkryć przy pomocy promieniujących analizatorów elektronowych. Wokół była masa wody, znacznie więcej niż we wszystkich oceanach ziemskich razem wziętych. Ale w jakiej postaci fizycznej?

Obserwacje dały interesujące wyniki.

Woda pod działaniem ciśnienia miała inny ciężar właściwy, bliski ciężarowi gatunkowemu cynku. Diegtiarew miał możliwość obserwowania twardej, rozpalonej do trzech tysięcy stopni masy, której nie można

było nazwać inaczej niż wodą.

Wziąwszy arkusik wyliczeń, na którym mózg elektonowy wystukał kolumnienki cyfr, Diegtiarew pośpiesznie pobiegł na górę.

Skorupin, Czurakow i Surkow siedzieli przy stole. Przed chwilą otworzyli puszki z podgrzanym koncentratem. Żaden z nich nie wiedział, czy to jest śniadanie, kolacja, czy obiad. Jedli z taką miną, jak człowiek ciężko chory, który przyjmuje potrzebne, ale straszliwie gorzkie mikstury.

Diegtiarew wyciągnął przed siebie arkusik w kierunku Surkowa i zasłoniwszy liczbę końcową, zapytał:

– Co to jest według was?
– Oczywiście cynk – pobieźnie odczytawszy kolumnienkę cyfr odpowiedział Wadim.

– Woda! – oznajmił Diegtiarew odejmując rękę z ostatniego rzędu cyfr.

Nie spuszczać oczu z kartki, Wadim wstał. Machinalnie przygładził dłonią włosy, siadł i znowu wstał.

– A przecież posuwaliśmy się ze stałą szybkością – myślał głośno. – Jak wtedy przebiegało rozbijanie materii? Cała mechanika wzajemnego oddziaływania swidra i tej masy staje się niezrozumiała.

W jego wyobraźni począł się zarysowywać nowy model bora. Jeżeli szybkość posuwania się statku, bez względu na rosnącą twardość bazaltu, pozostawała niezmienną, można z pewnym prawdopodobieństwem powiedzieć, że boi nie wykorzystuje w całości przekazywanej mu energii.

Ażeby sprawdzić swoje przypuszczenia, Wadim zszedł do kabiny dowodzenia, usiadł w fotelu i nacisnął guzik. Bor począł się obracać, automaty włączyły silnik. Statek ruszył.

Diegtiarew, który już otworzył usta, aby zacząć dyktowanie Skorupinowi komunikatu, zamarł w miejscu. Znieruchomieli także Biront i Czurakow. Lecz Wadim wyciągnął już rękę do drugiego guzika i statek stanął. Paweł przełknął zatrzymany w ustach kęs. Diegtiarew patrzył ponad głowę nawigatora, a kiedy oczy jego spotkały się ze spojrzeniem Pawła, Skorupin zrozumiał, że geologowi zaświtała jakaś nowa, nadzwyczajna myśl.

– Poczekaj no chwilkę – Diegtiarew potarł dłonią czoło.

Kilka sekund pracy bora wystarczyło, aby potwierdzić trafność przypuszczenia. Mózg elektronowy wyrzucił mu kartkę z wyliczeniem, że siła prądu zużytego na rozbicie materii mogła być mniejsza o osiem procent!

„No i cóż? – zadał sobie pytanie Wadim. – Czyż teraz nie wszystko jedno?”

Ale pozostał przy pulpicie i otworzył dziennik.

„Skazany na śmierć poszukuje nowego rozwiązania konstrukcji bora” – uśmiechnął się Wadim.

7

Diegtiarew i Biront pochłonięci byli obserwacjami. Nie zapomnieli nawet przez chwilę o swoim losie, ale kontynuowali pracę z uporem bliskim szaleństwa. Każda godzina przynosiła nowe, nieoczekiwane odkrycia.

Elektronowy chronometr odmierzył właśnie dwudziestą dobę od dnia startu.

Diegtiarew wspiął się do kabiny nawigatora. Ten, nie czekając na polecenie, włączył nadajnik. Paweł przyzwyczaił się do częstych odwiedzin geologa. Na jego żądanie

wysyłał komunikat po komunikacie. Słał na górę szczegółowe informacje o stanie statku, o dokonanych badaniach, przekazywał różne hipotezy, obliczenia i rady na przyszłość.

Skończywszy dyktowanie Diegtiarew połączył się z Wadimem.

- Wadimie Siergiejewiczu, jesteś bardzo zajęty?
- Jeżeli to konieczne, mogę przerwać.
- Chciałbym zwołać małą naradę. Zaraz do ciebie schodzimy.

W ciągu ostatnich godzin kierownictwo statku przeszło niepostrzeżenie w ręce geologa. Za ogólną milcząca zgodą ustalił rozkład dnia, a dwa razy w ciągu doby zbierał ekipę, żeby „pogadać o błahostkach”, jak się wyrażał. Optymizm geologa udzielił się z wolna wszystkim.

Diegtiarew mówił bez ustanku i pierwszy zaczynał się śmiać z byle dowcipu. I rzecz dziwna – tragizm położenia stawał się mniej dotkliwy. Twarze załogi rozjaśniały się na godzinę, dwie, przyszłość przestawała być taka groźna.

Gdy się rozmowa kończyła, wszyscy powracali do swoich zajęć.

Diegtiarew rozumiał, że bezruch i egzystencja bez celu to najstraszniejsza rzecz. Trzeba olbrzymiego wysiłku, żeby pokonać apatię.

Należało coś wymyślić, wstrząsnąć ludźmi, a także sobą, jeżeli już dobrowolnie wziął na siebie odpowiedzialność za losy członków ekipy.

Pozostawszy w towarzystwie Bironta Mikołaj rozpoczął przedziwne opowieści. Wówczas twarz atomisty stawała się trupioblada, a rozszerzone oczy nieruchomiały. Po każdym takim opowiadaniu Biront nie potra-

fił już zająć się obserwacjami. Siedział roztargniony spoglądając na Diegtiarewa to pytająco, to z trwogą.

W ten sposób spędził prawie całą dobę bezsennie. Wreszcie wykrztusił:

– Niech będzie, jak chcecie, zgadzam się.

Do kabiny Surkowa zeszli najpierw geolog i fizyk, potem, szybko postukując o szczeble, zbiegł Skorupin. Ostatni zjawił się Andrzej Czurakow.

– Co nam chcieliście powiedzieć? – zapytał Wadim.

– Powiedzieć? Nic. – Diegtiarew wahał się nie śmiejąc zacząć tej rozmowy. Milczał, zbierał myśli, spoglądał to na tego, to na owego. Biront już powiedział swoje „tak”. Co powiedzą inni? – Mam propozycję co do naszych dalszych losów. Obydwaj z Walentynem Makarewiczem przemyśleliśmy wszystko i doszliśmy do wniosku...

Diegtiarew znowu uczynił pauzę i zakaszlał w dłoń.

Wadim z ciekawością spojrział na Bironta. Do jakiegoż to wniosku doszli obaj?

Twarz Bironta była jak skamieniała, patrzył w przestrzeń nie widzącymi oczami. Andrzej przechwycił spojrzenie Wadima i uśmiechnął się. Biront, ogolony dokładnie jak nigdy, wyglądał nadzwyczaj elegancko i zdecydowanie. Co też on wykombinował wspólnie z Diegtiarewem? Czyżby znaleźli sposób wydostania się na powierzchnię?

– A więc tak – Diegtiarew położył pięści na stole. – Wykonaliśmy olbrzymią robotę, zebraliśmy mnóstwo cennego materiału. Zarówno nasze, czysto naukowe badania, jak i twoje, Wadimie Siergiejewiczu, projekty zmian konstrukcyjnych pomogą zapewne tym, którzy ruszą naszym śladem.

Wadim przechylił głowę.

– A gdyby tak bez lirycznych wstępów, Mikołaju Mikołajewiczu? – powiedział.

– Więc powiem krótko: nie wykorzystujemy wszystkich naszych możliwości. Przed nami prawdziwy ocean niepoznanego. Damy więc krajowi wielokrotnie więcej cennych informacji, jeżeli...

– Jeżeli?

– Jeżeli pokonamy naszą martwość.

– Macie na myśli PW-313?

– Zgadłeś, Wadimie.

– Proponujecie więc... – głos Wadima drgnął. Oparł się o fotel, nie wierząc własnym uszom.

Geolog skinął głową potwierdzająco.

– Na dół? – sapnął Andrzej.

– Na dół – powiedział Diegtiarew.

– To jest... to jest niepoważne, Mikołaju Mikołajewiczu – Wadim zamienił spojrzenie z Andrzejem i przyjrzał się uważnie Birontowi. To jest Szaleństwo.

– Szaleństwo już zostało popełnione – Biront westchnął. – Nasz los jest przesądzony. Rzecz w tym, żeby oddać przysługę ludzkości.

– O to właśnie chodzi – przytaknął Diegtiarew.

Rozwarł pięści, spojrzał na dłonie, poruszył palcami.

– Pozostaje tylko nacisnąć... to. – Wyciągnął rękę w stronę czerwonego guziczka.

– Stój! – krzyknął Wadim. – Co wy robicie?

– Przepraszam... To już, oczywiście, nie do mnie należy. Może więc tak ty sam, Wadimie Siergiejewiczu, tego... naciśniesz?

– Zaskoczyliście nas... – Czurakow wstał i wsunął rękę w kieszenie kombinezonu. – znowu w dół. Taaak... Mądrze mówicie, och, jak mądrze...

Patrzył na pulpit i już jakby słyszał łoskot pracującego silnika. Widział przebudzone igiełki instrumentów, radosne migotanie lampek sygnałowych.

Oczywiście trochę straszno. Co innego czekać śmierci, która nie wiadomo jeszcze kiedy raczy przyjść, a co innego wyjść na jej spotkanie.

Andrzej wzruszył ramionami, ale nie były to ramiona zbyt krzepkie. Na spotkanie zagłady... Walka nieunikniona.

– Wadim – powiedział mechanik – rąbiemy, co?

Wadim zbladł i pokręcił przecząco głową.

– Ja nie mogę – powiedział. – Macie rację. Tak trzeba. Ale, słowo honoru, ja nie mogę.

Diegtiarew wstał i ruchem głowy wskazał Czurakowowi miejsce sternika. Andrzej powoli zbliżył się do fotela. Cały czas patrzył na Wadima, ten zaś śledził każdy ruch towarzysza.

Andrzej usiadł. Poczul w sobie siłę tak potężną, że było jej za ciasno w piersi. Poprowadzi statek tam... Ogarnął go strach.

Diegtiarew objął Pawia za ramiona.

– Przebacz, Pawełku – powiedział – jeszcześmy nie zapytali cię o zgodę.

Skorupin uśmiechnął się nieznacznie i spojrzał na nogi.

– Jeśli trzeba – powiedział cicho – będę z wami.

– Start!

Komenda zabrzmiała sucho jak wystrzał. Oczy geologa były surowe, chłodne i nieubłagane.

Mechanik nacisnął guzik. Wysoko nad głowami zadudnił silnik, a tuż pod stopami zawył termojądrowy bor.

Rejs przebiegał spokojnie, o wiele spokojniej niż

w czasie pierwszych godzin po starcie. Lecz z jakim napięciem, z jaką uwagą wpatrywali się teraz w instrumenty! Czy nie czają się w głębiach nowe, nieoczekiwane niebezpieczeństwa? Czy statek ma dość siły, aby stoczyć z nimi walkę?

Ekran lokatora jak by pokrywał gęstniejący mrok. Na ciemnobłękitnym polu drgały fioletowe cienie.

Przebyli sześćset kilometrów, sześćset pięćdziesiąt, siedemset. Ciśnienie przekroczyło czternaście milionów atmosfer, natomiast temperatura pozostawała prawie bez zmian.

Biront śpieszył się i ten pośpiech nie pozwalał mu zachować spokoju. Dawniej zdecydowanie walczył z pośpiechem, uważał niecierpliwość za główną przyczynę wszystkich omyłek i fałszywych uogólnień. Ale teraz popędzała go nieustannie rosnąca obfitość przedmiotów obserwacji: promieniowanie, przemiana cząstek atomowych, deformacja osłonek elektronów, koegzystencja temperatur i ciśnień.

Siła promieniowania osiągnęła takie natężenie, że fizyk raz po raz zerkał na dozymetry: czy radiacja nie przebijie ochronnych warstw korpusu?

Na razie wszystko było w świetnym stanie, izolacja zapewniała bezpieczeństwo, chroniąc ekipę przed morderczym promieniowaniem, które zresztą małało nieco na skutek oddziaływania pola zabezpieczającego.

Życie w statku przybrało nową, bardziej surową formę. Ludzie pracowali, nie zapominając na chwilę o tym, co im groziło. Spali czujnie. Ratowała ich świadomość ruchu. Jedli nie czując smaku potraw. Odgłosy silnika stopiły się z rytmem serc. Załoga i statek stanowili jedną całość.

Do czego człowiek nie przywyknie!

Kiedy minęły następne cztery doby i nic się statkowi nie stało, poczęli odzyskiwać równowagę ducha i spokojniej patrzeć w przyszłość. Tylko ukradkiem spojrzawszy na głębinomierz – wzdychali. Statek unosił ich coraz dalej od rodzin, od słońca, od kipiącego życia Ziemi. Wobec ogromu rozpalonej lawy rozprzestrzeniającej się nad głowami, wyobraźnia ich przestała już reagować.

Diegtiarew pragnął tylko jednego: usłyszeć, że wysłane na górę komunikaty zostały przyjęte. Skorupin nie opuszczał aparatury nadawczo-odbiorczej. Lecz w głośniku włączonego odbiornika dawał się słyszeć jedynie monotony szelest. Mimo natężenia całej uwagi, Paweł nie zdołał w nim wyłowić nawet dalekiego echa ludzkiego głosu.

Najlepiej czuł się Andrzej. Jakby odżył. Cały czas sprawdzał aparaturę automatyki, porównywał wskazania instrumentów z obliczeniami. Czasem pragnął znaleźć jakiś poważny defekt, który by go pochłoniął bez reszty na dłuższy czas.

Gdy był zmęczony, schodził do kabiny naukowców, siadał na podłodze w pobliżu fotela Diegtiarewa i przysłuchiwał się jego rozmowie z fizykiem-atomistą. W ciągu kilku dni dowiedział się więcej o budowie Ziemi i atomu niż w ciągu całego okresu nauki w instytucie.

Młody mechanik poznał takie, dawno znane nauce prawdy, jak możliwość zamiany protonu w neutron i na odwrót. Ze zdumieniem dowiedział się od Bironta, że ani elektronów, ani pozytronów, ani mezonów nie ma w jądrze i że w czasie rozbijania jądra tworzą się one, żeby tak rzec, w locie.

– Z czego?

– Z tego, co w podręcznikach nazywa się energią

rozpadu.

Najbardziej zdumiewająca ze wszystkiego, co usłyszał, była teoria ochładzania i teoria istnienia antymaterii, to jest materii o jądrach naładowanych ujemnie i elektronach naładowanych dodatnio.

– Czy i wy uważacie, że taka materia może w przyrodzie istnieć? – zapytał Andrzej przypomniawszy sobie niekończące się dyskusje uczonych na ten temat.

– Wkrótce otrzymamy ją w laboratoriach – odpowiedział z przekonaniem Biront – na razie mamy jej więcej niż trzeba we wszechświacie, być może nawet pod naszymi stopami – dodał po namyśle.

– Czy my ulegniemy unicestwieniu?

– Ale to jest proces błyskawiczny, natychmiastowy...

– To znaczy bezbolesny – wtrącił Diegtiarew.

Geolog począł w obecności Czurakowa snuć marzenia. Opowiadał, że przyjdzie czas, kiedy wyruszą ku jądro Ziemi jednocześnie setki podziemnych statków. Wyprawa ta pozwoli wyjaśnić zagadnienie kierunków i siły pionowych ruchów bazaltu. Ludzie ostatecznie odkryją tajemnicę budowy globu ziemskiego, a to może pomóc w rozwiązaniu problemu pochodzenia systemu słonecznego.

– Na mnie w tym rejsie przypadła tylko mała cząstka – przyznał Diegtiarew. – Bo czyż jesteśmy w stanie, obaj z Walentynem Makarewiczem, objąć taką masę zjawisk?

– Nie do pomyślenia. Absolutnie nie do pomyślenia! – zgodził się Biront.

Mechanik powstrzymał westchnienie rozczarowania. Czyż warto dla tej odrobiny ryzykować życie? Ale przypatrzył się geologowi, spojrział na skupionego ato-

mistę i powiedział sobie – warto!

*

Czwarty tydzień podróży dobiegał końca. Czwarty tydzień! A przecież próba statku obliczana była ledwie na dwie doby.

Na górze zaczął się wrzesień. Jak wygląda ulica? Leje deszcz, zacinający, jesienny, a może trwa słoneczna pogoda i powietrze przesiąknięte jest zapachem opadających liści?

Każdy z tej pięcioosobowej załogi marzył – do szaleństwa, do rozpacz – o przestrzeni pod wysokim niebem, o deszczu, o gwiazdach, ale los nieubłaganie pchał ich na dół, w ciasne objęcia roztopionej, sprasowanej do stanu metalicznego materii.

Nic się nie zmieniło także podczas szóstej i siódmej doby nowego rejsu. Wnętrze Ziemi, jakby się ulitowało nad losem tych ludzi i rozstąpiło się otwierając

Pewnego razu Diegtiarew w czasie obiadu zamarł nagle z dłonią podniesioną do ust; cisnął łyżkę na stół i uderzył się obiema rękami po łysinie.

– Ach, zangezur-zanzibar – powiedział radośnie – że też, Walentyńie Makarewiczu, od razu tego nie pomysleliśmy?

– Czego mianowicie?

– Czemu nie miałyby się zdarzyć, że się naprawdę dostaniemy do środka Ziemi?

– Przypuśćmy. A co dalej?

Geolog trzepnął się po kolanach i wybuchnął śmiechem. Śmiał się głośno, zaraźliwie. Spojrzawszy na skupione twarze towarzyszy niedoli, którzy także przezwali jedzenie, chwycił się za brzuch.

– Przecież Ziemia jest okrągła, do czorta! – wrzasnął. – Przecież nie musimy zawracać. Kapujecie, chudopachołki nieszczęsne, czy nie kapujecie? Walaj na przód i basta!

Wszyscy spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Biront zakrztusił się i zakaszał. Czurakow walnął go w plecy. Otwarte puszki z koncentratami owoców – ulubiona potrawa ekipy – pozostały nietknięte. Iskierka nadziei od razu rozgorzała płomieniem. Wadimowi poczęły drżeć wargi. Skorupin uśmiechał się szczęśliwym, dziecięcym uśmiechem. Teraz rejs w nieznaną obiecywał życie.

– Wszystko zależy od czasu – Diegtiarew budził zapał w swoich towarzyszach. – Jeśli szybkość statku pozostanie taka sama, nie trzeba nam nawet roku, żeby znaleźć się po drugiej stronie kuli ziemskiej.

– Rok, drobiazg – krzyknął Andrzej. – Ale jaki rok!

– Ja zgadzam się na dwa – oświadczył Biront, rozpaczliwie gestykułując. – W tym czasie ukończę moją teorię ochładzania. Przedłożę akademii metodę praktycznego jej wykorzystania...

– Jak to w życiu dziwnie bywa – Skorupin nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. – Rzeczy najprostszych nigdy od razu nie wymyślisz. Czemu?

Twarz Wadima rozjaśniła się także. Znowu stał się owym dawnym Wadimem, jakiego Andrzej spotykał zwykle w biurze konstrukcyjnym. Oczy odzyskały blask, ruchy nabrały żywości.

9

Diegtiarewowi śniło się, że idzie ulicami Moskwy, przez Sadowe Kolco, idzie już od dawna, tak że się już

odrobinę zmęczył. Zapalają się elektryczne światła i różnokolorowe reklamy. Ulicami sunie masa samochodów, na chodnikach tłok.

Wiatr owiewa twarz Mikołaja. Wiatr! Jakie to wspaniałe! Jak się oddycha! A ileż znajomych zapachów: woń wilgotnego asfaltu, aromatyczny dymek papierosa, zapach sklepów, zapach perfum bijący ze strojów kobiet...

Oglądają się za nim, pozdrawiają go znajomi i nieznajomi. Znają go wszyscy mieszkańcy miasta – dopiero wrócił z podróży do środka Ziemi. Nie ma co mówić – znakomitość!

I Mikołaj szedł, szedł, nie zatrzymując się, uradowany, że wreszcie może iść, dokąd chce. Dokoła przestrzeń, ulica bez końca. Jakież to piękne po wyjściu z ciasnych kabin podziemnego statku! Ale... dlaczego nie idzie do Kati?

Mikołaj zawraca, prawie biegnie, potrąca przechodniów. Ktoś go chwyta za ramię, przytrzymuje. Diegtiarew pragnie się wyrwać i wtedy się budzi.

Ktoś mu szepcze nad uchem.

– Obudźcie że się, Mikołaju Mikołajewiczu!

– Co takiego?

– Ciszej, ciszej.

Geolog z trudem i bez entuzjazmu wyzwała się spod uroku snu. Do diabła, jakże dokładnie widział Sadowe Koleo! Jeszcze chwila i znalazłby się w swoim domu, wszedłby po schodach do mieszkania i zobaczył Katię.

Biront szarpał go za ramię.

– Stało się co?

– Chodźcie szybko do pulpitu.

Geolog przywykł już do tego, że byle głupstwo wprawia Bironta w stan podniecenia. Lecz przypatrzwszy

się twarzy fizyka, jego rudej potarganej czuprynie zrozumiał, że tym razem przyczyna wzburzenia musiała być szczególna. Diegtiarew zeskoczył na podłogę, przeciągnął się aż mu zatrzeszczały kości, skulił się.

– Zdaje się, że jest mi dziwnie zimno?

– Chodźmy!

Biront pociągnął go za sobą. Diegtiarew zajął miejsce w fotelu i spojrzawszy na atomistę przymrużył jedno oko.

– Aha – podniósł palec – przypomniało mi się – wykapany z was Paganini. Tylko wy jesteście rudy, a on, zdaje się, był brunetem.

– Zostawcie w spokoju Paganiniego! Spójrzcie no lepiej na instrumenty.

– Skąd tu tak wieje?

Geolog wyraźnie poczuł za swoimi plecami podmuch zimnego strumienia powietrza. To już, jak się zdaje, nie było senną uludą.

– Weszliśmy w strefę elektronów.

– Co? W czwartą geosferę?

Wskazówka głębinomierza przekroczyła pokaźną liczbę „1200”. Ciśnienie zbliżyło się do osiemdziesięciu milionów atmosfer.

– Ach, zangezur-zanzibar – zamruczał Diegtiarew – w ten sposób rzeczywiście można przespać wszystko na świecie. A wy, jak widać, czuwaliście?

– Nie. Obudził mnie chłód. Zmarzłem pod swoim kocem.

– Pewnie się coś zepsuło w systemie klimatyzacji.

– Nie sędzę.

– Dlaczego?

– Dlatego że moja teoria ochładzania daje w tym wypadku najprostsze wytłumaczenie. Patrzcie. Statek

porusza się w otoczeniu szczególnie ścisłego strumienia mezonów i pozytronów. Ciśnienie dawno już rozprawiło się z molekułami, jak przedtem zniszczyło wasze ultrakryształy.

– Dlaczego moje?

– Nie przerywajcie, proszę. Właśnie wasze kryształy. Teraz natomiast deformuje ono osłonki elektronowe, wprowadza materię w jej piąty stan. Pierwiastki chemiczne tracą wartościowość, pogrążają się w inercji.

– No, no, rozumiem, drogi Walentynie Makarewiczu. Elektrony powinny przeskakiwać z zewnętrznych orbit na wewnętrzne i niektóre znajdują się nagle na orbicie – K, najbliższej jądra. Wtedy możliwe jest wychwytywanie elektronów przez jądro.

– Jesteście domyślni.

– Ale, pozwólcie sobie powiedzieć, temu wychwytowi powinno towarzyszyć dodatkowe wydzielanie energii.

– To się rozumie, ale jakiej energii?

– Przede wszystkim energii ciepła.

Zauważcie: w określonych warunkach, kiedy atom może się rozlecieć w kawałki. Tutaj wszystkie przejawy wychwytywania – K dokonują się w krzepkim pancerzu.

Instrumenty potwierdzały prawdziwość słów Birona. Rozpadły się najprostsze związki chemiczne. Statek otaczała materia składająca się z wolnych elementów chemicznych w stanie zatomizowanym.

Temperatura zewnętrzna pozostała niezmienną. Diegtiarew w skupieniu poruszał brwiami. Temperatura powinna rosnać – tego wymagała logika zachodzących zjawisk. O ile Diegtiarewowi było wiadomo, K – wychwyt elektronów przez jądro powoduje roz-

pad jądra przy równoczesnym wyzwaniu energii ciepła. W co się więc zamienia energia rozpadu, jeżeli nie w ciepło?

– Nic nie rozumiem, Walentynie Makarewiczu – otwarcie przyznał się geolog.

– Bo gdyby wszystko było zrozumiałe, nie musiałbym wymyślać teorii ochładzania – Biront wyprostował się z godnością i Diegtiarew zrozumiał, że fizyk rozwiązał już całkowicie zagadkę. – Sprawa przedstawia się tak: ludzie przywykli sprowadzać wszystkie odmiany energii do dodatniego ekwiwalentu ciepła. Wygodna to, namacalna miara. Ale czymże jest ciepło? Jest to ruch cząstek materialnych. Ale jakich? Posiadane przez nas termometry, nawet półprzewodnikowe, reagują na ruch molekuł, atomów i elektronów. Jakąż więc temperaturę wskaże termometr, jeżeli ustanie ruch molekuł i atomów?

– Absolutne zero. Minus dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie.

– A jeżeli zatrzymać także elektrony?

Diegtiarew wzruszył ramionami. Nigdy się nie zastanawiał nad tego rodzaju problemami.

– Jedno z dwojga – Biront odpowiedział sam na swoje pytanie – albo dokona się wybuch termojądrowy z wydzielaniem ciepła, albo, jeśli materia nie ma możliwości rozszerzania się, temperatura spadnie znacznie poniżej absolutnego zera, wydzielanie zaś energii dokona się w jakiejś bliżej nie znanej nam formie.

– W jakiej u licha?

– Myślę, że w formie tego właśnie promieniowania, które obserwujemy.

Biront spoglądał z pobłażaniem na zamyślnego Diegtiarewa. Czuł się jak zwycięzca. Fakty niezbitcie

potwierdzały teorię ochładzania.

- Jakiego rodzaju jest to wasze promieniowanie?
- Na razie nie wiem. W każdym razie jest to coś pośredniego między polem magnetycznym a polem grawitacji. Najbardziej jednak zastanawia mnie kierunkowość.
- Nie sądzicie, że wychwytywanie elektronów przez jądro może doprowadzić do spadku temperatury dodatniej?
- zaniepokoił się Diegtiarew.
- Wszystko się może zdarzyć. Czujecie, jak się oziębiło? Otóż to właśnie.

Biront triumfująco zatarł ręce.

- Rzeczywiście – geolog skulił się, obejrzał dokoła, jakby miał nadzieję znaleźć miejsce, skąd wieje. – Zachodzi tu coś mistycznego, z jednej strony materia pozostaje gorąca, a z drugiej jest już zimna. W ten sposób można szybciej dojść niż w czasie wibracji.

Nie odważyli się budzić reszty członków ekipy. Zająli miejsca w fotelach i zagłębili się w badaniach.

10

Na wszelki wypadek Wadim i Andrzej sprawdzili dokładnie system klimatyzacji i po raz już nie wiadomo który upewnili się co do jej znakomitego działania.

Dla ochładzania powłoki statku wykorzystano właściwości łączy półprzewodnikowych: nagrzewały się z jednej strony, to ochładzały z drugiej, kiedy przez nie przepływał prąd elektryczny. Zewnętrzna powłoka grała rolę tego końca łączy, który powinien był się ochładzać.

System przekaźników pozwalał izolować korpus od

działania żaru o dowolnej intensywności i utrzymywał we wnętrzu określoną temperaturę powietrza.

Wadim zaczął pokpiwać z Bironta i jego teorii ochładzania. To bowiem, co dla Walentyna Makarewicza stanowiło niezbitą prawdę, zdawało się przeczyć zdrowemu rozsądkowi. Termometry wyraźnie wskazywały wystarczająco wysoką temperaturę wnętrza Ziemi. Skądże więc w tych warunkach mróz?

Lecz w miarę jak w kabinach stawało się coraz chłodniej, konstruktor tracił ochotę do prześmiewek. Mimo wszystko coś było nie w porządku. Spadek temperatury w kabinach mógł zachodzić jedynie w dwóch przypadkach: albo w czasie awarii systemu chłodzącego (co już odpada), albo gdy za ścianami korpusu panuje temperatura ujemna do siedemdziesięciu stopni i niżej.

Fakty zdawały się potwierdzać słowa Bironta.

– Niech więc będzie ochładzanie – powiedział Wadim. – Nie stanowi to dla nas niebezpieczeństwa. Trzeba będzie tylko zmienić ustawienie przekaźników.

I pomyślał: „Trzeba natychmiast zająć się szkicowaniem uniwersalnego systemu chłodzącego. Każdorazowe przestawianie automatyki to partactwo”.

Zmiana regulacji zajęła sześć godzin. W kabinach stało się cieplej, Diegtiarew poczuł ulgę. Spodziewał się bowiem nowego niebezpieczeństwa.

Lecz po jedenastu godzinach od chwili przestawienia przekaźników różowy słupek termometru znowu zaczął drgać, oderwał się od cyfry „25” i spełzył na „24”. Różnica była minimalna, ale to wystarczyło, aby przykuć uwagę załogi.

Ruch słupka trwał nieustannie i po tygodniu ekipa PW-313 znowu poczęła się kulić z zimna, choć tempe-

ratura spadła zaledwie do dwudziestu stopni.

Wadim i Andrzej znowu musieli się zająć przestawianiem przełączników klimatyzacji.

Po upływie doby w kabinach zapanowała normalna temperatura pokojowa. Lecz kiedy zaszła konieczność trzeciego i czwartego przestawiania automatów, Wadim przeczuł zbliżanie się nowego kataklizmu.

– Zatrzymajmy statek – radził Diegtiarewowi. – Diabli wiedzą, jak bardzo może spaść temperatura.

– Jeżeli nie wiemy – obojętnie rzekł Diegtiarew – to po co mamy stać w miejscu?

– Straszliwy z was człowiek, Mikołaju Mikołajewiczu.

– Niestety, nie, Wadimie Siergiejewiczu. Mnie samemu dusza uchodzi w pięty.

– I mimo to nie obawiacie się...

– Jeśli trzeba, nie.

II

Chronometr odmierzał dobę za dobą. Z ekranu błękit zniknął zupełnie. Jego płaszczyzna przypominała teraz fioletowy aksamit.

W ciągu czterdziestej doby statek osiągnął głębokość tysiąca siedmiuset kilometrów. Rozpalona do trzech tysięcy stopni magma zagrażała statkowi mrozem. Jeden Biront traktował to jako coś naturalnego.

– No, a gdybym tak wyszedł w tej chwili ze statku – zapytał Andrzej Bironta – zamarzyłbym czy też spłonął?

– Nie zdążylibyście uczynić ani jednego, ani drugiego.

– Rozumiem. Ciśnienie starłoby mnie na proszek.

Zgoda, a gdyby nie było ciśnienia?

– Wtedy zamienilibyście się w obłok pary.

– To znaczy, jednak, że bym spłonął?

– Nie w tym znaczeniu, w jakim zwykliśmy wyobrażać sobie proces wyparowywania. Po prostu materia, z której się składacie zostałaby błyskawicznie rozpylona na skutek promieniowania.

– I nie poczułbym ani ciepła, ani chłodu?

– Odwrotnie, odczulibyście i jedno i drugie.

– Hm.

Andrzej spoglądał na uczonego. Jego twarz wyrażała takie osłupienie, że Biront nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Według praw fizyki – zaprotestował Czurakow – wraz ze wzrostem ciśnienia temperatura powinna się podnosić.

– Ale teraz będzie opadać – Biront przymknął jedno oko, drugie wybałuszając na mechanika. Diegtiarew obserwujący tę scenę zanosił się śmiechem. – Tak to stosujecie dialektykę, młody człowieku? – zagrmiał fizyk. – O jakim to ciśnieniu łaskawie rozprawiacie? Setki, tysiące atmosfer? A dokoła nas cisną już miliony, he-he – Biront zamknął drugie oko i przemówił już łagodnie. – Ciśnienie ciśnieniu nierówne. Ilość w określonych warunkach przechodzi w nową jakość. Zastanówmy się: ile minie czasu na statku kosmicznym lecącym z szybkością bliską prędkości światła w ciągu jednego ziemskiego roku? Jeden dzień? Tak? Mam nadzieję, że się z tym zgodzicie. A przecież tak niedawno nie tylko zwykli śmiertelnicy, podobni do was, ale i rutynowani uczeni krzyczeli: „Bzdura! Scholastyka!” Teraz wszystko da się objaśnić bardzo prosto: przy olbrzymich szybkościach wszystkie procesy fizyczne

i biologiczne gwałtownie się opóźniają. To samo zjawisko występuje przy wysokim ciśnieniu.

– Mimo to nie rozumiem – upierał się Andrzej. – Gdyby tu tylko panował mróz, ale jedno i drugie równocześnie?

– Razem, ale materia jest w nowym stanie, czy nie możecie tego pojąć? – Biront począł się denerwować. – Działanie zewnętrzne na nasz system chłodzenia i urządzenia odbiorcze termometrów jest tu zupełnie innego rzędu. Jakże mianowicie, trzeba będzie dopiero zbadać.

Andrzej spojrział na Diegtiarewa w nadziei, że ten podzieli jego wątpliwości. Ale geolog patrzył na Bironta z sympatią i szacunkiem. Geologa zachwycała śmiałość myśli uczonego i odwaga, z jaką zaglądał w samą głąb zjawisk natury.

Lecz jego własna teoria niezmienności składu chemicznego materii w głębi nie sprawdzała się w praktyce. Zmniejszał się zestaw pierwiastków ciężkich. Rozpadały się jądra metali tworząc jądra węgla, wodoru, tlenu i helu. Ale ten rozpad nie był powodowany przez wybuchy. Wewnętrznemu ciśnieniu przeciwstawiał się potężny pancierz trzech geosfer o grubości dwóch tysięcy kilometrów.

W ten sposób statek posuwał się wśród niemetali, których część w normalnych warunkach istniałaby w postaci gazów. Tu natomiast swoją twardością nie ustępowały hartowanej stali. Dokoła rozpościerały się pokłady metalu-tlenu, metalu-wodoru, i metalu-helu.

Andrzej spoglądał z ciekawością na instrumenty. Statek drażył sobie drogę ze stałą szybkością, nawet odrobinę prędzej, gdy na oko niezwykła twardość otoczenia winna była stawiać silniejszy opór, niż stawiał bazalt

czy granit.

Biront nie potrafił dokładnie wyjaśnić mechanikowi zasad wzajemnego oddziaływania bora statku i otoczenia. Sam się tylko wielu spraw domyślał.

– Sądzę, że to jest tak – zwrócił się do Andrzeja. – Metalopodobne właściwości materii są nadzwyczaj nietrwałe. Bor pokonuje jej ciśnienie, zachodzi błyskawiczne parowanie, miejscowa eksplozja. Lecz jak się dokonywa parowanie... to trzeba dopiero zbadać. Mam tylko dwie ręce i jedną głowę – Biront spojrzał znacząco na Czurakowa. – Myślę, że szybkość ruchu z czasem wzrośnie jeszcze wyraźniej.

Diegtiarew dawno już uznał Bironta za niezastąpionego doradcę. Uczeni połączyli swoje wysiłki. Stało przed nimi zadanie rozstrzygnięcia problemu: jak zmieniają się właściwości materii na wewnętrznej granicy czwartej geosfery, tam, gdzie się ona już styka z jądrem, i jakie zjawiska towarzyszą zmianom tych właściwości.

12

Chłód dawał się szczególnie we znaki Birontowi i Diegtiarewowi. W kabinie panowała temperatura plus siedemnaście stopni. Udając się w rejs nie zabrali ze sobą ciepłej bielizny. Któż bowiem mógł przewidzieć, że stanie się niezbędna? Cienkie kombinezony „grzały” słabo.

Wadim nie domagał się już zatrzymania statku. Siadł (który to już raz!) przy pulpicie i zajął się projektem uniwersalnego systemu klimatyzacji. Z pasją rzucał na papier jeden schemat po drugim, oceniał, wyliczał. Spod jego palców wychodziły naiwne rozwiązania, któ-

re natychmiast odrzucał. Podarte i zmięte arkusze polipapieru zaścieliły podłogę.

Bezsensowne wysiłki... Daremny i niepotrzebny trud. A mimo to Wadim nie chciał uwierzyć w swoją nieudolność. Bywały chwile, kiedy nienawidził siebie albo obserwował się jakby z boku i nie poznawał. Tyle w nim tkwiło sił, tyle energii, czemuż więc nie potrafił uruchomić tych zasobów i zmusić do działania?

Pracując nie odczuwał zimna. Walka z samym sobą – cóż może być bardziej męczącego. Budząc się ze snu zmuszał się do zajęcia miejsca przy pulpicie. Cały dygotał od niebywałego napięcia nerwów. „Nie możesz się poddać! – krzyczał na siebie w duchu. – Nie wolno ci!”

Tymczasem temperatura w kabinach spadała. Co prawda powoli, ale z nieubłaganą regularnością: co dobowo stopień i ćwierć.

„Może by rzeczywiście zatrzymać statek, póki nie jest jeszcze za późno? – wahał się geolog. Spoglądając na Bironta, Czurakowa i Surkowa zaciskał szczęki. – Nie, w walce z przeciwnościami będzie weselej...”

– Nic szczególnego – powiedział, kiedy temperatura spadła do piętnastu stopni – warunki mamy zupełnie normalne, prawie pokojowe. Zimą we własnym domu nigdy nie bywa ciepłej.

– A jak się w tym czasie ubieracie? – uśmiechnął się Wadim.

– Nie pamiętam.

Najbardziej cierpiał Biront. Siedział przy pulpicie skulony, z podniesionym kołnierzykiem kombinezону.

– Owińcie się kocem – poradził mu Diegtiarew.

Fizyk poszedł za jego radą, a wkrótce wszyscy uczynili to samo.

...Temperatura spadła do dwunastu stopni. Biront dostał kataru. Począł kichać. Zabrakło mu chustek do nosa i znowu za radą Diegtiarewa zaczął używać prześcieradła. Geolog nie mógł bez uśmiechu patrzeć na swego sąsiada, z którym stosunki z każdym dniem stawały się coraz bardziej przyjacielskie. Fizyk z opuchłym nosem, łzawiącymi oczyma i prześcieradłem na rękach wyglądał żałośnie.

Pozostawiając nad sobą jedną setkę kilometrów za drugą, PW-313 coraz bardziej zbliżał się ku jądro Ziemi. Wychwytywanie elektronów przez jądra, tak zwany K-wychwyty, narastało gwałtownie. Malał zasób czystego węgla, tlenu i helu, natomiast powiększały się ilości wodoru. Metalicznie twardy, ciemnofioletowy, dający nieokreślone promieniowanie, do tej pory pozostawał niezmienny.

– Posłuchajcie, Walentynie Makarewiczu – wygadał swoje domysły Diegtiarew. – Co się dzieje? Gdybyśmy się poruszali nie w stronę centrum Ziemi, lecz w przeciwną, wtedy zamiast K-wychwyty mogliśmy stwierdzić syntezę lekkich jąder w ciężkie przy jednoczesnym powstawaniu elektronów.

– Oczywiście! – podchwycił Biront. – Nie może być inaczej. We wnętrzu Ziemi znajduje się kuchnia, w której przyrządzane są wszystkie znane w przyrodzie pierwiastki. Nie rozumiem jedynie, w jaki sposób przenikają one do skorupy ziemskiej.

– No a prądy, Walentynie Makarewiczu, a prądy?

– Prądy w tak sprasowanych pokładach?... W to byłoby dość trudno uwierzyć.

– I nie tylko wam. W przeciwnym wypadku nie miałbym nic do roboty na PW-313. Prądy są niewiarygodnie powolne. Za mało jednego ludzkiego życia,

aby je zauważyć. Lecz przecież one istnieją. Zarówno poziome jak, i pionowe. Inna sprawa, czym są wywołane. Nawet poziome prądy w listosferze pozostają dla nas zagadką.

– Przypominam, że Skandynawia podnosi się o jeden i trzy dziesiąte metra w ciągu stulecia.

– Och, czyż tylko Skandynawia? Niech no wykaraskam się cało z tej opresji, całe moje życie poświęcę wędrówkom do jądra Ziemi. Mam już program... Na razie się nie spieszymy. Będziemy mogli to i owo zobaczyć własnymi oczyma.

– Rzeczywiście. Ta sprawa z pionowymi prądami w czwartej geosferze jest zajmująca. Chciałbym...

Biront nie skończył, skrzywił się jak do kichnięcia, ale się powstrzymał.

Ileż radości dawały uczonym te rozmowy, ile niezapomnianych chwil przeżyli dzieląc się utajonymi marzeniami! Wzajemna pomoc wynikająca z uprzejmości stała się zwykłą koniecznością. Wszystkie zmiany geologiczne we wnętrzu Ziemi i na jej powierzchni były zależne od procesów atomowych w rejonach centralnych, a częściowo w czwartej geosferze. Ale procesów atomowych nie można było gruntownie zrozumieć nie znając geologicznych właściwości planety. Tu geofizyka i geochemia spletały się ściśle z mechaniką atomową. Wysiłki Diegtiarewa i Bironta stanowiły organiczną całość.

Gdyby nie ten chłód... W ciągu ostatnich dwu dni temperatura spadła do dziesięciu stopni. Andrzej zaproponował otwarcie ślepego luku w okolicy bora, gdzie wzdłuż korpusu rozchodziły się wachlarzowato rozpalone rury ssące. To od razu zmieniło sytuację załogi. Nagrzane od rur powietrze przeleciało z kabiny do ka-

biny wzdłuż całego korpusu statku.

– No, teraz możemy być spokojni – powiedział Diegtiarew. – Andrzejowi Czurakowowi przyznaje się tytuł pierwszego bohatera głębinowego statku podziemnego PW-313. Przy takim ogrzewaniu wytrzymamy każde ochłodzenie...

13

Zgodnie z przewidywaniami Diegtiarewa, rozmiary czwartej geosfery przedstawiały się zgoła imponująco. Głębokościomierz pokazywał już dwa tysiące kilometrów, chronometr – czterdziestą siódmą dobę od dnia startu. Ścieśnienie materii rosło, temperatura natomiast malała nieustannie.

Jeszcze osiemset, dziewięćset kilometrów i dokona się nowy skok jakościowy w mikrostrukturze materii.

Lecz jakiego rodzaju?

Pięciu ludzi z niecierpliwością oczekiwało chwili, kiedy statek zagłębi się w jądro Ziemi. Doby wlokły się okrutnie powoli. Załoga zbierała się na odpoczynek w kabinie dowódcy. Tam przeniesiono pościel i rozłożono ją wokół luku prowadzącego do komory bora. Pulpit wisiał dość wysoko nad podłogą, ale zasłaniał światło.

– Znajdujemy się w sytuacji prawie marszowej – powiedział Diegtiarew. – Gdyby zamiast luku ogrzewało nas ognisko, przypominalibyśmy w tym barłogu pierwszych jaskiniowców. Może zaśpiewamy?

– Czego nam brakuje, to muzyki! – podchwycił Wadim rozprostowując zdrętwiały kark. Już kilka godzin siedział nad kolejnym wariantem systemu klimatyzacji. – O ile lżej by się zrobiło w sercu. Rakieto-

plany zawsze słyszą głos Ziemi, nadaje się dla nich całe koncerty symfoniczne. My jesteśmy odcięci od świata.

– Odcięci? Ależ skąd! – zawołał Diegtiarew. – Ja osobiście nie czuję żadnego odcięcia. Jesteśmy na jednej planecie z naszymi przyjaciółmi, z rodzinami. A co się tyczy muzyki, to inna sprawa! Ja, bracie, także czuję do niej słabość. Lecz, prawdę mówiąc, słon mi w dzieciństwie nadepnął na ucho. Walentyńie Maka-rewiczu, może wy coś nam, tego, zaśpiewacie?

– Dajcie spokój z żartami.

– Bardzo chcecie usłyszeć piosenkę? – zapytał Skorupin.

– Oto gdzie się chowa talent! – Diegtiarew bezceremonialnie zapuścił rozwartą dłoń w czuprynę nawigatora i odwrócił go twarzą ku sobie. – Sopran liryczny?

– Ależ co wy, nie! – zawstydził się Pasza. – Ja także nie śpiewam. – Policzki mu poróżnowiały. – Ale pomyślałem sobie, że się wam może spodoba, gdy zaśpiewa pewna dziewczyna.

– Dziewczyna?

Diegtiarew wyduł wargi i zostawił głowę nawigatora w spokoju.

– Nie przechowujesz jej chyba w kieszeni?

Skorupin istotnie sięgnął do kieszeni i wydobył z niej niewielkie okrągłe pudełeczko. Otworzył je i obecni zobaczyli w nim taśmę magnetofonową.

– Czemuś do tej pory milczał? – zdziwił się Wadim. – Kto śpiewa? Co śpiewa?

– Ależ nie, to jest zupełnie całkiem co innego, niż myślicie – tłumaczył się skonfundowany Skorupin. – Zapisałem tu głos pewnej mojej znajomej. Najpierw jest list, a potem ona śpiewa. Ma bardzo ładny głos.

– Niech już będzie znajoma – machnął Wadim ręką.

– To nieładnie, Wadimie Siergiejewiczu – strofował Diegtiarew Surkowa. – Jeżeli Paweł mówi, że dziewczyna pięknie śpiewa, to pewnie śpiewa pięknie. Do dzieła, Pawełku!

Skorupin wylazł spod pulpitu i jak uskrzydłony wleciał po drabince. Zakładał pośpiesznie taśmę na magnetofon. Palce kiepsko go słuchały; nawet kiedy dowiedział się o beznadziejnym położeniu PW-313 nie był tak zdenerwowany, jak w tej chwili. Dawno już pragnął uruchomić aparat, co dzień dotykał w kieszeni umiłowane pudełeczko, lecz nie miał odwagi wyjąć.

Przewinął koniec taśmy, na którym nagrany był list, następnie włączył głośnik.

„„Pawełku! – zadźwięczał w kabinie miły głos dziewczyny i Paweł uśmiechnął się szeroko – teraz ci zaśpiewam piosenkę, którą mi kazałeś śpiewać w Orłowce. Pamiętasz?”

Usłyszawszy pierwsze tony załoga PW-313 uniosła głowy i zamarła. Zdawało się, jakby całą wieczność nie słyszeli muzyki i kobiecego głosu. Razem z głosem tej dziewczyny wtargnęły do kabiny dźwięki tamtego, słonecznego świata, które jak kamienie rzucone do wody, rozkołysały zobojętniałe już serca. Równocześnie z nagłym przystępem smutku każdy ze słuchających doznawał czegoś w rodzaju radości. Serce podchodziło do gardła, chciało się płakać i śmiać.

Była to popularna piosenka o księżycu, co nie w porę wyjrzał zza chmur i przeszkodził w wyznaniach miłosnych astronautce, który właśnie miał za chwilę tam lecieć.

Głos niezbyt mocny, ale miły, z wielkim uczuciem wyrażał każde słowo, nasycając je szczególną treścią. Biront uśmiechnął się i wzrokiem wskazał Diegtiarewowi sufit. Geolog pokiwał głową. Głos umilkł.

– Jeszcze raz! Jeszcze raz! – krzyknęli równocześnie obaj uczeni, a po chwili także Czurakow.

Wysłuchali piosenki trzy razy. Nawigator powrócił poważny, ale zdradzały go oczy.

– Gdzie ona jest? – spytał Diegtiarew.

– Na Księżycu.

– No, ty, nie chciałbym cię obrazić, Pawełku.

– Kiedy ja mówię poważnie. Jest botanikiem, posłali ją do księżycowej oranżerii. Tania będzie tam laborantką...

– Patrzcie no ludzie! Ty w centrum Ziemi, a ona na Księżycu! Co się to wyprawia! Tania... Ładne imię. Nie przyszła, aby cię pożegnać?

– Nie. Czekałem na nią, ale się musiała zatrzymać dłużej w tej swojej księżycowej oranżerii. Nie widzieliśmy się cały rok. Ale taśmę otrzymałem od niej przed samym startem.

Piosenka podziałała na załogę zgoła zbawiennie. Kładąc się do snu nikt nie spojrział na głębinomierz. Czas nagle począł biec szybciej, a przyszłość nabrała tęczy kolorów.



14

Wadim spał najbliżej luku. Zbudziwszy się wysunął głowę nad jego krawędź, aby nasycić się buchającym od rur ciepłem. Uśmiechnął się, miał w pamięci senne obrazy: Lena, plaża, rzeka, jaskrawe słońce, ciepły oddech wiatru...

Nagle zdrętwiał, beztroska przysła jak bańka mydłana. Gwałtownym ruchem zanurzył się w luku do pasa.

Począł nasłuchiwać. Nie, ucho go nie zwodzi. Bor pracuje normalnie. Wyskoczył spod pulpitu, rozprostował kości, spojrział na instrumenty. Co za ulga: żadnych zmian w systemie działania aparatury! Wtedy Wadim znowu dał nurka pod pulpit i szturchnął Andrzeja.

– Czego chcesz? – szarpnął się niezadowolony Czurakow i przewrócił się na drugi bok.

Wadim potrząsnął nim energiczniej.

– Podsuń się do luku. Nic nie spostrzegasz?

Andrzej zauważył z miejsca, ale uznał za stosowne nie czynić pośpiesznych alarmów. Senność sprzyja omyłkom. Potarł dłonią twarz, posiedział parę minut opodal i znowu przysunął się do luku. Wtedy zaczęli się budzić pozostali.

Rury ssące stawały się coraz chłodniejsze, chociaż silnik pracował ze stałą mocą. Struga elektryczna rozpylała materię z taką samą lekkością jak zawsze i podawała ją komorom nagrzewczym.

Mechanik był pewny, że spełniają się oto przewidywania fizyka: statek sunie szybciej drążąc już nie pół metra, ale osiemdziesiąt centymetrów na sekundę.

Ani Biront, ani Diegtiarew nie potrafili dostatecznie jasno wytłumaczyć tego zjawiska. Obaj snuli jedynie domysły: w komorach zachodzi gwałtowny proces termojądrowy i temperatura ujemna skokami, gwałtownie zamienia się w dodatnią.

Wadim ruszył do pulpitu, aby sprawdzić te przypuszczenia na podstawie obliczeń. Jeśli się potwierdzą, można będzie w przyszłości zbudować statek o zupełnie fantastycznej konstrukcji! Lecz zaledwie włączył mózg elektronowy, opuścił ręce. Chciał dokonać obliczeń, zmuszał się, ale... czuł, że ma jakby przytępiiony umysł.

Temperatura w kabinie spadała. Słupek na skali ter-

mometru zbliżył się zrazu do ósemki, zatrzymał się na niej trzy czwarte doby i groźnie ruszył w dół.

Chłód zmusił załogę do użycia materaców dla ogrzewania ciała. Ludzie wyglądali nietęgo, zwłaszcza Diegtiarew. W takim stroju z trudem przeciskał się przez otwory luków klnąc na czym świat stoi.

W końcu usiadł obok Wadima.

– Wadimie Siergiejewiczu, kochany, czy nie można by zamienić systemu chłodzącego na ogrzewający? Przyroda robi nam psikusy, więc i my powinniśmy wierzgnąć tak jakoś – pokręcił palcem w powietrzu – no jakoś tak...

– Proszę bardzo.

– No więc? Wykombinowaliście coś?

– Niczego wykombinowywać nie trzeba, Mikołaju Mikołajewiczu. – Wadim zagryzł wargi.- Przebudować system nietrudno, ale trzeba by go w tym celu w ogóle wyłączyć na parę dni. Powiedzcie tylko, czy owe dwanaście i pół tysiąca stopni ciepła, które rozpycha pole magnetoplazmowe, działa jak dawniej na korpus statku czy też kompensuje to ochładzanie materii?

Diegtiarew spojrzał pytająco na Bironta.

– O żadnej kompensacie nie może być mowy – odparł fizyk. – Ochładzanie rodzi nowy gatunek energii, lecz nie likwiduje ciepła. Zaś wasz system chłodzący reaguje zarówno na ciepło, jak i na chłód. Ale chłód, który się wytwarza w postaci promieniowania, wyzwolił w złączach półprzewodnikowych jakieś nowe współzależności.

– Więc nie ma o czym gadać. Nie możemy wyłączyć chłodzenia nawet na jedną sekundę. Statek zostałby natychmiast zniszczony. Taka perspektywa raczej nas nie urzęcza...

Diegtiarew spojrział na Andrzeja.

– To prawda – potwierdził mechanik – termoelementy systemu chłodzącego złączone są w jedną całość. Po jednym nie można ich przebudowywać.

– Trzeba się więc zatrzymać! – powiedział Wadim.

Geolog przecząco pokręcił głową.

– Nie! – przyłączył się doń Biront.

– Nie mogę się z tym zgodzić, że nie ma żadnej możliwości przebudowania systemu chłodzącego – upierał się Diegtiarew. – Ja też coś tam wiem o półprzewodnikach. Trzeba pomyśleć, Wadimie Siergiejewiczu. Rozumiecie? Myśleć, szukać, nie poddawać się. Wszystko zależy od waszego mistrzostwa konstruktorского. Sami przecież wiecie, że najlepsze rozwiązanie może przyjść nagle, nieoczekiwanie.

Jakże mógł o tym Wadim nie wiedzieć? Ale czyż nie zastanawiał się nad problemem przebudowy? Rozwiązanie może się znaleźć. Zresztą kto wie, czy w ogóle istnieje?

Andrzej postanowił Wadimowi pomóc. Obaj odeszli do agregatów. Tam, zdjawszy pokrywy automatów przekaźnikowych, poczęli się wpatrywać w czarne, połyskujące lakierem małe tarcze. Każda tarcza była w istocie przekaźnikiem. Tuż pod ich powierzchniami przeplatały się złote linie – łączyły z sobą przewodnikowe węzły czułkowe, niewielkie matowoszare dyski. Schemat ten w całości przypominał kanały Marsa widziane przez teleskop. Nie posiadał ani jednej części ruchomej, ani jednego połączenia kontaktowego. Prosty i zwarty do ostateczności – nie mógł być przebudowany w czasie rejsu. O wiele prostsza byłaby całkowita wymiana przekaźników. Absolutna dokładność urządzenia stała się teraz tragedią ekipy PW-313.

Porozumiawszy się Andrzej i Wadim doszli do wniosku, że nic nie wymyślą. Potrzebna byłaby gruntowna przeróbka, którą można wykonać jedynie w fabryce.

Ale po upływie paru godzin Andrzej znowu się zjawił w przegrodzie agregatów. Tym razem sam. Pozostawał tam dość długo. Zastanawiał się, jak przełączyć automaty, nie wymieniając ich i nie narażając statku na niebezpieczeństwo.

Niestety, jego wiedza okazała się w tym względzie zbyt uboga.

Spoglądając na linie wrysowane w tarczę schematu, Andrzej upewniał się o swojej bezsilności. Usunąć najdrobniejszą usterkę potrafi jak żaden mechanik na świecie, ale wprowadzić zmiany w wykresie linii i węzłów... nie, na to trzeba być konstruktorem. Jeżeli Wadim nie potrafi, cóż tu ma do szukania Andrzej Czurakow?

15

Statek PW-313 szedł ciągle w kierunku jądra Ziemi. W kabinach stawało się coraz chłodniej. Temperatura spadła do zera. Szybki skal instrumentów spotniały od oddechu, zaszyły mgłą metalowe okucia luków i powierzchnie pulpitów. Własnoręcznie sprokurowana odzież z materaców chroniła do pasa, nogi pozostały odkryte i kostniały z zimna. Trzeba je było okręcać kocami i prześcieradłami, kłaść z wierzchu poduszki, lecz wtedy znów trudno było wstać z fotela.

Diegtiarewowi marzła łysina, zawiązał więc sobie turban z ręcznika i upodobił się do kupca z dawnej Buchar.

Nie wytrzymując zimna wspinali się kolejno do ka-

biny agregatów. Było tam stosunkowo cieplej, choć w tym ciasnym pomieszczeniu nie mogło jednocześnie stać więcej niż dwu ludzi.

Marzyli o ciepłej odzieży: o walonkach, o szubie, o czapce. Jakżeby się to wszystko tutaj przydało! Lecz któż mógł przewidzieć, że załoga PW-313 zagłębiająca się w gorące wnętrze Ziemi będzie musiała przebywać w warunkach październikowego chłodu?

Temperatura spadała teraz już o dwa i pół stopnia w ciągu doby i kiedy chronometr oznaczył dobę pięćdziesiątą, w kabinach panował ośmiostopniowy mróz. Na metalowych częściach ramy i pulpitu osiadł szron; szczególnie grubo na krawędziach luków i komory bora, skąd szło stosunkowo ciepłe powietrze.

Grabiałały ręce. Jeżeli geolog jeszcze to jakoś znosił, to chudy jak szczapa Biront cierpiał prawdziwe męki. Raz po raz chuchał w sękatę zdrętwiałe palce, chował je pod pachy, częściej niż inni biegał grzać się do agregatów.

Temperatura spadła do minus dwunastu... do minus piętnastu... osiemnastu... Mimo to statek uporczywie drażył sobie drogę do środka Ziemi.

Załoga żyła jedną tylko myślą: szybciej; byle, szybciej! Co ich czeka w jądrze Ziemi? Czy nie stanie się ono początkiem końca? Wadim przestał kontrolować maszynę. Skulił się w hamaku, nakrył materacem głowę i pragnął się ogrzać własnym oddechem.

W ciągu pięćdziesiątej pierwszej doby mróz osiągnął dwadzieścia jeden stopni Celsjusza...

Biront dotknął oczu koniuszkami zmartwiałych palców i natychmiast je cofnął. Oczy mu płonęły ni to z powodu kataru, ni to ze zmęczenia, głowa stała się nagle dziwnie ociężała, uszy przestały odbierać dźwię-

ki, nie ustawał w nich dokuczliwy chrzęst, jak gdyby gdzieś w pobliżu potrząsano słomą.

– Nie uważacie, że w kabinie stało się cieplej? – zapytał niepewnie atomista.

Diegtiarew zerknął na termometr: dwadzieścia sześć stopni mrozu. Z ust buchały kłęby pary. Szron pokrył w kabinie wszystko, nawet nylonowe poszycie ścian. Szczypał w policzki. Żeby uchronić uszy, trzeba było obwiązać je ręcznikami. O myciu i goleniu nie mogło być mowy. Bóg wie, do kogo upodobnili się teraz ci ludzie, obrośnięci i wyczerpani.

– Źle się czujecie?

– Kto to wam powiedział? Ja tego nie mówiłem. Czuję się doskonale. Tylko z głową coś tam nie w porządku. Pewno z przemęczenia. Spróbuję się położyć.

Biront podkurczył w fotelu nogi, szczelniej okutał się materacem, otulił prześcieradłem i kocem i spróbował zasnąć.

Diegtiarew spoglądał na swego towarzysza z troską. Co będzie, gdy Biront zachoruje? W statku nie ma środków przeciw ostrym zaziębieniom.

Ale nie upłynął nawet kwadrans i fizyk otrząsał się w rozdrażnieniu. Nie mógł usnąć. Do jądra Ziemi już niedaleko. Nie ma czasu na chorobę. Teraz trzeba pracować, prowadzić badania. Chorować można w domu. Któż zbija bąki w laboratorium?

Myśli Bironta biegną szybko, wyprzedzają statek o tysiące kilometrów. Oziębienie materii rodzi promieniowanie, którego struktury nie udało się jeszcze wyświetlić. Biront podejmuje śmiałą myśl: czy to promieniowanie nie jest przypadkiem strugą neutralno-elementarnych cząstek, z których – niby dom z cegieł – zbudowane są wszelkie cząstki atomowe: protony,

elektrony, pozytrony, a więc wszechświat? Żeby tego dowieść, trzeba przede wszystkim dobrnąć do jądra Ziemi, a najważniejsze: ani na minutę nie przerywać obserwacji.

Pochyliwszy się ku instrumentom Biront niespodziewanie zadrzemał. Diegtiarew słyszał jego zachrypnięty, świszczący oddech. Patrzył na ostre łokcie, na wystające spod materaca wąskie, kanciaste ramiona atomisty z uczuciem miłości i głębokiego żalu. „Do roboty!” – powiedział sobie. Tyle jeszcze mają nie tkniętego materiału do badań. Wszak on i Biront są w tej chwili oczyma i rękoma całego naukowego świata. Władą nimi imperatyw sławnego pokolenia zwycięzców przyrody.

Włączywszy mikrofon geolog wezwał Czurakowa.

– Andrzejku – powiedział zakrywając mikrofon dłonią i ścisząc głos – trzeba będzie znaleźć ciepłe miejsce. Walentyn Makarewicz zaniemógł.

– Ja już coś znalazłem, Mikołaju Mikołajewiczu. Można by wykorzystać oddział maszyn. Tylko tam bardzo ciasno.

– Dobrze, obejrzymy.

W pomieszczeniu było tak ciepło, że Diegtiarew doznał zawrotu głowy.

– Ach, co za rozkosz – powiedział geolog. – Okazuje się, że przemarzł do szpiku kości.

Niewielka powierzchnia studni pozwalała stać dwu ludziom na szczeblach drabiny, jeden zaś mógł usiąść na zamkniętej pokrywie luku.

– Zrobimy tak – zaproponował Diegtiarew – przyczepimy hamaki do szczebli i będziemy tu siedzieć jak ptaszki w gniazdeczku. Trzeba będzie na jakiś czas zrezygnować z pozycji leżącej.

Przenosiny do tunelu pozwoliły wyswobodzić się z materaców i owiniętych wokół nóg koców i od ręczników na głowach. Zastrząsnęli luk, rozesłali na nim materac dla Bironta. Pozostali usadowili się w hamakach zajmując studnię do samego szczytu.

Zasnęli. Spali snem długim i ciężkim, nie zważając na niewygodę. Kiedy trzeba było wyjść z tunelu, przenosili Bironta na hamaku. Po jedzenie i wodę schodzili po kolei. Powracali z niepokojącymi wieściami; temperatura wynosiła minus czterdzieści pięć stopni i spadała teraz szybciej: początkowo o cztery stopnie na dobę, potem o sześć, osiem...

Na zewnątrz, dokoła statku, jak dawniej rozprze-strzeniała się rozpalona, plastyczna masa. Jeżeli wierzyć termometrom (a jakże im nie wierzyć?) jej temperatura, od momentu wejścia w rejon czwartej geosfery, to jest w ciągu trzydziestu dwóch dni, obniżyła się za ledwie o czternaście, stopni i wynosiła dwa tysiące dziewięćset osiemdziesiąt sześć stopni powyżej zera. Ciepła więcej niż trzeba! Gdybyż jego drobną cząsteczkę można było przenieść do kabin!

Być w środku ognia i ginąć od mrozu, cóż mogło być tragiczniejszego ?

Z każdym dniem było coraz trudniej schodzić na dół po jedzenie i wodę. Po drugiej stronie pokrywy luku czyhał już sześćdziesięciostopniowy mróz. Jego piekące uszczypnięcia znosili już tylko dwaj ludzie: Czuraków i Diegtiarew. Zanim otworzyli pokrywę, aby zejść, owijali się w materace. Głowę, ręce i nogi okręcali kocami. Luk się otwierał i do tunelu wpadały kłęby pary. Musieli więc szybko zbiegać po szczeblach, porywać skrzynkę z koncentratami i – z powrotem.

Początkowo Diegtiarew zdobywał się na odwagę i schodził o dwie kabiny niżej, do swojego pulpitu, aby rzucić okiem na instrumenty. Później, na górze, przekazywał Bironowi w skrócie zdobyte informacje i tym go odrobinę uspokajał.

– Dobrze by było zrobić zapas wody – niepokoił się Andrzej – ale nie ma w czym. Boję się, że syntezyzator nawali, a i tak już plujemy lodem.

Diegtiarew obawiał się czego innego. Był pewien, że nadejdzie taki moment, kiedy w ogóle nie będą mogli opuszczać tej studni.

Żyli w straszliwej ciasnocie. Wąskie pomieszczenie tunelu pozwalało jedynie siedzieć w hamaku niczym w pętli albo stać na stopniach. Kto stał na górze, widział potylicę stojącego na dole, ten zaś tylko podeszwy tamtego.

Zażywny i krępy Diegtiarew cierpiał podwójnie. Robiąc obrót zahaczał ramieniem o ścianę, siedząc wpięrał się w nią kolanami. Najbardziej jednak dręczyła go bezczynność. Godzinami potrafił klnąć „diabelski bazalt”, „obmierzłą temperaturę”, „pecha”... Wadim, Andrzej i Paweł przysłuchiwali się temu w należyтым skupieniu. Miarowy głos uczonego działał na nich uspokajająco. Być może zresztą, sam widok Diegtiarewa napawał młodych otuchą. Gdyby go nie było, zapewne poddaliby się uczuciu straszliwego strachu.

Stan Birona budził coraz większe obawy. Diegtiarew w okresie swoich wędrówek niemało się napatrzył na ostre przeziębienia, stwierdził więc bez trudu zapalenie płuc.

Ciało atomisty pałało ogniem. Miał nieustanne dreszcze, męczyło go pragnienie. Chciał wyciągnąć nogi, rozrzucić ramiona. Ale kiedy nawet rozścielali materac

na klapie luku, chory mógł jedynie siedzieć ze zgiętymi nogami opierając plecy o ścianę.

W hamaku jeszcze niewygodniej.

W rozgorączkowanej głowie Bironta kłębiły się myśli. Widział siebie przy pulpicie, w ciepłej kabinie. Niezwykła mnogość instrumentów, kontaktów, przełączników doprowadzała go do rozpacz. Nie potrafił określić, co wskazują skale instrumentów. A trzeba się śpieszyć, śpieszyć, śpieszyć... Zdawało mu się, że statek spada w otchłań. Żar buchał od pulpitu jak od włączonej kuchenki elektrycznej. Kabina zataczała się, dokoła migąły nieznajome twarze. Biront przyglądał się im, lecz nie poznawał nikogo.

Napastowany przez owe widma wzywał Diegtiarewa. Geolog natychmiast wygrzebywał się z hamaku i chrząkając schodził do chorego. Przyłożywszy dłoń do jego rozpalonego czoła długo pozostawał w tej niewygodnej pozycji.

– Odczytajcie wskazania instrumentów, a przede wszystkim intensywność i energię promieniowania – prosił atomista.

Diegtiarew wymieniał cyfry na chybił trafił.

– Tyle przejść – narzekał fizyk – i nie zobaczyć najważniejszego.

– Jakże to nie zobaczyć? – huczał na całą studnię Diegtiarew. – Co to za gadanie, kolego? Któż więc, według was, powinien to zobaczyć? Ja? Andrzejek z Pawełkiem? Przecież my nie rozumiemy ani be ani me z tego waszego neutronowego baletu. Postarajcie się wyzdrowieć i wrócić do swoich badań.

– Postaram się – Biront uśmiechał się z wdzięcznością i natychmiast popadał w odrętwienie. Przywoływał żonę, prosił, żeby otworzyła okna, dziwił się

mnożości gołębi na parapecie.

Andrzej przysunął się do Diegtiarewa i spytał:

– Źle?

Diegtiarew potwierdził skinieniem głowy. Gdyby mógł pomóc Birontowi nawet kosztem własnego zdrowia, uczyniłby wszystko bez namysłu.

17

Wadim zaciskał szczęki aż do bólu w skroniach. Zalewała go rozpacz, niczym fala morska. Fala tak wysoka, że nie mógł już dostrzec jej wysokiego grzebienia. Jeszcze chwila i nakryje go, zakręci nim, ściągnie na samo dno. Jego serce wyprawiało dziwne harce, głowę ścisnęły stalowe obręcze, brakowało mu powietrza.

Milczał, lecz z trwogą oczekiwał powrotu fali.

Czas płynął.

Pewnego razu obudził Diegtiarewa głuchy łoskot, jakby coś spadło. A może mu się przywidziało? Wychylił się z hamaku i długo patrzył roziskrzonymi oczyma w dno studni.

Nagle poczuł w sercu ukłucie: na pokrywie luku dostrzegł pusty materac. Biront zniknął.

Nie namyślając się Diegtiarew wyskoczył z hamaku nie zwracając uwagi na ostry ból w nogach, spowodowany upadkiem. Nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa podniósł klapę. Owiało go mroźne powietrze. Ręce zdrętwiały w jednej chwili, zaledwie dotknął metalowych szczebli po drugiej stronie luku.

Musiał zawrócić nie doszedłszy nawet do połowy magazynu żywności. Przeczucie niepowetowanej strąty pozbawiło go panowania nad sobą. Udało mu się

byłe jak narzucić na siebie materac, okręcić ręce kociami. Był wściekły z powodu swojej nieruchawości i przynagłał się do pośpiechu. Po szczypaniu w policzki Diegtiarew wywnioskował, że w kabinach jest większy mróz niż na Ziemi podczas polarnej zimy. Nie odpowiadając na pytania wystraszonego Andrzeja, Diegtiarew znowu skoczył w otwór luku.

Teraz przeszedł możliwie szybko magazyn żywności, lecz już w sekcji syntezatorów chłód skuł mu palce u rąk i nóg, przeniknął pod materac i popełznął wzdłuż grzbietu. Począł szybko tracić siły, których już zresztą nie miał wiele. Ciężko dysząc zatrzymał się w kabynie odpoczynku. W piersi podnosił się tłumiony szloch. Powietrze wnikające do płuc, paliło jak ogień.

Z rozpaczliwym wysiłkiem geolog począł się przeciskać przez luk kabiny mechanika. Ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mogąc uchwycić szczebli zleciał w dół. Ogłuszony upadkiem natychmiast się poderwał na nogi. Pozostał jeszcze jeden, ostatni właz. Kolejny luk prowadził już do kabiny uczonych. Diegtiarew klęknął. Osłupiałym wzrokiem dostrzegł Bironta. Fizyk siedział w fotelu przy pulpicie. Jego ręce były wyciągnięte w stronę przełączników, ale prawdopodobnie nie zdążyły ich uchwycić. Włosy przyprószył szron...

Obok instrumentów leżał prawdziwy śnieg. Krążące nieustannie powietrze niosło wilgoć, która osiadała zwartą, śnieżną powłoką na obwodzie luku i w kątach sufitu.

Diegtiarew zrozumiał, że Biront nie potrzebował już jego pomocy... Zejść do niego znaczyło podzielić jego los. Stamtąd nie będzie powrotu.

Brała go pokusa: a może jednak zejść? Można by lekko i szybko załatwić porachunki z losem. Zostać

obok Bironta, umrzeć na posterunku.

Natychmiast jednak zbudził się w nim wewnętrzny protest przeciwko tym zdradzieckim zachciankom. Począł wdrapywać się do góry. Jego ręce i nogi pozabawione były wszelkiego czucia. Wydawało mu się, że chwyta szczeble nie palcami, lecz drewnianymi hakami. Oddech stawał się coraz szybszy i świszczący. Z ust, zamiast pary, sypał się drobniutki krystaliczny pył.

Czuł, że słabnie, tracił świadomość. Zacisnąwszy zęby wdrapywał się szczebel po szczeblu. Nie chciał się poddać. A przecież musiał stanąć. W uszach grzmiały dzwony, przed oczyma rozlewała się tęczowa poświata.

Nagle czyjeś mocne ramiona chwyciły go pod pachy. Odniósł wrażenie, że leci, i ten lot trwał bez końca. Zatrzasnęła się pokrywa luku. Łomot dzwonów przechodził z wolna w coraz delikatniejszy, kołyszący dźwięk.

18

Zwalili się obaj na pokrywę luku i zastygli w bezruchu jak dwa kliny wbite w jedną szczelinę.

Andrzeja paliło w piersi, jak by łyknął wrzącej wody. Zapiekle go palce rąk i nóg, zapłonęła skóra na całym ciele.

– Obleziemy ze skóry jak eukaliptusy – ponuro zażartował Diegtiarew. – Nie wiedziałem, synku, żeś ty taki mocarz. Podobnego brzuchacza na sobie przywlec, no, no...

– Walenty Makarewicz... tam?

Diegtiarew potwierdzająco skinął głową, szybko za-

mrugał powiekami i odwrócił twarz.

– On to zrobił w malignie, czy sam... specjalnie?

– On to może wiedzieć, Andrzeju?

Tymczasem motory nie przestawały pracować.

Wytwarzały siłę, która umożliwiała podziemnemu statkowi przebijanie się poprzez materię w jej tajemniczym piątym stanie.

Żaden z pozostałej czwórki nie potrafił określić, jak długo przebywali w tej studni: dobę, tydzień czy miesiąc. Kończyły się zapasy wody, koncentratów mogło wystarczyć jeszcze na parę dni. Nie odważyli się więcej na otwieranie luku. Woda znajdowała się w pobliżu, ale iść po nią znaczyło nie wrócić. Na obwodzie luku pojawił się szron. Diegtiarew spoglądał na jego delikatny szlak z goryczą w sercu. Jeżeli mróz przecisnął się poprzez dubeltowe ściany, między którymi przestrzeń wypełniona była materiałem izolacyjnym, to znaczy, że w kabinach panuje śmierć.

– Czy można mieć pewność, że luk jest hermetyczny? – zapytał Diegtiarew Andrzeja.

– Oczywiście! Sam sprawdzałem przed rejsem. A bo co?

Diegtiarew szepnął mechanikowi do ucha.

– W kabinach sto pięćdziesiąt stopni albo i dwieście. Rozumiesz, co to znaczy? Powietrze tam zaczyna się skraplać, może już jest ciekłe, ciśnienie spada, tworzy się próżnia. Jeśli luk ma choćby najmniejszą szczelinę, udusimy się.

– Ręczę za luk, Mikołaju Mikołajewiczu. Na swojej skórze sprawdziłem, co znaczy brak hermetyczności. Pewnego razu przesączyły się do studni gazy z silnika. Cudem zostaliśmy przy życiu. Teraz przez ten luk nie przecisnie się ani jedna molekula.

Rychło poczuli pragnienie. Ciepłe ścianki tunelu wydawały się rozżarzone. W gardłach im wyschło, język przywierał do podniebienia.

„Tym razem już się chyba nie wywiniemy – myślał Diegtiarew. – Może już czas, abyśmy się pożegnali, Katieńko? Albo pocierpimy jeszcze, najmilsza?” Wsparty plecami o ścianę wyczuwał miarowy rytm pracującego silnika. Usłyszał w nim jakby głosy tych, którzy budowali PW-313. Statek na przekór wszystkiemu parł na dół. Przyroda nie może mu się przeciwstawić, więc wywiera swoją zemstę na tych, którzy pozostają w jego wnętrzu. Cóż, niech się wścieka. Diegtiarew nawet w obliczu śmierci będzie wielbił wspaniałych budowniczych tego statku.

PW-313, owoc ludzkiego trudu, żyje, porusza się, walczy.

Ani pragnienie, ani ból rozlewający się po całym ciele, ani nawet utrata przyjaciela i niewygody studziennej egzystencji nie załamały Diegtiarewa. Myślał o bironowskiej teorii ochładzania, o jej olbrzymim znaczeniu dla badań ziemskiego globu. Dopiero teraz powstawała realna możliwość wyjaśnienia z absolutną jasnością kolejnego ogniw powstawania pierwiastków chemicznych i ich związków oraz narodzin struktur krystalicznych.

Ale wyjaśnić to za mało. Trzeba przekazać ludziom, uczynić zdobyczą nauki. Uwięzienie w studni, niemożność rozprostowania członków przyprawia o szaleństwo. Tymczasem głowa domaga się zatrudnienia. Pracy! Czyż to nie śmieszne? Zresztą, cóż tu śmiesznego, pamięć nie zawodzi. Dobrze by było przemyśleć to wszystko, co się działo, i wyciągnąć jakieś wnioski. Jeśli zaś chodzi o możliwości przekazania ich na górę,

do stu diabłów, może się wreszcie skończy ta lodówka w kabinach, jak skończyła się era lodowcowa. Co prawda tamta trwała milion lat...

Rozmyślenia Diegtiarewa zostały przerwane w sposób najmniej spodziewany. Statkiem szarpnęło gwałtownie, omal nie przewaliło na burtę. Zawyły stery żyroskopowe. Studnia przyjęła na moment pozycję poziomego tunelu i znowu wróciła do poprzedniej. Stało się to tak nagle, że Skorupin nie zdołał utrzymać się na szczeblu i spadł na ramiona Czurakowa. Przewrócił mechanika i obaj runęli na Diegtiarewa.

Geolog tylko chrząknął przygnieciony ciężarem dwóch ciał. Zdołał przy tym zaobserwować dwa zjawiska: silne i zupełnie nieprzewidziane pochylenie statku (podobnego nachylenia nie było nawet w strefie hipocentrów) oraz nadzwyczaj lekkie uderzenie ciał Czurakowa i Skorupina.

Czy to przypadkiem nie przejście z czwartej geosfery do jądra Ziemi spowodowało przechył? Diegtiarew nie potrafił znaleźć żadnego innego wyjaśnienia.

Co zaś się tyczy całości karku, Diegtiarew znalazł wyjaśnienie natychmiast: statek przybliżył się do jądra Ziemi tak bardzo, że waga ciał zmalała dwukrotnie. Zmniejszenie wagi nie dało się do tej pory zauważyć, ponieważ dokonało się stopniowo i przyzwyczajali się do tego w miarę posuwania się w dół.

Zjawił się nowy pokarm dla myśli i nieoczekiwanie dla samego siebie Diegtiarew znowu począł myśleć głośno.

– Wydaje mi się czasem – zauważył z góry Wadim, żeście już dawno zbzikowali. A my, słuchając waszego bełkotu, sami jesteśmy bliscy obłądu.

– Mogę milczeć – obraził się geolog. – Ale mil-

czeń trudniej. Myślałem o Walentynie Makarewiczu. Kiedyś czytałem jeden z jego artykułów, w którym się zastanawiał nad tym, jak przeobrazić promienie kosmiczne w atomy potrzebnych nam pierwiastków. Sztuczne wytwarzanie atomów!

– Ja bym teraz mógł docenić tylko jedną ideę: jak zamieniać powietrze w wodę.

Diegtiarew uniósł głowę usiłując dojrzeć Wadima. Zobaczył jedynie kolana Skorupina. Zasłaniały Surkowa całkowicie. W głosie Wadima dźwięczał spokój, bardzo dziwny w sytuacji, w jakiej się znajdował mówiący. Zauważyli to również Andrzej i Paweł. Spoglądali na Wadima w milczeniu.

– Jakże się chce pić – powiedział Wadim oddzielając słowo od słowa i jak by się przysłuchując z uwagą własnemu głosowi. – A my... – siedzimy... – i czekamy... – aż... zechce się nam... pić... jeszcze bardziej...

– Przydałoby mi się coś w rodzaju noża – zwrócił się Diegtiarew do Andrzeja.

Skorupin miał w kieszeni składany scyzoryk. Geolog przysiadł na pokrywie i począł ostrzem zbierać z krawędzi szron.

Zebrał niewiele, może gram, szarej lodowatej masy. Ostrożnie podał scyzoryk Czurakowowi, ten Skorupinowi, a kiedy odrobina lodu znalazła się przed Wadimem, Surkow wziął nóż, patrzył długo nierozumiejącymi oczami na topniejącą odrobinę, na kroplę wody spływającą na krawędź ostrza.

– To dla mnie? – spytał.

Fala, której się spodziewał, ogarnęła go, przygniotła i porwała w kipiela.

Nóż wysunął się z jego palców. Skorupin krzyknął

wystraszony i uchylił się w bok. Nóż tępym końcem uderzył Andrzeja w ramię, odbił się o ścianę, uderzył o szczelbę i ugodził w twarz Diegtiarewa. Ostrze skalczyło geologowi policzek.

– Krew! – krzyknął Czurakow.

– Uważaj na Wadima, na Wadima!

W samą porę. Wadim biegł już po szczelbach do góry. Zanim Andrzej zrozumiał jego zamiar, tamten dopadł już górnego luku i począł się mocować z zamkiem.

– Wadim, stój! – mechanik puścił się w pogoń.

Drogę zagroził mu rozdygotany Paweł. W wąskim przejściu nie od razu mógł go przepuścić, a jednak Andrzej dopadł Wadima. Chwyciwszy go za nogę poczuł, jak gwałtownie mięknie jego ciało. Tym razem promieniowanie podziało błyskawicznie. Wadim poniósł śmierć, zaledwie zdołał wysunąć głowę ponad otwór luku.

19

Diegtiarew przykładął ręcznik do policzka tamując krew. Pod nim, na pokrywie luku, przykryte kocem leżało martwe ciało dowódcy PW-313.

– Idiotyczna sytuacja – mruknął geolog. – Czego by się tu uchwycić? Gdzie się wcisnąć?

Zmęczony stanem na szczelbu, usiadł w hamaku. Nadziei żadnej. Nie można przewidzieć, kiedy się wreszcie skończy to straszne spadanie temperatury w kabinach. Ekipa została żywcem zamurowana w stalowej rurze.

– Mikołaju Mikołajewiczu – przemówił nieoczekiwanie Czurakow – spróbuję zrobić to, co się nie udało

Wadimowi.

– Myślisz o systemie chłodzenia?

– Tak.

– Masz jakiś pomysł?

– Mam. Przełączyć na ślepo.

– Jak to na ślepo? – nie zrozumiał Diegtiarew.

– Przetawić schematu w każdym przekaźniku z osobna nie można. Ale jest inna możliwość, o której nie pomyśleliśmy z Wadimem: przetawić tarcze. Rozumiecie, Mikołaju Mikołajewiczu? Wtedy zmieni się współdziałanie napięć i kierunek prądów w obwodzie. Tarcz jest osiem, nie tak wiele.

– Osiem! – zachnął się uczony. – To przecież na miesiąc roboty.

– Ależ nie na miesiąc. W ciągu tygodnia zrobię, a gdyby tak pomógł przypadek, wystarczy pół godziny. Jestem niezłym mechanikiem, na automatyce troszkę się znam.

Diegtiarew popadł w zadumę. Tygodnia tu, rzecz jasna, nie wytrzymają. Pragnienie pokona ich znacznie wcześniej. Sam Andrzej osłabł tak bardzo, że nie wiadomo, czy podola robocie.

Nie tylko to zresztą gnębiło geologa. Żeby dojść do agregatów, trzeba przede wszystkim minąć magazyn. Co prawda luk prowadzący do agregatów znajduje się tuż obok, lecz w magazynie może panować temperatura tak niska, że zamieni Andrzeja w bryłę lodu, zanim ten sięgnie podłogi.

Odgadłszy myśli geologa Andrzej powiedział:

– Owinę się od stóp do głów. Tyle, że wy i Paweł będziecie się musieli pozbyć swoich materaców i kocy. Zrobię coś w rodzaju skafandra. Zdołam przeskoczyć przez magazyn, choćby tam było, nie wiem jak zim-

no. Trzeba mi tylko sekundy, nie więcej. Przeleczę z luku w luk jak ptak, z zamkniętymi oczami.

– Tak. Ale co cię spotka w agregatowni?

Andrzej zadrżał. Nie pomyślał o tym. Jeżeli i tam panuje taka sama temperatura – wtedy śmierć.

– Agregatownia przylega do silnika – uspokoił Diegtiarewa. – Jeżeli nie jest tam dosyć ciepło, to pewnie można będzie przynajmniej jakoś wytrzymać. Zresztą jakież mamy inne wyjście, Mikołaju Mikołajewiczu?

Z bólem spojrzał na ciało przykryte kocem. Wadim... Któż mógłby pomyśleć, że Wadim wybierze sobie tak marną śmierć.

– Masz rację – zgodził się Diegtiarew – innego wyjścia nie ma.

– Pomóżcie mi się ubrać.

– Teraz? Tak od razu?

– Po cóż odkładać?

Diegtiarew opasał mu materacami tułów, ręce i nogi. W statku nie było sznurków, musieli więc podrzeć na pasy prześcieradło. Głowę owinął geolog Andrzejowi szczelnie, pozostawiając tylko wąziutką szparkę dla oczu.

Ciasnota nie pozwoliła Skorupinowi wziąć udziału w ubieraniu śmiałka. Musiał się z konieczności ograniczyć do roli widza. Patrzył na Czurakowa nieruchomymi oczyma, ten uśmiechał się w odpowiedzi z zażenowaniem.

– Poproszę jeszcze jeden koc na ręce – zwrócił się mechanik do Diegtiarewa. – Ręce będą najważniejsze. Bez nóg, jeśli co do czego, jakoś się dostanę i tarcze poprzestawiam.

Był to już ostatni koc. Należało go rozerwać na po-

łowy. Mocny materiał nie poddawał się, tym bardziej że nie można było szarpnąć z rozmachem, bo przeszkadzały ściany tunelu. Diegtiarew zapomniał, że ma w kieszeni ów fatalny scyzoryk. Wreszcie rozległ się suchy trzask i geolog omal nie zleciał ze szczebla.

Owijając ręce Andrzeja pasami koca zapytał go szep-tem:

– A może lepiej żebym ja, co, Andrzeju? Ja już jestem starszy człowiek...

– Przestańcie dziwaczyć, Mikołaju Mikołajewiczu!
– odpowiedział mechanik. – Automatyka dla was to ciemny las. A zresztą, skoczylibyście z luku w luk?

– Ale to jakoś tak...

– Nie martwcie się o mnie. Do agregatowni dobrnę. Co będzie dalej, nie wiem, ale dojść dojdę. Jestem pewien. Tak trzeba, więc co tu gadać. Jestem gotów. Przenieście Wadima, Mikołaju Mikołajewiczu.

Diegtiarew gwałtownie przycisnął Andrzeja do piersi.

– No, szczęśliwej drogi.

– Teraz odejdźcie.

– Tak, tak, już odchodzę, Andrzeju. Cóż to chcia-łem ci jeszcze powiedzieć... przekłeta pamięć... Ach, wiem! Luk może się nie otworzyć. Z góry naciska powietrze...

– Otworzy się, Mikołaju Mikołajewiczu. Ja już to rozważyłem. Sprawa prosta, zawiasy tak sprężynują, że podniosą nawet słonia razem z powietrzem. W pierwszej chwili powieje na was, to prawda, ale się nie bójcie. Na pewno segment syntezatora od strony tunelu pracuje, ubytek ciepła szybko się uzupełni.

– Co tam my, damy sobie radę. Ale ty... Proszę cię jeżeli cię coś tam zatrzyma, krzycz.

– Zawyję jak syrena.
Andrzej stał nad lukiem szeroko rozkraczywszy nogi.
Odczekał chwilę i zapytał:
– Jesteście na górze?
– Tak! – obcym, ochrypłym głosem odpowiedział
Diegtiarew.

Otwarta pokrywa uderzyła głucho. Przez okrągły otwór, niczym z lufy armatniej, buchnął kłęb pary. W jednej chwili studnia wypełniła się nieprzenikniącą mroźną mgłą, w której utonęła postać Czurakowa, a Skorupin i Diegtiarew zamarli na swoich szczęblach. Diegtiarew doznał wrażenia, jakby go nagiego wyrzuciono na ostry, styczniowy mróz. Szczękął zębami, skulił się, przywarł plecami do ciepłej ściany tunelu i zamknął oczy.

Nie usłyszeli obaj, kiedy po raz drugi trzasnął zamek luku. Minęła wieczność, zanim chłodna mgła poczęła się rozwiewać. Kiedy znowu ukazało się dno studni, Czurakowa już tam nie było.

20

Godziny płynęły leniwie. Diegtiarew zsunął się na dno tunelu i z napięciem patrzył na biały pasek szronu. Miał szaloną ochotę przywrzeć wargami do tej, prawdziwej przecież, wilgoci, lecz się powstrzymał. Za jego plecami stał cicho Skorupin i także nie spuszczał z oczu paseczka szronu.

Znużony Diegtiarew zamykał oczy i wtedy osaczały go widziadła: oto leży martwe ciało Andrzeja na podłodze magazynu... To się przecież mogło stać. Działanie niskich temperatur jest równie szybkie jak wysokich. Z tą różnicą, że w drugim przypadku ciało zamienia

się w popiół, w pierwszym – w bryłę lodu.

Diegtiarew odrzucił myśl o nieszczęśliwym wypadku, ale męczyły go złe przeczucia: próba przestawienia systemu chłodzącego na pewno się nie uda, zginą z pragnienia. Zdawało mu się, że traci świadomość.

Nagle rozległ się głos Skorupina:

– Topi się!

Diegtiarew drgnął i skoczył w kierunku szronu.

– Topi się? – głos Pawła drgał niecierpliwością.

Nie, biały pasek pozostał nie zmieniony. Skorupinowi się przywidziało. Trzeba czekać. Lecz jak długo? Wystarczyło spojrzeć na wyostrzoną, poszarzałą i zwiędłą twarz nawigatora, aby się domyśleć, że chłopiec trzyma się resztkami sił. Diegtiarew był bliski rozpaczy, czuł, że z każdą minutą wola jego słabnie. Na jego oczach giną jeden po drugim ludzie, i to jest okrutniejsze niż największe fizyczne cierpienia.

Wyczerpani, osłabieni do ostatecznych granic zapadli w letarg. Kiedy się obudzili, obwódka szronu znikła. Na jej miejscu perliła się mała kałuża wody. Mgławki blask wilgoci oślepił Diegtiarewa. Obaj nie potrafili się pohamować i krzyknęli z radości.

– Uratowani? – zawołał nieswoim głosem geolog. – Co? Paweł, uratowani?

– Otwierajcie – powiedział cicho Paweł.

– Otwierać?

– Tam jest woda!

– Czekaj!

Geolog zwlekał. Teraz, kiedy życie znowu się do nich uśmiechnęło, nie warto działać pochopnie. A może na dole nie ociepliło się jeszcze wystarczająco? Lepiej poczekać, poczekać.

Jednak mimo skupienia całej siły woli, nie wytrzy-

mał. Otworzył luk.

Z magazynu powiało mrozem, lecz Diegtiarew od razu poczuł, że ten mróz nie niesie już ze sobą śmierci.

Zszedł po drabince pierwszy. Mimo straszego pragnienia skierował kroki w stronę luku agregatowni. Nogi uginały się pod nim, miał zawrót głowy, oładnęła nim przemożna chęć rozciągnięcia się na podłodze, rozrzucenia ramion i nóg, cieszenia się odzyskaną przestrzenią.

...Andrzej leżał twarzą w dół na stercie materaców i kocy, które go chroniły. Dokoła walały się pokrywki otwartych przekazników.

– Andrzej, kochany mój, ocknij się!

Diegtiarew z trudem wcisnął korpus do niskiej komory agregatów, zatarasowanej nieruchomym ciałem mechanika. W porywie wdzięczności chwycił go za ramiona, odwrócił twarzą ku sobie i wydał okrzyk przerażenia: twarz Andrzeja wyglądała jak oblana wrzątkiem. Skóra na czole i policzkach wezbrała wodnistymi bąblami gotowymi pęknąć przy najmniejszym dotyku. Spod zamkniętych powiek sączyła się ropa.

– Andrzej... Andrzej... – szepnął Diegtiarew zanaszając się szlochem – jak się to stało?

Krzętał się wokół mechanika nie wiedząc, co przedsięwziąć i jak mu pomóc. Woda! przypomniał sobie nagle. Tylko woda przywróci Andrzeja do przytomności.

W beczce syntezy stał lód. Skorupin, uzbroiwszy się w śrubokręt (innego narzędzia w pobliżu nie znalazł) zaczął uderzać z wściekłością i łapczywie kruszył zębami odpadające kawałki. Na widok takiej masy wody Diegtiarew poczuł skurcz gardła.

– Poczekaj, z Andrzejem źle...

Wrócił do agregatowni z kawałkami lodu. W ciepłej dłoni lód z wolna topniał i krople wody poczęły kapać na spalone wargi Andrzeja.

Mechanik jęknął i powoli rozwarł powieki. Na Diegtiarewa spojrzwały dwie mętne, przekrwione bryłki – to, co kiedyś było oczyma.

– Andrzeju, to ja. Słyszysz mnie? Andrzeju!

– Mikołaju Mikołajewiczu... Czy wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku, do stu diabłów, wszystko w porządku. Wydostaliśmy się na wolność, teraz już wszystko w porządku.

– Dobrze.

Mechanikiem targał suchy, uporczywy kaszel i w kącikach jego warg pojawiła się krew.

– Sparzyło mnie... I w środku poparzyło... Boli... Co ja wam chciałem powiedzieć... powiedzieć...

– Potem, Andrzeju, potem. Teraz pij.

Andrzej, charcząc i krztusząc się zlizywał językiem z warg krople wilgoci padające ze ściśniętej dłoni geologa.

– Kiedy potem... – powiedział znowu. – Ze mną koniec, Mikołaju...

– Nie pleć!

– Nie myślcie, że się boję. Żal mi Wadima. Bałem się, że nie zdążę... – nowy atak kaszlu przewrócił go znowu na stertę materaców.

Kawałeczki lodu stopniały, Diegtiarew ruszył po nową porcję. Skorupin spał na podłodze, obok syntezatora. Ugasiwszy pragnienie Paweł nie miał dość sił, aby dojść do kabiny odpoczynku.

Andrzej tracił świadomość z każdą minutą. Kiedy przytomniał, mówił, krótkimi, urywanymi zdaniami:

– Chciałem szybciej... Oczy poraziło... Zbyt późno zrozumiałem... co trzeba robić... To odkrycie... Stało się... Ręce nie słuchały...

Rzęziło mu w piersi, zgrzytał zębami z bólu. Jego poparzone ciało było nieruchome, prawie martwe.

– Jesteście... sam? Mikołaju...

– Sam, Andrzeju. Paweł śpi jak zabity. Nie zdążył się nawet porządnie napić. Zawołać go?

– Nie, nie trzeba. Ja tylko wam... Chciałem porzucić statki podziemne. Byłem z wami... z Walentynem Makarewiczem... A teraz bym... na całe życie... mechanikiem.

Pokonawszy nowy atak kaszlu, milczał chwilę, zbierając siły.

– Mam w kieszeni... wydostańcie... – poprosił Andrzej.

Diegtiarew zdrętwiałymi palcami sięgnął do kieszeni jego kombinezonu i wyjął fotografię dziewczyny. Nie od razu poznał w niej żonę Surkowa. Była tu młoda, może siedemnastoletnią dziewczyną, w skromnej szarej sukieneczce.

– Co mam z tym robić, Andrzeju?

– Nie myślcie źle... Mikołaju Mik... Fotografię... w fabryce... po prostu... Oddajcie jej. A Wadim... nie trzeba mówić o Wadimie... Pracujcie teraz do samej powierzchni... A jeśli...

Zmarł nie dokończywszy zdania. Diegtiarew objął rękami kolana i siedział nieruchomo. Było mu zapewne w tej pozycji o wiele bardziej niewygodnie niż w studni, ale nie zwracał na to uwagi. Zapomniał o dręczącym pragnieniu, przestał odczuwać nieznośne dreszcze całego ciała. Twarz jego skamieniała w surowym, niemal drapieżnym wyrazie. Nie czuł już strachu. Śmierć

mechanika zahartowała go. Nic nie potrafi go teraz przemóc, osłabić woli.

Tak zaczęła się siedemdziesiąta doba podróży.

21

Zostali tylko we dwóch, a statek wydał się olbrzymi i pusty. Cztery kabiny, niby piętra porzuconej przez mieszkańców kamienicy, dławiły swoim milczeniem.

Nie rozstawali się nawet na minutę. Razem wchodzili do nadajnika, razem zsuwali się do pulpitów.

Głębokość – cztery tysiące kilometrów. Granicę czwartej geosfery mieli za sobą. Statek wtargnął do jądra Ziemi. Temperatura za ścianami maszyny spadała leniwie. Termometry wskazywały dwa tysiące siedemset dwa stopnie. Wzrastała natomiast gwałtownie intensywność promieniowania Bironta. Instrumenty sygnalizowały ochłodzenie materii.

W kabinach panowała temperatura taka, jak na początku rejsu. Świeciły spokojnie konstelacje lampek sygnałowych. W czterech rzędach płonęły matowe okienka instrumentów. Przybory samopiszące wykreślały wymyślne krzywe – zaszyfrowane świadectwo wszystkiego, co zachodziło dokoła statku.

Diegtiarew siedział w zwykłej pozie, z lekka przygarbiony, z łokciami wspartymi o poręczę i obracał w roztargnieniu pióro. Na odmrożonym czole zbierały się drobne zmarszczki.

Obok usadowił się Skorupin. Nawigator oblizywał spękane wargi, wysłuchiwał szeptu uczonego i spoglądając nań, nie potrafił powstrzymać gorzkiego uśmiechu. Z łysiny geologa plastrami obłaziła skóra, uszy mu spuchły do ogromnych rozmiarów, nos upodobnił

się do olbrzymiej śliwy.

Diegtiarew usiłował zrozumieć przyczynę niedawnego przechylenia statku. Nie ulega wątpliwości, że statkiem potrząsnęło w momencie przejścia z czwartej geosfery do jądra.

Ale dlaczego?

Prądy?

Diegtiarew kiwał głową z niedowierzaniem. Instrumenty były dostatecznie wrażliwe, aby zanotować każdy, najbardziej nieznaczny ruch materii. Ponadto, gdyby istotnie tak objawiło się działanie prądów wewnętrznych, zresztą wbrew zdrowemu rozsądkowi, powinno by targnąć statkiem raz jeszcze przy wychodzeniu z ich orbity. Jednakże drugiego szarpnięcia nie było.

A może PW-313 jeszcze się z prądów nie wyzwolił? Jeśli tak, pozostaje tylko oczekiwanie.

Już dziewiętnastą dobę uczony prowadził obserwacje materii jądra. Mózg elektronowy pracował po dziesięć, dwanaście godzin z rzędu. Paweł pomagał Diegtiarewowi w miarę sił i umiejętności. Pracował niezbyt szybko, ale wszystkie polecenia uczonego wykonywał ze zdumiewającą dokładnością. Jedną miał tylko wadę: łatwo się męczył. Pozbawiła go sił tamta przeklęta studnia. Zdarzało się, że zasypiał w czasie badań. Lecz Diegtiarew nie protestował.

— Śpij, śpij! — machał na Pawła ręką. — Na razie sam sobie poradzę.

Paweł rzucał się na materac rozesłany tuż obok pulpitu. Wodę i koncentraty przenieśli do kabiny, żeby nie tracić czasu i sił na tę sześciometrową drogę. Sił zresztą już tak niewiele. Przejdziesz z jednej kabiny do drugiej i musisz odpocząć od razu na podłodze. Oddech stawał się przyspieszony, osłabione kolana drżały.

Diegtiarew prawie nie wstawał z fotela. Pracował z zimną wytrwałością, bez niepotrzebnego pośpiechu, bez oznak zdenerwowania. Za swoimi plecami wyczuwał obecność Bironta i Czurakowa. Razem z nim wpatrują się w instrumenty, razem z nim rozmyślają nad wynikami obliczeń.

Paweł czuł się nieswojo, kiedy geolog rozmawiał z Birontem i Andrzejem, jak gdyby oni żyli i znajdowali się obok.

Uczony nie pamiętał, aby kiedykolwiek w swoim życiu pracował tak intensywnie. Nie lękał się nowych niebezpieczeństw i nie miał wątpliwości, że go czekają. Postanowił wyrwać przyrodzie jej najskrytsze tajemnice i uczynić je własnością ludzkości.

Wiele udałooby się zrobić znacznie szybciej i lepiej, gdyby żył Biront. Często w badaniach swoich geolog poruszał się po omacku, opierając się jedynie na mętnych domysłach. Nie był specjalistą w zakresie mechaniki atomowej, a wszystko, co zachodziło teraz w jądrze, można wyjaśnić w oparciu o teorię ochładzania materii.

Stopniowo utwierdzał się w przekonaniu, że statek znajdował się w nurcie, który ogarnia całe jądro Ziemi. Mówiąc ściślej – jądro obracało się z inną szybkością niż cała reszta masy ziemskiego globu.

Trzeba było sporo czasu, aby uzyskane wyniki mogły się uszeregować w świadomości. Diegtiarewowi przypa-
dło teraz w udziale odkrywać prawdy przeczące wszelkim uznanym poglądom.

Wzrastające ciśnienie doprowadziło do tego, że na granicy czwartej geosfery i jądra dokonał się tak gwałtowny skok w skali gęstości, że spowodował rozdzielenie geosfer.

— Tak więc, drogi Walentyńie Makarewiczu — zwracał się Diegtiarew do wymagowanego Birona — trzeba, żebyście zrobili podsumowanie. Jądro, zgodnie z tym, coście przewidywali, rzeczywiście stanowi materię oziębioną. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, choć nie potrafię nic dodać do waszych odkryć. Oszczędźcie sami, nie jestem fizykiem atomowym. I w tej chwili nie tyle interesuje mnie przyczyna, ile skutki. Stwierdziłem przerwanie styku między jądrem i geosferą. Uważacie: sty-ku! Dalej zaś rysuje się następujący obraz. Proszę, słuchajcie mnie uważnie! Masa plastyczna, na podobieństwo wód oceanu, podlega przypluwom i odpływom; jest to wpływ naszego satelity — Księżyca. Zaś przyplwy i odpływy, jak wam wiadomo, opóźniają obroty Ziemi. W tej chwili możemy już powiedzieć dokładniej: nie całej Ziemi, ale jedynie jej powłoki, jako że w powłoce skoncentrowana jest jej główna masa. Jądro także podlega hamującemu wpływowi Księżyca, ale nie w tym samym stopniu. W rezultacie otrzymaliśmy różnicę w szybkości obrotów. Różnica ta nie pojawiła się od razu, przybywało jej przez miliardy lat, aż osiągnęła wysokość dziewiętnastu i ośmiu dziesiątych metra na dobę. Jesteście oszołomieni? Coś takiego! Przesunięcie zachodzi wzdłuż obwodu o długości dwóch tysięcy kilometrów. Granice stref przylegają do siebie szczelnie naciskane fantastycznym ciśnieniem dwustu milionów atmosfer i posiadają zróżnicowane wewnętrzne struktury atomowe. Domyślacie się, do czego zmierzam? Na styku stref tam, gdzie dokonuje się przesunięcie, powinny powstawać elektryczne ładunki. Jest rzeczą niewątpliwą, że te właśnie napięcia uczestniczą w poruszaniu jądra. W ten sposób jądro Ziemi jest jakby opasane kablem, po którym

płynie prąd o niewiarygodnej sile. Do tej pory geologowie zajęci byli poszukiwaniami kopalin energetycznych, a wasz pokorny sługa znalazł złoża najczystszej elektrycznej materii. Przyjdzie czas, kiedy ludzie zbudują na granicy czwartej geosfery tysiące elektrowni, moc każdej zaś z nich przewyższy siłę wszystkich istniejących dziś stacji razem wziętych. Warto się więc tutaj potrudzić, nieprawdaż, kolego?

A oto macie i drugą stronę medalu. Przepływ prądu elektrycznego przez przewodniki, zgodnie z prawami fizyki, wywołuje powstawanie magnetycznych linii siły. A co powinien wywoływać ów jedyny przewód wokół jądra? Odpowiadam: magnetyczne pole Ziemi.

Te same prawa fizyki mówią nam coś więcej. Prąd biegnący po jednym przewodzie, może wywołać, indukować prąd w sąsiednim przewodzie. W naszym przypadku tym drugim przewodem będzie astenosfera. Tam właśnie pojawiają się prądy Foucaulta. Biegają one śladami jądra w postaci wichrów i... Aż mi się w głowie mąci. Jednakże nie mam wątpliwości: te wtórne prądy usiłują powlec za sobą materię astenosfery, to znaczy tworzą w niej ruchy pionowe i poziome, powodujące przesuwanie się kontynentów.

Rozmyślając głośno Diegtiarew nie przerywał badań i obliczeń. Skorupin zamierał w oczekiwaniu, że uczony się za chwilę pomyli, pomiesza liczby i fakty. Lecz nic podobnego nie zaszło. Paweł uśmiechał się, kręcił głową i sam powracał do wyliczeń powierzonych mu przez geologa. Od czasu do czasu wysłuchiwał rozmyślań Diegtiarewa, przyswajał sobie zawartą w nich wiedzę. Jak to jest możliwe, aby ciśnienie powodowało przesunięcia? Wiadomo, że dwa plasterki blachy, zwarte ze sobą pod wysokim ciśnieniem, spiekają się w jeden,

jednolity kawałek metalu. Lecz jakże sobie wyobrazić coś zupełnie odwrotnego, kiedy ciśnienie zmusza sprasowany metal do rozdzielania się na osobne części?

Co zaś tyczy Diegtiarewa, ten nie przejmował się podobnymi niekonsekwencjami. Poświęcił teraz całą uwagę promieniowaniu warstwy granicznej między jądrem i czwartą geosferą.

22

Diegtiarew zszedł do kabiny dowodzenia i zajął miejsce sternika. Z łatwością odnalazł maleńki, zielony guziczek i bez wahania nacisnął go. Statek się zatrzymał.

Z góry spadł, jak kamień, wystraszony Skorupin.

– Co się stało, Mikołaju Mikołajewiczu? – zapytał.

– Prawdę powiedziawszy nic, Pawle Ignatjewiczu. Postoimy chwilkę na miejscu. Muszę przeprowadzić kilka pomiarów w strefie przesunięcia. Pozostała już za nami dość daleko, jeżeli będziemy jechać, zostanie jeszcze dalej. Tak więc nie masz się czego obawiać, Pawle, wszystko w porządku.

Cztery doby, aż do czasu, kiedy uczony zebrał potrzebny materiał, statek stał nieruchomo. Przez cztery doby Diegtiarew robił wrażenie, jak gdyby nie dostrzegł wlepionych w siebie, smutnych oczu nawigatora.

Uczony pracował. Po upływie czwartej doby ustąpił. Czuł oczywiście błagalne spojrzenia Skorupina, lecz świadomość powinności była silniejsza niż litość. Zresztą i jemu było trudno znieść ten postój, który odwlekał powrót na powierzchnię o cztery długie doby.

Statek znowu ruszył w drogę i geolog rozkazał Skorupinowi :

– Włączaj nadajnik.

Całą godzinę Diegtiarew szczegółowo opisywał rezultaty ostatnich badań. Tajemnica magnetyzmu ziemskiego została odkryta. Charakter sił przesuwających kontynenty – wyjaśniony.

Zaledwie skończyli nadawanie, zamigotała lampka indykatora.

– Stacja na odbiorze! – krzyknął Paweł nie wierząc własnym oczom.

-- ...prawie trzy miesiące nie dajecie o sobie znać – usłyszeli głos Leny. – Wszystkie stacje sejsmiczne łączności ultradźwiękowej poszukują promienia waszego nadajnika i nie mogą znaleźć. Czy w dalszym ciągu idziecie w głąb?

A teraz – po krótkiej pauzie uprzedził spiker – słuchajcie nas, nawigatorze statku PW-313, Pawle Skorupin. Będzie rozmawiała z wami Tania Jegorowa...

– Tania! – Paweł rozpaczliwie obejrzał się na Diegtiarewa.

Potem stało się to, czego należało się spodziewać: żmijka indykatora zamarła i przekształciła się w linię prostą. Promień stacji przeskoczył bokiem, zgubiwszy się w bezkresnych masywach. Nadaremnie Paweł przywoływał na pomoc całe swoje znawstwo. Nie udało mu się złowić nawet wtórnego odbicia – echa audycji. Rozpaczliwie kręcił gałkami, trzaskał przełącznikami.

– To nic, Pawełku – usiłował uspokoić go Diegtiarew – nie słyszysz Tani, ale ona w tej chwili mówi do ciebie, a to już coś przecież znaczy. Czyż nie możesz jej sobie wyobrazić przy mikrofonie? O czym ona mówi, przecież także nie trudno się domyśleć, słowo honoru...

Chichocząc Diegtiarew żartobliwie szturchnął Skoru-

pina w bok. Paweł próbował się uśmiechnąć i usta wykrzywiły mu się bolesnym grymasem.

Diegtiarew poczuł się również bardzo nieswojo. Chętnie by się z kimś posprzeczał, na kogoś zwałił winę. Cóż to się dzieje? Na górze nie odebrano ani jednego komunikatu od momentu, kiedy PW-313 minął strefę hipocentrów. Wszystko, czego dokonał on i Biront, nie wyszło poza ściany statku, pozostało martwą taśmą magnetofonową nawiniętą na krążek.

Nad statkiem wisiał pułap grubości czterech tysięcy kilometrów, lecz do środka Ziemi pozostało jeszcze dwa tysiące trzysta. Potem nastąpi nieskończenie długa droga do powierzchni. Kto wie, jakie nowe próby statek będzie musiał przejść?

Cóż więc teraz pozostaje czynić?

Żyć!

Wydostać się stąd za wszelką cenę. Zanieść ludziom zdobyte doświadczenia, pomóc im w osiągnięciu jądra Ziemi bez nowych ofiar.

23

W ciągu paru ostatnich dni znacznie się zmniejszyła siła ciężenia, został zahamowany wzrost gęstości materii. Ciśnienie, osiągnąwszy dwieście milionów atmosfer, pozostawało nie zmienione.

— Patrz, Pawle, jakie są cuda na świecie — zwrócił się Diegtiarew do nawigatora. — Im dalej od powierzchni, tym mniejsze przyciąganie, tak jak im dalej od Ziemi, gdzie tu sprawiedliwość?

— Gdzie? — z rozjaśnionymi oczyma pytał także Paweł.

Diegtiarew podniósł palec i rzekł pouczająco:

– Na górze.

Tak więc jądro obraca się szybciej niż powłoka. Wyjaśniliśmy przyczynę wielu zjawisk, Diegtiarew zajął się teraz badaniem właściwości fizycznych samego jądra. Było podobne do olbrzymiej, naładowanej elektrycznością kuli. Temperatura dodatnia zastygła na wysokości dwu tysięcy stopni. Ujemna zaś... Trudno nie wierzyć instrumentom, zresztą mózg elektronowy daje wynik identyczny: po tamtej stronie ścian pojazdu mróz osiągnął półtora tysiąca stopni!

Jakaż więc jest w tych warunkach atomowa struktura materii?

Do środka Ziemi pozostało zaledwie osiemnaście dni drogi. Statek i wszystko, co się w nim znajdowało, ważyło mniej niżby ważyło na Księżycu.

Wstając z fotela, aby rozprostować kości, geolog lekkim ruchem nóg podrzucał swoje potężne ciało do sufitu kabiny. Tam, uchwyciwszy się szczebła, wisiał na jednej ręce, a potem niespodziewanie spadał na Skorupina i zaczynał dokazywać. Paweł opędział się leniwie i wyrozumiale, choć także nabierał humoru. Bawił go widok Diegtiarewa wbiegającego błyskawicznie po szczebłach, na których jak na szwedzkiej drabince wyczyniał podziwu godne akrobacje.

– Będzie jeszcze lżej – mówił Diegtiarew. – Astronauci na Księżycu to hipopotamy w porównaniu z nami.

– Ale za to w drodze z Ziemi na Księżyc nic nie ważą – dodał Pasza.

– I tego tu doświadczymy. Przed nami środek Ziemi.

– Racja, zupełnie zapomniałem.

– Otóż to, młody człowieku.

Zdawało się, że jądro nie zagraża pogodnemu nastrojowi Skorupina i Diegtiarewa, lecz geolog wyostrzył czujność. Poznał już sztukę kierowania statkiem. W poprzednich rejsach zastępował niekiedy sternika. Mimo to obawiał się nieprzewidzianych awarii w automatyce. Wtedy byłiby zupełnie bezradni.

Uczony wiedział ponadto, że wewnątrz Ziemi może w każdej chwili zgotować im niespodziankę podobną strefie hipocentrow. Zmniejszanie siły ciężenia doprowadziło do zahamowania wzrostu ciśnienia. Czy nie spowoduje to kolejnej zmiany jakościowej we właściwościach materii? Diegtiarew dopuszczał taką możliwość. Gdyby się znowu pokazały struktury krystaliczne, oznaczałoby to taki skok jak stąd do litosfery! Nie, zamrożona materia, nagle wyzwolona spod ciśnienia, zadziwi czymś takim, czego przewidzieć niepodobna.

Uczony wybiegał myślą to w dół, ku centrum, to znowu w górę, ku granicy jądra i jeszcze wyżej, tam gdzie pływają w oceanie bazaltu bryły kontynentów.

Teraz Diegtiarew mógł już sobie dokładnie wyobrazić proces narodzin planety. Z matematyczną dokładnością potrafił określić charakter i wielkość sił powodujących złożone transfiguracje górotwórcze, które spowodowały a następnie zniweczyły epokę lodowcową, zamieniły miejscami bieguny magnetyczne i geograficzne...

Nadszedł czas podsumowania dokonań. W ciszy myślało się świetnie, więc Diegtiarew zapisywał stroniczkę po stroniczce w swoim dzienniku uwag. Niekiedy podnosił głowę i spoglądał na Pawła zagadkowym i odrobinną beczelnym wzrokiem i uniósłszy groźnie ostrze pióra, mówił:

– Kontynent przypomina górę lodową, czyż nie tak?

Teraz sobie wyobraź, że tę górę odrobinę podniosło, powiedzmy pięć kilometrów. Cóż otrzymamy?

– Nie wiem, Mikołaju Mikołajewiczu.

– Otrzymamy epokę lodowcową, Pawle Igniatjewiczu.

Wyobraź sobie, mój przyjacielu, że kabel opasujący jądro został unieruchomiony na podobieństwo szpulki albo wirnika motoru elektrycznego. Do czego to doprowadzi? – nie czekając na odpowiedź Pawła, reasumował: – Do natychmiastowego przemieszczenia biegunów geograficznych, a razem z nimi także magnetycznych.

24

Uniwersalnym kluczem do uogólnień matematycznych pozostawała teoria ochładzania. Pomogła ona geologowi zrozumieć prawdziwe znaczenie procesów zachodzących we wnętrzu Ziemi.

Tu, jak w całej przyrodzie, toczyła się gwałtowna walka przeciwieństw.

W najskrytszych, nauce jeszcze nie znanych zakamarkach jądra atomowego wybuchają promienie grawitacyjnego pola. Promienie te zbliżają ku sobie rozproszone w przestrzeni kosmicznej płytki materii. Z pyłu kosmicznego rodzą się nowe galaktyki, powstają gwiazdy i planety.

Powoli, w ciągu miliardów wieków trwa scalanie oddalonych od siebie, być może, o tysiące kilometrów cząstek elementarnych w jednolitą masę materii. Uparcie i niezachwianie kontynuuje swoją robotę siła

wszechświatowego ciśnienia.

Wraz ze wzrostem gęstości materii podnosi się ciśnienie warstw zewnętrznych na wewnętrzne. We wnętrzu nowo narodzonych gwiazd i planet zaczyna się proces deformacji molekuł i atomów, a elektrony z oddalonych orbit pod wpływem ciśnienia przeskakują na wewnętrzne. Następuje moment, kiedy zbliżenie jądra do elektronu jest aż tak niebezpieczne, że powoduje wybuch atomu. Wyzwolona energia zamienia się w ciepło i usiłuje rozproszyć, rozsiać materię w przestrzeni.

W ten sposób siły wzajemnego przyciągania rodzą jednocześnie siłę wzajemnego odpychania.

Walka przeciwieństw...

Wybuchy o niebywalej sile wstrząsają naszym słońcem. I oto jesteśmy świadkami dokonujących się w kosmosie katastrof: nagle pojawia się na nieboskłonie nowa gwiazda. Ale to nie jest nowa gwiazda, to daleki wybuch, przemiana obcego słońca w płomienną mgławicę. Lecz we wnętrzu stygnącej planety walka przeciwieństw może przyjąć inną formę. Elektrony w zderzeniu z jądrem, jak zawsze, doprowadzają do rozpadu jądra, lecz nie następuje tu wybuch, materia nie ma miejsca na rozlot, nie wystarcza jej sił, aby rozerwać naciskającą powłokę zewnętrzną. Wtedy ta część energii, która w innych warunkach powinna się przemienić w ciepło, zostaje przekształcona w promieniowanie.

Ustał ruch atomów i elektronów, to znaczy, zgodnie z ustalonymi poglądami, temperatura materii spada i następuje zamrożenie.

Lecz z drugiej strony trwa potężne promieniowanie, które w każdej chwili może stać się ciepłem — wystarczy, gdy na swojej drodze spotka ocalały atom.

Taki właśnie mróz współistnieje obok ciepła w

czwartej geosferze i w jądrze Ziemi.

Diegtiarew był pewny, że w tej chwili statek przebija warstwy, w których atomy zdecydowanie zakończyły swoją egzystencję. Nie było więcej ani elektronów, ani jąder. Po wielokrotnych pomiarach geolog zdołał wyjaśnić, iż dokoła statku rozpościera się pokład z cząstek naładowanych neutralnie. Takimi cząsteczkami mogły być jedynie neutrony.

A promieniowanie?

Czymże jest promieniowanie? Czy i tym razem rację miał Biront przewidując w nim potok neutralny?

Jeżeli tak, wówczas proces powstawania minerałów przedstawia się następująco:

Na granicy (zakładając ruch odwrotny od centrum Ziemi do jej powierzchni) neutrony zmieniają się częściowo w protony. Jednocześnie zaś, dla przeciwwagi energii neutralnej, pojawiają się elektrony.

Spadek ciśnienia w czwartej geosferze przyspiesza powstawanie atomów. Początkowo są to atomy najprostsze, składające się z jednego protonu i jednego elektronu, to znaczy atomy wodoru. W miarę oddalania się od granicy jądra Ziemi część z nich stopniowo przeobraża się w atomy helu, tlenu i węgla. Oczywiście nie jest to owa gwałtowna synteza lekkich jąder w ciężkie, której astronomowie doszukują się w atmosferze słońca, ani ta, którą sztucznie udało się osiągnąć w reaktorach termojądrowych. We wnętrzu planety dokonuje się ona biliony razy wolniej.

Im dalej od centrum, tym ciśnienie jest słabsze. Pojawiają się warunki dla powstawania pierwiastków cięższych. Łańcuszek wydłuża się nieustannie. Promieniowanie stopniowo traci swoją moc. Z neutronów, niczym z maleńkich cegiełek, powstają zrazu budowy

najprostsze – protony, neutrony i elektrony, potem coraz bardziej złożone – molekuly związków chemicznych.

Związki chemiczne powstają na granicy czwartej geosfery. We wnętrzu trzeciej geosfery moc promieniowania wydatnie spada, lecz jest ono jeszcze dostatecznie silne, by nie wypuścić ze swoich objęć statku PW-313.

Dopiero tam, gdzie związki chemiczne poczynają nawarstwiać się w struktury krystaliczne, promieniowanie gaśnie do tego stopnia, że nie umiano go do tej pory zauważyć z wnętrza litosferycznych statków podziemnych.

25

Ukończywszy wędrówkę myśli z centrum Ziemi do jej powierzchni, Diegtiarew znowu pochylił się nad dziennikiem. Nagle ręka jego drgnęła pozostawiając na karcie zygzakowaty kleks.

– Ach, zangezur-zanzibar!

Uniósł rękę zaciskając pióro. Palce jego drżały, ale tak nieznacznie, że tego w pierwszej chwili nie zauważył. Drżenie słabło i narastało znowu. Zastanowiło to uczonego.

„Nerwy – zdecydował. – Wreszcie wzięło i mnie...”

Zamknął dziennik i przeciągnął się z wysiłkiem. Zapragnął kąpieli. Z jakąż rozkoszą zanurzyłyby się w ciepłej, łaskoczącej wodzie, wyciągnąłby się w wannie i zamknął oczy...

Dom, spokój, rodzina... Usiadłby teraz przy Kati, przytuliłby ją do siebie i wypowiedział wszystko, co się uzbierało w jego duszy. Pospacerowałyby po mie-

szkaniu, nakręciłby numer wizjofonu do córki z Brataska, porozmawiałby z nią... Przejrzałby świeżą pocztę... Najważniejsza rzecz – spokój. Wyzwolić się od tego ustawicznego naprężenia nerwów.

– Ech, lata lata – westchnął uczony. – Wkrótce nie zechce człowiek nawet wychodzić z domu. Wnuki... Przecież właściwie jestem już dziaduniem...

Wydał wargi i nachmurzył się, jakby mu kto zrobił bardzo nieprzyjemną uwagę. Nigdy dotychczas myślał o starości nie była tak przykra. Tyle ma zaczętych prac. A dokonał tak mało! Jego odkrycia podobne są do szkiców artysty-malarza. Żeby powstał prawdziwy obraz, trzeba się potrudzić, potrudzić...

Nigdy się nie zastanawiał, ile życia ma za sobą, a ile przed sobą. Nagłe drganie palców nie przstraszyło go bynajmniej, ale wyprowadziło z równowagi.

– Co za bzdury płaczą mi się dziś po głowie? – mruknął. – Trzeba się chyba zdrzemnąć, ot co.

Zbudził go śmiech. Otworzył oczy i ujrzał Skorupina siedzącego na materacu obok. Przewalając się z boku na bok nawigator nie mógł opanować wesołego chichotu.

– Co się stało, Pawle?

Skorupin umilkł nagle i spojrzał na Diegtiarewa zdumiony.

– Z czego się śmiejesz? Przyśniło ci się co?

Strapiony nawigator położył się śpiesznie i nakrył głowę kocem. Sen pierzchnął. Diegtiarew począł nasłuchiwać. W kabinach panowała cisza, jeżeli nie brać w rachubę spokojnego dygotu silnika.

Instynktowne przecucie bliskiego niebezpieczeństwa poderwało Diegtiarewa z posłania. Wyprostował się i poczuł nerwowe drżenie kolan. Tu, w pobliżu

środku Ziemi, ciało jest niezmiernie lekkie, a nogi przygniata ciężar ogromny.

Uczony stał, wpatrzony w przestrzeń i zaśluchany w ciszę. Co się tu dzieje? Czyżby znów nerwy? Nie ma w tym nic dziwnego. Lecz umysł zachowuje jasność, Diegtiarew czuje się normalnie. Uspokoił się dopiero w fotelu. Pióro poczęło biegać po papierze. Postanowił zająć się obliczaniem średniej gęstości kuli ziemskiej, miał przecież do swojej dyspozycji nie przypuszczenia, lecz rzeczywistość, dopiero co zmierzoną gęstość jądra.

W obliczeniach pomagał mu Skorupin. Wyspany, rzucił się do roboty z taką pasją, jak gdyby w określeniu średniej gęstości Ziemi widział cały sens życia.

Rezultat obliczeń był nieoczekiwany. Średnia gęstość kuli ziemskiej była o jedną trzecią wyższa od znanej dotychczas naukowemu światu. Obliczenia, dokonywane na powierzchni, nie budziły wątpliwości, potwierdzone najnowszymi badaniami astronomicznymi z powierzchni Księżyca. A więc sekretu różnicy szukać należy we własnym rachunku.

Skontrolowali wynik raz jeszcze, nie była to zresztą praca nazbyt skomplikowana. Mózg elektronowy gwarantował dokładność. Rezultat pozostał niezmieniony, dokładniejszy jeszcze, bo obejmował osiem cyfr po przecinku.

Diegtiarew się zamyślił.

– Ach, zangezur-zanzibar! – krzyknął. – Czyż nie oczekuje nas jeszcze gwałtowny spadek gęstości? Ale do centrum został nam kawałek drogi, głupie półtora tysiąca kilometrów.

Geolog usiłuje przewidzieć, jaki może być spadek gęstości, i w zafrasowaniu drapie łysinę. Tylko natychmiastowe wejście w materię płynną może uratować

sytuację. Jednakże analizatory sejsmiczne przeszukują jądro na trzysta kilometrów w głąb (co się równa trzem dobom jazdy) i nie sygnalizują żadnych zmian w fizycznych właściwościach materii.

– A może w jądrze panuje pustka jak w zgniłym orzechu?

– W zgniłym orzechu?

Skorupina znowu opanował paroksyzm śmiechu. Odrzucił głowę, na szyi nabrzmiały postronki żył. Geolog patrzy w skupieniu na Pawła i robi mu się także wesoło. Zaraża go szaleńczy, niepowstrzymany chichot. Śmieją się do łez, do kresu sił. Ich głosy odbijają się echem w pustych kabinach i obaj odnoszą wrażenie, że śmieją się ściany, drgają pulpity i instrumenty, że silnik zmienił ton, gazowa struga grzechocze w nim jak ochrypły, starczy śmiech. Bor popiskuje cienko i przerażliwie.

Po raz pierwszy od wejścia na pokład statku Diegtiarew czuje strach. Pragnie dokądś uciekać, biec bez oglądania się wstecz, niczego nie widzieć, nie słyszeć. Utrata zmysłów to perspektywa stokroć straszniejsza niż śmierć.

Obłąd zniweczy wszystko, całą wykonaną robotę.

Wreszcie udaje mu się zdławić śmiech, lecz bolesne skurcze w żołądku długo jeszcze wstrząsają jego ciałem. Minie dobry kwadrans, zanim Diegtiarew będzie zdolny do wydania pierwszego artykułowanego dźwięku.

– Paweł, dosyć!

Skorupin powoli osuwa się na podłogę. Jego twarz obleka bladeść, tułowiem wstrząsa czkawka. Diegtiarew chce przyjść nawigatorowi z pomocą, lecz w tejże chwili opada na fotel.

– Nogi!

Nie może ustać na nogach... A przecież ciało waży już ledwo odrobinę. Co się więc dzieje z nogami?

Dobrnął do Pawła na czworakach, odciągnął go pod ścianę, na materac. Teraz leżą obok siebie i oddychają ciężko, jakby przepłynęli szeroką rzekę i wydostali się na brzeg.

– Co się z wami dzieje, Mikołaju Mikołajewiczu? – pyta Paweł nie otwierając oczu.

– Zdaje się, że to nerwy.

– A tyle jeszcze mamy drogi... Co będzie, jeżeli i my... – Paweł nie odpowiada i otwiera oczy. Jego źrenice są rozszerzone i nieruchome.

– Nie myśl o tym.

– Na mnie tam czeka Tania, Mikołaju Mikołajewiczu.

– No więc myśl o Tani. Zaciśnij szczęki i myśl. Wyobraź sobie, jak wychodzimy ze statku, jak nas witają i jak znowu kiedyś wyruszymy w podziemną drogę.

Czkawka nie przechodzi, Paweł siadł i sięgnął po bańkę z wodą. Diegtiarew myślał o swoich nogach. Czy utrzymają go, jeżeli teraz wstanie? Powietrze w kabine nie przesycone jest jakby drobnym, suchym pyłem. Ale skąd pył? Aparaty podtrzymują normalną wilgotność powietrza i oczyszczają je nieustannie.

Górze wzięło przyzwyczajenie do chłodnego analizowania zdarzeń. Diegtiarew doszedł do wniosku, że między histerycznym śmiechem Skorupina i stanem swoich nóg istnieje jakiś związek. Należałoby wyjaśnić, jakiemu działaniu ulegali obaj z Pawłem.

Geolog pomyślał z przeraźliwym chłodem w sercu o promieniowaniu. Jak można było o nim zapomnieć? W fotelu Bironta siedzi teraz Paweł i na żądanie Dieg-

tiarewa odczytuje wskazania instrumentów. Uczony nie widzi ani liczników, ani dozymetrów – stoi po drugiej ich stronie.

Pragnąc spojrzeć na dozymetry, Diegtiarew wstał i w tejże chwili upadł twarzą w dół... Długo leżał bez ruchu, ogłuszony nie tyle mocą upadku – uderzenie było prawie bezbolesne – ile świadomością nieszczęścia, co do którego nie miał już najmniejszej wątpliwości.

Skorupin siedział jak porażony.

– Co to?... Co wam jest, Mikołaju Mikołajewiczu? – krzyknął.

– Drobnostka – geolog odwrócił się na plecy, usiadł i dotknął kolan. – Zdarzało mi się coś takiego jeszcze w dzieciństwie – skłamał. – To dziedziczne. Sprawa jabłek kolanowych. To pomału minie. Nie zwracaj uwagi.

Z tego miejsca, gdzie teraz siedział Diegtiarew, dozymetry były już widoczne. Pod każdym z ośmiu liczników jaśniały żłowrogie, rubinowe gwiazdeczki, zaś strzałki na skalach wskazywały takie natężenie radiacji we wnętrzu kabiny, że łysina geologa pokryła się zimnym potem.

Ściany nie zabezpieczały już przed śmiertcionośnym działaniem promieni. Do wnętrza statku weszła zdecydowanie śmierć. Diegtiarew porwał się w stronę luku prowadzącego do kabiny dowodzenia, aby zatrzymać statek. Ale w tejże chwili zawstydził się swojej nagłej słabości.

Zatrzymać? Po co?

Za późno...

Już tylko sam...

Diegtiarew szczerzej owinał się kocem. Miał dre-
szcze. Siedział w fotelu i nisko pochylony nad pulpi-
tem, opierając się oń piersiami, z trudem zapisywał li-
nijkę po linijce. Stawiał litery koślawe, olbrzymie, to
zachodzące na siebie, to znów rozsunięte. Usta miał
rozwarłe, oddech urywany i gorący.

Zostałem sam — pisał uczony. — Żadnej nadziei.
Nogi i prawa ręka sparaliżowane. Pisać coraz trudniej, w
piersi płonie ogień, myśli się rwą.... lecz jeszcze żyję...

Pióro wysunęło się z drętwiejących palców. Ręka
ociężała chciała je ująć. Zadanie ponad siły.

Statek wszedł w strefę zmniejszonej gęstości. W ją-
drze Ziemi znajduje się jeszcze jedno jądro. Gęstość
materii znacznie spadła i jest nadzwyczaj niska, rów-
na gęstości atmosfery na poziomie morza. Jej skład...

Diegtiarew stracił przytomność. Chronometr odmie-
rzył dziesięć godzin, zanim znowu otworzył oczy. Wy-
dawało mu się, że zamroczenie trwało jeden moment.
Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej.

...jej skład stanowi dla mnie zagadkę. Mam wraże-
nie, że i tym razem Biront przewidywał słusznie.
Wewnętrzne jądro stanowi zapewne antymateria. Do-
koła antyprotonów obracają się dodatnio naładowane
elektrony. Jak się to dokonuje? Prawdopodobnie w re-
zultacie przemiany w nową wartość na granicy
twardego jądra... Nie wiem. Upewniłem się tylko,
że tu powstaje promieniowanie odkryte przez Biron-
ta. Statek znajdzie się wkrótce w jego hipocentrum.
Materia się rozpada, przyjmuje jakąś formę elemen-
tarną. Lecz proces ten jest ogromnie zwolniony. Co
go powoduje, także nie mogę wyjaśnić. Rad jestem na
razie z jednego — powolność procesu ratuje statek

przed unicestwieniem. Statek walczy.., Znajduje się pośrodku zimnego słońca...

Zimne słońce!

Diegtiarew zaczął się śmiać bezdźwięcznie, szeroko otwierając usta. Ciałem jego wstrząsnęły konwulsyjne drgawki. Minęło sporo czasu, zanim udało mu się pokonać ich pierwszy atak. Nie mógł dłużej pisać. Siedział opuściwszy głowę na piersi, czasem wzdygał się i oglądał dokoła.

Pióro znowu wypadło z palców. Rękę chwycił kurcz. Diegtiarew syknął z bólu, począł ją zginać w łokciu i rozprostowywać. Raz jeszcze udało mu się zwyciężyć atakujący go paraliż. I choć promieniowanie z całą bezwzględnością czyniło swoje, Diegtiarew wywalczał każdą godzinę, każdą minutę życia.

Ale cóż mogły zmienić minuty?

W podobnych wypadkach ludzie przywołują śmierć jako wybawicielkę od niezmiernych cierpień i oczekują pokornie jej niechybnego przyjścia. Jednakże w Diegtiarewie było coś nieporównanie silniejszego niż zwykła wola życia. Statek zbliżał się do środka Ziemi. Pozostało tylko trzy doby. Geolog łowił wyostrzonym słuchem odgłosy pracujących maszyn. Automaty działały niezmiernie i tylko ster żyroskopowy przejawiał coraz mocniejsze wahania. Piórko kierunkowskazu, zamiast wykreślać linię prostą, rysowało krzywą falistą, pozbawioną wszelkich prawidłowości.

Zachowanie się żyroskopu było zupełnie zrozumiałe. Ciężar prawie zniknął, linie pionowe przestały istnieć. Mechanizmy PW-313 nie były przygotowane do pracy w takich warunkach.

Kiedy statek dostanie się do samego środka, zupełnie straci kierunek i zacznie się kręcić w miejscu i opi-

sywać zamknięte elipsy. Bez interwencji człowieka nie wyrwie się z przestrzeni pozbawionej ciężenia.

Dlatego Diegtiarew powinien wytrzymać jeszcze trzy doby. Musi wytrzymać!

Jeszcze trzy doby...

W normalnym życiu jest to znikoma chwila, w walce – cała wieczność. Czaszkę zalewa roztopiony ołów, a ciało jest jakby pogrążone we wrzątku. Lewa ręka dokucza nieznośnie. Oddech stał się ciężki, astmatyczny. Skąd czerpać siły w tej straszliwej walce? Trzy doby... Cała wieczność...

Wzrok geologa zatrzymuję się na maleńkim, okrągłym pudełeczku – to było wszystko, co zostało po Pawle. Pudełeczko leżało na pulpicie samotnie, tuż przed fotelem, w którym niedawno jeszcze siedział nawigator. Na połyskującej powierzchni pulpitu widać tylko jego odbicie...

– Tania – przemówił Diegtiarew do pudełeczka – zostaliśmy tylko We dwoje. Nigdy cię nie widziałem, ale ja cię znam. Jesteś dobrą dziewczyną, masz pewnie czułe serce. Pomóż mi, Taniu.

Wsparł się łokciem lewego ramienia o poręcz fotela. Wystarczył drobny wysiłek, by jego ciało, ważące do niedawna osiemdziesiąt dziewięć kilogramów, uniosło się nad pulpitem jak puch. Przewrócił się i począł padać bokiem. Spadanie trwało półtorej minuty. Zetknięcie z instrumentami było prawie niewyczuwalne. Znowu uniósł się nad pulpitem, lecz zdążył się odbić ruchem ramienia i skierować w stronę pudełeczka. Dwumetrową odległość pokonywał tak długo, że w tym czasie można by bez pośpiechu obejść dokoła Plac Czerwony.

Nieczułe palce długo chwyciły gładkie, wykonane

z masy plastycznej pudełeczko. Od natężenia wystąpiły mu na czoło grube krople potu. Jeszcze jeden wysiłek – i straci przytomność. Lecz się nie poddał, nie mógł sobie na to pozwolić.

Umieściwszy pudełeczko w bocznej kieszeni kombinezonu, odpoczął i nabrał sił, po czym odepchnął się od pulpitu i opadł na podłogę obok drabinki. Teraz musi wejść po szczeblach. Gdyby ważył odrobinę więcej, byłby to trud nie do pokonania. Lecz jego ciało ważyło kilogram. Nieczułymi, zgiętymi palcami zahaczał o metalowe szczeble i odpychając się lekko, posuwał ku otworowi luku. Wreszcie dobrnął do fotela nawigatora. Założenie taśmy na magnetofonie kosztowało go niemało trudu.

„Jak się masz, Pawełku!”

Diegtiarew skulił się i jęknął: razem z głosem Tani wtargnął do kabiny tamten, podksiężycowy świat: głosy ludzi, szum ulic, szelest listowia, szcęk otwieranych drzwi. Było to jak dotknięcie kochanych rąk, zapomniana pieszczota, spojrzanie kochanych oczu.

A więc jestem na Księżycu. Wyobrażasz sobie, jak się denerwowałam wychodząc z raketoplanu? Bardziej niż w czasie startu. I do tej pory nie mogę sobie uświadomić, że nie jestem już na Ziemi i że rozdziela nas tak ogromna przestrzeń...

Uczony zamknął oczy, przechylił głowę na piersi i wsłuchiwał się w głos dziewczyny. Lecz słyszał w tej chwili głos innej: nie taki dźwięczny, ale miękki, kochany. Katia odrobinę się jękała, dlatego każde jej zdanie wyrażało treść wzruszającą, pełną niewypowiedzianych uczuć i pragnień.

Tania zaśpiewała i Diegtiarew boleśnie jęknął. Pieśń przyszła z daleka. Gdzieś tam, w kosmicznej przestrze-

ni, której nie ma końca ni kresu, sunie po wiecznej orbicie oświetlony słonecznym blaskiem Księżyc. Tam śpiewa Tania. Diegtiarew widzi dziewczynę z jasnym warkoczem przerzuconym przez pierś. Idzie po wilgotnej od rosy trawie, jej nogi są bose i zakurzone. Katia, wychowana wśród uralskich lasów, była wiernym towarzyszem wypraw Diegtiarewa, aż do czasu, kiedy przyszły na świat dzieci. Odtąd udziałem jej było już tylko oczekiwanie jego powrotów.

Teraz czeka również...

Statek zbliża się do środka Ziemi. Idzie coraz szybciej. Pędzi z szybkością elektromobilu. Bor próżnuje, jest niepotrzebny, został wyłączony przez automaty. Wzrasta natomiast ciśnienie na urządzenia wytwarzające pole zabezpieczające.

Diegtiarew, już uspokojony, obserwuje z fotela, jak ku polu magnetoplazmowemu zmierzają już nie miliony, ale setki milionów, miliardy amperów. Taki wzrost natężenia prądu może doprowadzić do tego, że statek wybuchnie na podobieństwo kulistego pioruna.

Pola nie można wyłączyć, choć ciśnienie zewnętrzne już nie zagraża całości korpusu. Istnieje teraz inny rodzaj niebezpieczeństwa. Antymateria (coś w tym rodzaju albo naprawdę antymateria) pochłania elektrony i protony pola zabezpieczającego z zachłannością zgoła niezwykłą. Bezpośrednie zetknięcie z korpusem statku doprowadzi do tego, że statek wraz z zawartością rozplynie się w otaczających warstwach i zniknie bez śladu.



Diegtiarew już drugą dobę nie opuszcza fotela. Paraliż zawładnął już nie tylko rękami i nogami, podkłada się do płuc i serca. Każdy oddech przeszywa płuca bólem. Serce, zamienione w ciężką, wyczuwalną bryłkę, pracuje z wysiłkiem. Coraz częściej zdarzają się zamroczenia. Sparaliżowane jelita nie przyjmują ani pożywienia, ani wody.

Jakkolwiek siła ciężenia znikła zupełnie, przenoszenie się z kabiny do kabiny jest coraz bardziej utrudnione. Byle ruch podrzuca ciałem, jakby to była bańka

mydlana niesiona przez wiatr.

Migają cyfry-sekundy w okienku chronometru, zmieniają się numery minut, bęben z podziałką godzin wydaje się nieruchomy. Miota się nić grawimetru. Wichry elektryczne w gazowym jądrze usiłują porwać statek i to niepokoi Diegtiarewa bardziej niż możliwość rozpuszczenia się w pokładach antymaterii albo wybuchu na podobieństwo kulistego pioruna. Jeszcze chwila i stery żyroskopowe odmówią posłuszeństwa, stracą orientację i razem z nimi statek rozpocznie ślepy tan.

Na razie PW-313 nie przestaje zbliżać się do środka Ziemi i uczony zachowuje ostatek sił na moment decydujący. Jeszcze parę godzin i statek znajdzie się w strefie zupełnej nieważkości...

Trzeba te godziny przeżyć. Wytrzymać, za wszelką cenę!

27

Diegtiarew z trudem rozwarł ociężałe powieki i długo wodził oczyma usiłując przeniknąć nawisy purpurowej mgły. Nie wiedział, czy zapadł był w letarg, czy zwyciężył go krótki sen. Zresztą, jakie to może mieć znaczenie? Zawodził wzrok. Niesłychanym wysiłkiem woli udało mu się strząsnąć z powiek mętną zasłonę. Nie znikła zupełnie, rozsunała się w środku, niechętnie odsłaniając wycinek przestrzeni.

Uczony wiedział, że z pojazdem jest niedobrze. Kabina zataczała się miękko, na pulpicie gaworzyły trwożnie brzęczyki. Silnik milczał. Statek posuwał się wśród gazu siłą bezwładności nie napotykając dostatecznego oporu. Być może zresztą znajdował się w bezruchu i opisywał w przestrzeni bezładne krzywizny.

W polu widzenia nie było instrumentów. Geolog na próżno wodził oczyma – wszędzie tylko nylonowe, srebrzysto-błękitne obicie. Pulpit znikł.

Po długim wypatrywaniu ślepzące źrenice Diegtiarewa odróżniły otwór luku w suficie, wtedy zrozumiał, że widzi tylko sufit. Kiedy trwał w odrętwieniu, wstrząs wyrzucił go z fotela i nieważkie, bezradne ciało zawisło, jak się to mówi, między niebem i ziemią.

Nie było wątpliwości. PW-313 osiągnął centrum Ziemi. Zupełnie znikła siła ciężenia i to zburzyło działanie automatyki. Ster żyroskopowy stracił orientację i nadawał mechanizmom kierującym najbardziej sprzeczne impulsy. Tylko interwencja człowieka zdolnego kierować statkiem umożliwi maszynie wyrwanie się ze strefy nieważkości. Gdy tylko pojawi się ważkość, żyrostery odzyskają równowagę. Potem bor, napotkawszy twardą materię, da sygnał automatom i statek na pewno ruszy ku górze, na spotkanie słońca.

Lecz Diegtiarew miał ręce zupełnie sparaliżowane.

Promieniowanie w żaden sposób nie mogło pokonać geologa, choć każdy na jego miejscu dawno byłby już trupem. Serce, podporządkowując się wysiłkom woli, nadal stukało w piersi. Płuca łowiły powietrze niewielkimi, palącymi haustami. Najważniejsze było to, że umysł pozostał jasny. A jeżeli oczy widzą, a mózg pracuje, Diegtiarew będzie ratował statek.

O, gdyby mieć zdrowe ręce!

Począł ruszać głową i ramionami. Tylko powietrze dawało mu opór, ale jakież to opór może dać powietrze?

Syntezaory odświeżają je powodując nieustanną cyrkulację. Przepływa lukami i zostaje wysrane przez muszle u nasady ramy. Wreszcie zdołał uczynić obrót. Wtedy ujrzał pulpity w dole na prawo. Czarne oko ekra-

nu obojętnie obserwowało walkę Diegtiarewa. Spokojnie pełgały konstelacje zielonych lampek. Aparatura była gotowa służyć człowiekowi, oczekiwała rozkazu... Tylko strzałka grawimetru skakała po skali, a wraz z nią czerwona chyża iskra.

Diegtiarew wściekle ruszył ramionami — nie był w stanie czekać. Lecz od razu się opanował. Denerwowanie się sprawie nie pomoże. Odetchnął, nakazał sobie spokój, przymknął oczy. Wydawało mu się, że minęło wiele godzin, zanim znowu spojrzął na pulpit. W okienku chronometru zmieniło się zaledwie osiem cyfr.

A jednak upewnił się, że nie trwa w bezruchu: był już teraz bliżej ściany. Czekać, czekać, a tu sił ubywa. Krew łomocze w skroniach, serce zamiera zdradziecko. Serce niepokoi go najbardziej.

Żeby tylko zdążyć! Dzienniki zapisane przez mego i Bironta, taśmy automatów samopiszących, kopie magnetofonowe komunikatów, wysłanych, ale nie odebranych na Ziemi — to wszystko musi się dostać w ręce ludzi, w tym jest cały sens walki. Trzeba pchnąć statek na kurs w kierunku powierzchni Ziemi.

Wreszcie ściana jest blisko. Trzeba jakoś osunąć się w dół. Diegtiarew długo mierzył, wpatrywał się w fotel ślepnącymi oczami. Wreszcie odbił się głową.

Mimo, iż wysiłek był minimalny, uczył w głowie potworny ból. Zakrztusił się, jakby przełknął esencję octową. Zachowanie przytomności okupił niewiarygodnym napięciem nerwów, choć pragnął tylko jednego: dostać się wreszcie do fotela.

— Jeszcze odrobinę, starcze — pomagał sobie — bądź jeszcze chwilę cierpliwy...

Rachuby zawiodły. Diegtiarew został pchnięty obok fotela w stronę przeciwległej ściany. Tu znowu odbił

się głową – nie miał przecież innego sposobu. Walka była okrutna. Geolog miał wrażenie, że jest jakimś latającym naczyniem wypełnionym samym tylko bólem. Ani wnętrzości, ani mózgu – tylko jeden ból.

Wtedy przyszła pokusa: zaprzestać walki. Wiedział, że w jednej chwili zapadnie w niebyt, wieczny spokój.

Nie, nie miał prawa rezygnować. Jego walkę śledziły oczy Bironta i Czurakowa, Skorupina i Michejewa. Czuł na sobie jeszcze dziesiątki par innych oczu: Kati, Arkadiusza Siemionowicza, przyjaciół z akademii. Jego dzieci i wnuki oczekują odeń prawdziwego, wielkiego zwycięstwa. A on tyle przeżył i tak mało dokonał.

Trzeba więc cierpliwości.

Dwukroć jeszcze uderzył głową. Nie wytrzymał, krzyknął, krzykiem pragnąc ulżyć sobie w okropnym, fizycznym bólu. Krzyk potoczył się echem z kabiny do kabiny.

Udała się dopiero próba czwarta. Diegtiarew opadł w fotel i zastygł. Teraz musiał uczynić obrót, zając pozycję siedzącą, a było to zadanie niesłychanie trudne. Mały, nieostrożny ruch i znowu podrzuci go w powietrze.

Poruszał się bardzo wolno. Martwe ręce jedynie mu przeszkadzały. Paraliż był już bardzo blisko serca. Skóra na głowie utraciła czucie. Chłodna ciecz spływała wzdłuż kręgosłupa.

Trzeba się śpieszyć.

– Katia – powiedział głośno – Katia, ja już, zdaje się, nie mogę...

W oczach miał łzy. Zamarł na chwilę, potem znów podjął swój niewysłowiony trud. Głowa uniosła się nad pulpitem, oczy ujrzały szereg przełączników. Za ledwie trzydzieści centymetrów połyskliwej gładziny... Tak

blisko są płaskie skrzydełka przełączników...

Miał wrażenie, że minęła wieczność, zanim twarz jego znalazła się w bezpośredniej bliskości przełączników. Pełził ku nim z największą ostrożnością. Podsunąwszy lewe ramię pod korpus grawimetru i w ten sposób utrzymując siebie na pulpicie, Diegtiarew począł szukać zębami potrzebnego skrzydełka. Zaczepiwszy nimi o chłodny kawałek masy, pozwolił sercu, aby się nieco uspokoiło. Cały dygotał, szczęki zwarł kurcz, zęby gotowe były przegryźć kontakt.

Diegtiarew począł z wolna przekręcać. Nos, wargi, głowa – wszystko mu przeszkadzało. Działła przywarły do wypukłości, po której miał przesunąć się przełącznik z taką pasją, że pociekła z nich krew.

W końcu rozległ się suchy szczęk.

– To wszystko! – krzyknął triumfalnie Diegtiarew. – Wszystko!

Statek drgnął, silnik zrazu westchnął i zahuczał, nabierał siły. Poczęły pracować automaty kierujące.

Zęby Diegtiarewa ześliznęły się z przełącznika, zrzuciło go z pulpitu. Spadając już nie wiedział, nie czuł, że się płynnie osuwa w stronę sufitu. Góra i dół zamieniły się miejscami. Statek PW-313 wszedł na kurs w kierunku powierzchni.

Nad geologiem zawarła się szczelna ciemność.

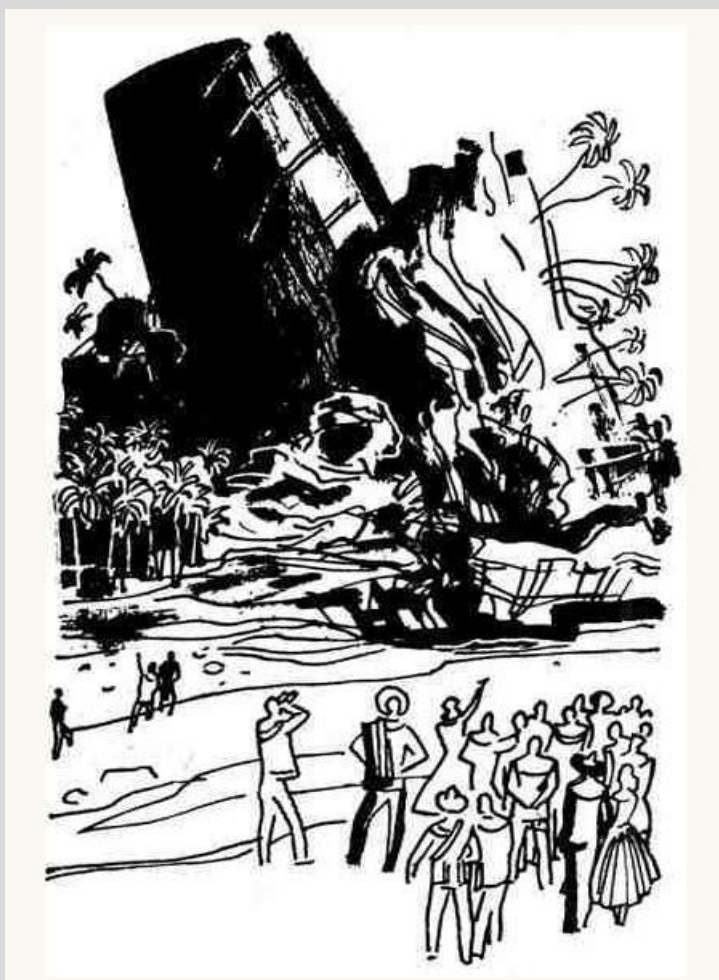
28

Któregoś dnia mieszkańcy niewielkiej osady Liverton, położonej na skraju pustyni Gibsona w Zachodniej Australii, zostali zaalarmowani nagłymi drgnięciami ziemi. W historii miasteczka nie zanotowano ani jednego trzęsienia ziemi. Czerwona, piaszczysta pustynia,

pokryta ubogą, wypaloną przez słońce roślinnością, leżała nieruchomo i martwo.

Pierwsze drgnięcia zauważono o piątej nad ranem. Wystraszeni mężczyźni, kobiety i dzieci wysypali się na ulicę. Huczała pod nogami kamienista gleba.

Ogarnięty paniką tłum, znający trzęsienie ziemi za ledwie ze słyszenia, wybiegł z osiedla.



Oczom ludzi ukazał się niezwykle widok. Opodal trysnął z ziemi snop ognia. Nad pustynią przetoczył się ogłuszający huk. Rozbłysły jaskrawe, niebieskie płomienie tworząc jakby czaszę, która stopniowo rosła obracając się zrazu wolno, potem z szaloną szybkością. Wyrwane kamienie, wyszarpnięte z korzeniami krzewy piach, uleciały wysoko w górę.

Mieszkańcy Livertonu rzucili się z powrotem do miasteczka szukając ratunku przed oślepiającym światłem, gradem kamieni i osiadającym popiołem.

Ci zaś, którzy nie zdążyli uciec, pochowali się w nierównościach gruntu, utknąwszy twarzą w ziemię i zasłoniwszy głowy rękami. Gdy trąba ognista osłabła, ludzie ujrzeli, jak się ziemia wzdyma w miejscu, gdzie powstała płomienna błyskawica. Z wnętrza poczęła wypełzać olbrzymia cylindryczna wieża. Opadł kamienny deszcz, zamarł ognisty wichur, lecz huk się wzmagał w miarę, jak wieża podnosiła się wyżej.

Osiągnąwszy wysokość dwudziestu metrów poczęła z wolna walić się na bok. Minęło jeszcze kilka minut i stalowa dysząca ogniem zjawa wypełzała na powierzchnię spalonej, roztopionej ziemi.

Ludzie zbliżyli się nieśmiało do stalowego statku. W świetle porannej zorzy mogli rozróżnić na jego korpusie ogromne litery: „ZSRR – PW-313”.



Borys Fradkin (urodzony w 1917 roku w Czelabińsku) jest z zawodu inżynierem-konstrukтором. Przez wiele lat pracował w przemyśle, następnie przeszedł do szkolnictwa zawodowego i wykłada obecnie w permskim technikum budowy maszyn.

W 1950 roku ukazała się w permskim almanachu jego pierwsza powieść „Klucz francuski”. W 1951 r. wydał zbiór opowiadań pt. „Pełnomocnik”. W następnych latach powstały opowiadania fantastyczno-naukowe: „Historia jednego notatnika”, „Tajemnica astroidu 11703” oraz powieści „Droga ku gwiazdom” i „Jeńcy płonącej otchłani”

ISIRY

Cena zł 10.-

